odmieniłeś moje życie...

Autobiografia Abdela Sellou, prawdziwego bohatera filmu

NIETYKALNI

Historia, która poruszyła miliony ludzi

ABDEL SELLOU

przedmowa
Philippe Pozzo di Borgo

odmieniłeś moje życie...

ABDEL SELLOU
przedmowa Philippe Pozzo di Borgo

Z francuskiego przełożyły
WIKTORIA MELECH
JOANNA POLACHOWSKA

ALBATROS
Wydawnictwo A. Kurylowicz

2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
TU AS CHANGÉ MA VIE…

Copyright © Editions Michel Lafon 2012
All rights reserved

Published by arrangement with Literary Agency Agence de l'Est

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

Polish translation copyright © Wiktoria Melech & Joanna Polachowska 2012

Front cover & flap photos © QUAD – Thierry Valletoux 2011

Redakcja: Beata Kaczmarczyk

Zdjęcia z filmu *Nietykalni* na froncie i na skrzydełku okładki: Thierry Valletoux

Zdjęcie Abdela Sellou i Phillippe'a Pozzo di Borgo z tyłu okładki: Yves Ballou

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-494-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

2012. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o. o.

Spis treści

DEDYKACJA
PRZEDMOWA
WSTĘP
I BEZWARUNKOWA WOLNOŚĆ
1
2
3
4
5
6
7
8
9
II KONIEC NIEWINNOŚCI
10
11
12
13
14
15
16

17
18
III PHILIPPE I BÉATRICE POZZO DI BORGO
19
204
21
22
24
25
26
27
IV UCZYĆ SIĘ ŻYĆ INACZEJ
28
29
30
31
32
33
34
35
V NOWY POCZĄTEK
36
37
38
39
40
POSŁOWIE
PRZYPISY

Philippe'owi Pozzo di Borgo, Amal,
moim dzieciom, które znajdą własną drogę

Gdy w trakcie pracy nad scenariuszem filmu *Nietykalni* Éric Tolédano i Olivier Nakache chcieli zrobić wywiad z Abdelem, ten odpowiedział: „Zwróćcie się z tym do Pozzo, ufam facetowi". Kiedy ja sam redagowałem nowe wydanie *Second Souffle* (Drugi oddech) i poprosiłem go o pomoc w odświeżeniu wspomnień niektórych naszych przygód, również odmówił. Abdel nie opowiada o sobie. Działa.

Nieprawdopodobnie dynamiczny, szlachetny i zuchwały, był przy mnie przez dziesięć lat. Dodawał otuchy na wszystkich bolesnych etapach życia: wspierał, kiedy umierała moja żona Béatrice, wyciągnął z depresji po jej śmierci, a w końcu przywrócił chęć do życia…

W ciągu tych dziesięciu lat do wielu spraw podchodziliśmy podobnie: nie cofać się do przeszłości, nie wybiegać myślą w przyszłość, żyć – lub raczej przeżyć – tu i teraz. Trawiące mnie cierpienie niszczyło pamięć; Abdel nie chciał powracać do młodości, jak się domyślałem, burzliwej. Obaj byliśmy ludźmi bez wspomnień. Przez cały ten czas opowiedział mi jedynie kilka fragmentów swojej historii, a ja zawsze szanowałem jego prywatność. Choć w krótkim czasie stał się członkiem mojej rodziny, sam nigdy nie poznałem rodziców Abdela.

W 2003 roku po sukcesie programu *Życie prywatne, życie publiczne*, w którym duet Abdel i Pozzo zadziwił wszystkich swoim nonkonformizmem, jego producentka Mireille Dumas postanowiła nakręcić o nas godzinny dokument zatytułowany *Na śmierć i życie*. Przez wiele tygodni towarzyszyło nam dwóch dziennikarzy. Abdel wyraźnie dał im do zrozumienia, że nie ma mowy o żadnym wypytywaniu krewnych i znajomych o jego przeszłość… Nie

zastosowali się do polecenia, czym strasznie go rozgniewali… Abdel nie tylko sam nie chciał mówić o sobie, ale również nie zgadzał się, by wyręczali go w tym inni!

Wszystko zmieniło się w ubiegłym roku. Jak wielką niespodzianką było usłyszeć go odpowiadającego z całą szczerością na pytania Mathieu Vadepieda, dyrektora artystycznego, który przygotowywał dodatkowe materiały do płyty DVD z *Nietykalnymi!* W ciągu tych trzech dni, jakie spędziliśmy razem w mojej posiadłości w As-Sawira w Maroku, dowiedziałem się o Abdelu więcej niż przez piętnaście lat naszej przyjaźni! Dojrzał do tego, by opowiedzieć o swoim życiu, także o czasach, kiedy jeszcze się nie znaliśmy.

Jakże długą drogę musiał przebyć uporczywie milczący dwudziestolatek, by perorować dziś ze swadą o wybrykach młodości i dzielić się swoimi przemyśleniami! Abdelu, zawsze będziesz mnie zadziwiał… Jaką przyjemnością jest lektura jego książki *Odmieniłeś moje życie*… Odnajduję w niej wszystko: jego poczucie humoru, upodobanie do prowokacji, jego głód życia, urok osobisty, a teraz także jego mądrość.

A zatem, sądząc z tytułu książki, podobno odmieniłem jego życie… Tak czy inaczej, jednego jestem pewny: tego, że on odmienił moje. Powtarzam: z pełnym poświęcenia zapałem i rzadko spotykanym wyczuciem wspierał mnie po śmierci Beatrice i przywrócił mi chęć do życia.

Aż wreszcie któregoś dnia zabrał mnie do Maroka… Tam poznał Amal, którą wkrótce poślubił, a ja swoją drugą żonę Khadiję. Odtąd spotykamy się regularnie w towarzystwie naszych dzieci. „Nietykalni” stali się „Wujaszkami”.

Philippe Pozzo di Borgo

Pędziłem na złamanie karku. W tamtych czasach miałem kondycję. Pościg zaczął się, nie zmyślam, na rue de la Grande-Truanderie[1]. Przed chwilą ja i dwóch kolesiów uwolniliśmy jakiegoś małego burżuja od jego walkmana – klasycznego, nawet trochę już przestarzałego modelu Sony. Zamierzałem wyjaśnić chłopakowi, że w gruncie rzeczy oddajemy mu przysługę, bo jak tylko wróci do domu, tatuś kupi mu odtwarzacz bardziej wypasiony, łatwiejszy w użyciu, z lepszym dźwiękiem i dłużej działającą baterią… Ale nie zdążyłem.

– Uwaga, gliny! – rozległ się jakiś głos.

– Nie ruszać się! – wrzasnął inny.

Rzuciliśmy się do ucieczki.

Na rue Pierre-Lescot z niebywałą zręcznością lawirowałem między przechodniami. Proste: klasa, prawdziwa klasa. Istny Cary Grant w filmie *Północ, północny zachód*. Albo fretka z tej piosenki dla dzieci, z pewną jednak różnicą: tu się przemknął, tam może się już nie uda… Skręciłem w rue Berger, zamierzając wpaść na teren Hal. Kiepski pomysł, przy wejściu na schody było za dużo ludzi. Z miejsca odbiłem na lewo w rue des Bourdonnais. Nawierzchnia była śliska od deszczu, nie wiedziałem, kto ma lepsze podeszwy na mokry teren, gliny czy ja. Moje spisywały się na medal. Byłem jak Speedy Gonzales, gazowałem na maksa, ścigany przez dwa złe koty Sylwestry, gotowe mnie pożreć. Liczyłem, że sprawa skończy się tak samo jak w kreskówce. Na nabrzeżu de la Mégisserie dogoniłem jednego z kumpli, tego, który wystartował sekundę wcześniej i był

lepszym sprinterem. Popędziłem za nim mostem Pont-Neuf, dystans między nami się zmniejszył. Krzyki policjantów cichły gdzieś w tyle, pewnie już wymiękali ze zmęczenia. Normalka, w końcu to my byliśmy bohaterami… Ale nie ryzykowałem i nie obejrzałem się, żeby to sprawdzić.

Pędziłem do utraty tchu, już ledwie dyszałem. Słaniałem się na nogach i nie bardzo sobie wyobrażałem utrzymania takiego tempa aż do Denfert-Rochereau. Żeby się nie rozwodzić – przełożyłem nogę przez balustradę chroniącą pieszych przed upadkiem do rzeki. Wiedziałem, że po drugiej stronie będę mógł stanąć na gzymsie szerokim na jakieś pół metra. Pół metra mi wystarczało. W tamtych czasach byłem chudy. Przykucnąłem i popatrzyłem na mętną wodę Sekwany, która płynęła w stronę mostu des Arts wartko jak potok. Buciory policjantów już łomotały po asfalcie, wstrzymałem oddech, licząc, że ich odgłos, osiągnąwszy apogeum, zacznie cichnąć. Zupełnie nieświadomy niebezpieczeństwa, nie bałem się, że spadnę. Nie miałem pojęcia, gdzie są moi kumple, ale przypuszczałem, że też szybko znajdą jakąś pewną kryjówkę. Psy przeszły. Szyderczo wyszeptałem w kołnierz bluzy: „hau, hau, hau” i wtedy jakaś barka wychynęła pode mną tak nagle, że mało nie podskoczyłem z wrażenia. Siedziałem na gzymsie, czekając, aż odzyskam oddech, chciało mi się pić, marzyłem o coli.

Nie byłem bohaterem. Już wtedy to wiedziałem, ale miałem piętnaście lat i od zawsze żyłem jak dzikie zwierzę. Gdyby kazano mi w tamtych czasach o sobie opowiedzieć, opisać się za pomocą zdań, przymiotników, epitetów i całej tej gramatyki, którą kładli mi do głowy w szkole, byłbym w kłopocie. Nie dlatego, że nie umiałem się wysłowić, bo zawsze byłem mocny w gębie, ale dlatego, że

musiałbym wyhamować i pomyśleć. Spojrzeć w lustro, na chwilę zamilknąć – z czym wciąż, choć stuknęła mi już czterdziestka, mam problem – i coś do siebie dopuścić. Jakąś myśl, jakąś ocenę własnej osoby, która jeśliby była uczciwa, mogłaby się okazać niewygodna. Po co miałbym zadawać sobie taki trud? Nikt tego ode mnie nie żądał ani w domu, ani w szkole. Zresztą miałem nosa do wszelkich pytajników. Kiedy tylko komuś przyszło do głowy o cokolwiek mnie spytać, z miejsca się ewakuowałem. Będąc nastolatkiem, szybko biegałem; miałem mocne nogi i uzasadnione powody, żeby uciekać.

Codziennie byłem na ulicy. Codziennie dostarczałem gliniarzom nowych powodów, żeby mnie gonili. Codziennie trenowałem szybkość moich nóg między dzielnicami stolicy, wielkiego parku rozrywki z atrakcjami w zasięgu ręki. Cel zabawy: brać, na co przyjdzie ochota, samemu nie dając się wziąć. Nie potrzebowałem niczego. Chciałem wszystko. Poruszałem się po gigantycznym sklepie, w którym każdy przedmiot pożądania był za darmo. Jeśli istniały jakieś zasady, ja ich nie znałem. Nikt nie znalazł czasu, żeby mi je objaśnić wtedy, kiedy jeszcze potrafiłem usiedzieć w miejscu, i nigdy nie dałem nikomu sposobności nadrobienia tej luki w mojej edukacji. A mnie to urządzało.

Pewnego dnia w październiku 1997 potrąciła mnie ciężarówka. Pęknięte biodro, pogruchotana lewa noga, ciężka operacja i wielotygodniowa rehabilitacja w Garches. Przestałem biegać, zacząłem trochę przybierać na wadze. Trzy lata przed tym wypadkiem spotkałem człowieka przykutego do wózka inwalidzkiego po wypadku na paralotni, Philippe’a Pozzo di Borgo. Nie minęło wiele czasu i obaj znaleźliśmy się w podobnej sytuacji. Inwalidzi. Kiedy byłem dzieciakiem, słowo to kojarzyło mi się

wyłącznie z nazwą stacji metra[2], miejscem wystarczająco rozległym, by mając oko na mundurowych, móc spokojnie rozrabiać, fantastycznym placem zabaw. Zabawa się skończyła, dla mnie na jakiś czas, ale sparaliżowany Pozzo odsiaduje dożywocie. W zeszłym roku obaj zostaliśmy bohaterami fantastycznego filmu *Nietykalni*. I nagle wszyscy chcą nas dotknąć! To dlatego, że w tej historii nawet ja wyglądam na świetnego faceta. Zęby mam jak z reklamy pasty do zębów, sylwetkę też nie najgorszą, spontanicznie wybucham śmiechem i dzielnie opiekuję się facetem na wózku, a do tego tańczę jak młody Travolta. Wszystko, co robią obaj bohaterowie filmu – szaleńcza jazda luksusowym samochodem po obwodnicy, przelot paralotnią, nocne włóczęgi po Paryżu – Pozzo i ja naprawdę przeżyliśmy. Ale to tylko dwa procent naszych wspólnych dokonań. Zrobiłem dla niego niewiele, w każdym razie mniej, niż on zrobił dla mnie. Motywowałem go, towarzyszyłem mu, łagodziłem, jak mogłem, jego ból, byłem przy nim.

Wcześniej nigdy nie zetknąłem się z kimś tak bogatym. Pochodził ze starej arystokratycznej rodziny i odniósł w życiu sukces, mało tego, gruntownie wykształcony, był wiceprezesem firmy produkującej szampany Pommery. Wykorzystałem go. To nie ja zmieniłem życie Pozzo, a jeśli już, to w niewielkim stopniu, tylko on zmienił moje. Film upiększył prawdę po to, by ludzie mogli marzyć.

* * *

Od razu uprzedzam: nie bardzo przypominam bohatera filmu. Jestem niski, jestem Arabem i nie jestem taki znów miły. Mam wiele grzechów na sumieniu i nie szukam usprawiedliwienia moich postępków. Ale dziś mogę o nich opowiedzieć: nastąpiło

przedawnienie. Nie mam nic wspólnego z nietykalnymi, z tymi prawdziwymi nietykalnymi, Hindusami skazanymi na nędzny żywot po wsze czasy. Jeśli już należę do jakiejś kasty, to do tych, którzy nie dają sobą powodować; jestem ich niekwestionowanym liderem. To wynika z mojej niezależnej natury, opornej na wszelką dyscyplinę, ustalony porządek i moralność. Nie szukam usprawiedliwienia, ale też się tym nie chwalę. Tym bardziej że można się zmienić. Dowód…

Któregoś dnia szedłem mostem Pont-Neuf, pogoda była prawie taka sama jak wtedy, kiedy ścigali mnie dwaj policjanci, gdy byłem dzieciakiem: nieprzyjemna, przenikliwa mżawka opadała na moją gołą głowę, pod bluzę wdzierał się zimny wiatr. Ten dwuczęściowy most, który łączy île de la Cité z lewym i prawym brzegiem Paryża, wydał mi się wspaniały. Imponował mi rozmiarami, prawie trzydziestoma metrami szerokości, wygodnymi chodnikami i owalnymi występami nad Sekwaną, z których przechodnie mogli podziwiać panoramę miasta… Bez ryzyka. Pomyśleć tylko! Przechyliłem się przez balustradę. Rzeka płynęła przez Paryż z prędkością galopującego konia, miała kolor ołowianego nieba i sprawiała wrażenie gotowej pochłonąć wszystko. Jako dziecko nie wiedziałem, że z jej nurtem nawet znakomity pływak ledwie sobie poradzi. Nie wiedziałem też, że zacni Francuzi równe dziesięć lat przed moim urodzeniem wrzucali do wody dziesiątki Algierczyków[3]. Chociaż akurat oni mieli świadomość, że rzeka jest niebezpieczna.

Popatrzyłem na kamienny gzyms, na którym schroniłem się kiedyś przed gliniarzami, i zadrżałem na wspomnienie swojej dawnej brawury. Pomyślałem, że dziś nie odważyłbym się przejść przez

balustradę. Ale też dziś nie mam już żadnego powodu chować się ani uciekać.

I
BEZWARUNKOWA WOLNOŚĆ

1

Nie pamiętam już Algieru, miasta, w którym się urodziłem. Zapomniałem jego zapachy, jego kolory, jego odgłosy. Wiem tylko tyle, że kiedy w 1975 roku jako czterolatek przyjechałem do Paryża, nie czułem się wyobcowany. Rodzice oznajmili:

– To jest twój wujek Belkacem. To jest twoja ciotka Amina. Teraz jesteś ich synem. Zostaniesz u nich.

W kuchni małego dwupokojowego mieszkanka pachniało kuskusem i przyprawami tak samo jak w domu. Było jednak trochę ciaśniej, zwłaszcza że do kontyngentu należał również mój brat, o rok ode mnie starszy. Siostra, najstarsza z rodzeństwa, została w domu. Z dziewczyny jest za dużo pożytku, żeby ją odstąpić. Będzie pomagała mamie w niańczeniu dwójki dzieci, które urodziły się po mnie. Tak więc rodzinie Sellou w Algierze zostanie trójka pociech i to wystarczy.

Nowe życie i pierwsza nowina: mama nie jest już mamą. Nie wolno jej tak nazywać. Nie wolno nawet o tym pomyśleć. Mamą jest teraz Amina. Jest bardzo szczęśliwa, za jednym zamachem trafiło jej się dwóch synów, od dawna rozpaczała, że nie może się doczekać potomka. Głaszcze nas po głowach, bierze na kolana, całuje koniuszki naszych palców, przyrzeka, że nie zabraknie nam miłości. Tyle że nie bardzo wiadomo, co to takiego ta miłość. Oczywiście, zawsze mieliśmy gdzie mieszkać, co jeść, troszczono się o nas, kołysano, kiedy w nocy gorączkowaliśmy, ale nikt nie robił wokół

tego wiele szumu, to było coś całkiem naturalnego. Postanawiam, że tutaj będzie tak samo.

Druga nowina: Algieru już nie ma. Teraz mieszkamy w Paryżu na bulwarze Saint-Michel, w samym centrum francuskiej stolicy, i owszem, tak samo jak tam, możemy iść się pobawić. Na dworze; podobno tam jest trochę chłodniej. Czym pachnie? Czy słońce topi bruk, tak jak topiło asfalt w moim rodzinnym mieście? Czy samochody trąbią równie ochoczo? Wezmę ze sobąbrata i pójdę zobaczyć. Na śmiesznie małym placyku przy opactwie Cluny stwierdzam tylko jedno: inne dzieci nie mówią tak samo jak my. Ten platfus mój brat nie odstępuje mnie na krok, jakby się ich bał. Wujek, nasz nowy ojciec, pociesza nas w naszym języku. Francuskiego szybko nauczymy się w szkole. Nasze tornistry są już gotowe.

– Jutro, dzieci, wcześnie wstajecie. Ale to nie powód, żeby kłaść się spać razem z kurami. U nas kury nie sypiają.

– U nas, wujku? Gdzie u nas? W Algierii? Bo to w Algierii kury nie śpią, prawda wujku?

– W każdym razie idą spać później niż kury we Francji.

– Ale teraz, wujku, gdzie jesteśmy? Gdzie jest to u nas?

– Jesteście algierskimi pisklętami na francuskiej fermie!

Trzecia nowina: odtąd będziemy dorastać w kraju, którego języka się nauczymy, ale jesteśmy i pozostaniemy tym, kim byliśmy od pierwszego łyka matczynego mleka. Dla dzieci to wszystko jest dość skomplikowane, a ja już wtedy nie kwapię się do wysiłku umysłowego. Brat łapie się za głowę. Ale on jest wkurzający… Nie mam pojęcia, jak wygląda francuska szkoła, lecz od razu przyjmuję

kredo, które wyznawać będę przez długie lata: pożyjemy, zobaczymy.

Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, jakie rozróby będę urządzał kiedyś na szkolnym podwórku. A przecież nie robiłem tego w żadnej złej intencji. Świat nie widział równie niewinnego dziecka jak ja. Gdybym nie był muzułmaninem, nosiłbym aureolę.

Był rok 1975. Po bulwarze Saint-Michel jeździły renault alpine, peugeoty 304, citroeny 2CV. Renault 12 już wtedy wydawał się przestarzały, gdybym miał wybierać, wolałbym model 4L, który przynajmniej na nic się nie sadził. Dzieciak mógł samodzielnie przejść przez ulicę, nie ryzykując, że jakiś policjant z brygady do spraw nieletnich odda go z urzędu pod opiekę wymiaru sprawiedliwości. Miasta, świata zewnętrznego, swobody nie uważano za niebezpieczne. Pewnie, od czasu do czasu spotykało się jakiegoś strudzonego alkoholem osobnika, ale przyjmowano, że został kloszardem, bo tak chciał, i zostawiano go w spokoju. Nikt nie zawracał sobie głowy żadnym poczuciem winy, za to nawet ci mniej bogaci bez trudu rozstawali się z paroma centymami.

Salon mieszkania, który od naszego przyjazdu służył również za sypialnię naszym rodzicom, zawłaszczyliśmy bez reszty ja i brat, baszowie w spodniach dzwonach i w koszulach z szerokimi wykładanymi kołnierzami. Na czarno-białym ekranie telewizora mały facet, łysy i cherlawy, szalał z wściekłości, bo w żaden sposób nie mógł dopaść Fantomasa. Innym znów razem tańczył na rue des Rosiers, udając rabina. Nie miałem zielonego pojęcia, kim jest rabin i na czym polega komizm tej sytuacji, ale byłem zachwycony widowiskiem. Dwoje dorosłych patrzyło na swoje nowe dzieci, które co rusz wybuchały hałaśliwym śmiechem. To im sprawiało większą

radość niż gagi i grymasy Louisa de Funesa. W tym samym czasie Jean-Paul Belmondo w białym garniturze uganiał się po dachach i uważał za „wspaniałego”[4], ale moim zdaniem grubo się mylił. Dużo bardziej wolałem Seana Connery’ego w jego szarym golfie. On przynajmniej do końca zachowywał nienaganną fryzurę, a w kieszeniach miał różne niesamowite gadżety, które z przykładną dyskrecją za każdym razem trafiały w dziesiątkę. Prawdziwa klasa nazywała się James

Bond i pochodziła z Anglii. Rozwalony na orientalnej otomanie smakowałem każdą chwilę, nie zawracając sobie głowy następną, i nigdy nie myślałem o przeszłości. Taki sposób na życie wydawał się najlepszy pod słońcem.

W Paryżu zachowałem to samo imię, które miałem w Algierze: Abdel Yamine. Rdzeń *abd* po arabsku znaczy „poważać”, *el* – to rodzajnik. Poważać Yamine’a. Jadłem daktyle, Amina zbierała z podłogi pestki.

2

Podarowanie dzieci bratu lub siostrze, którzy nie mają własnych, było – i nadal jest – dość powszechną praktyką w kulturach afrykańskich zarówno Czarnej Afryki, jak i Maghrebu. Każdy z nas ma oczywiście ojca i matkę, ale szybko stajemy się dziećmi całej rodziny, a rodzina jest liczna. Decydując się rozstać z synem lub córką, nikt się specjalnie nie zastanawia, czy będą z tego powodu cierpieli. Dzieciom, podobnie jak dorosłym, zmiana rodziców wydaje się czymś prostym, naturalnym. Nie ma nad czym się rozwodzić, nie ma powodu się mazgaić. Ludy afrykańskie odcinają pępowinę wcześniej niż Europejczycy. Ledwie nauczywszy się chodzić, ruszamy śladem starszego rodzeństwa, zobaczyć, co dzieje się gdzie indziej. Nie trzymamy siemaminej spódnicy, nie jesteśmy zależni od matki. A jeśli taka jej wola, godzimy się na inną.

Pewnie w naszym ekwipunku były ze dwie lub czy trzy sztuki bielizny, ale żadnej instrukcji wychowawczej nie załączono. Jak wychowywać dzieci, jak z nimi rozmawiać, na co im pozwolić, czego zabronić? Belkacem i Amina nie mieli o tym zielonego pojęcia. Starali się więc naśladować inne paryskie rodziny. A co robiły te ostatnie w niedzielne popołudnia w latach siedemdziesiątych, podobnie zresztą jak dziś? Szły na spacer do parku Tuileries. Tak więc, gdy miałem pięć lat, przechodziłem mostem des Arts na drugi brzeg Sekwany i lądowałem nad sadzawką z mętną wodą. W tej kałuży głębokości pół metra wiodło nędzny

żywot kilka karpi: patrzyłem, jak podpływają tuż pod powierzchnię wody, otwierają pyski i zaraz z powrotem ruszają w kolejną rundę po swojej balii. Wypożyczało się też małe drewniane stateczki, które patykiem popychałem na środek basenu. Tak rozkołysany stateczek, o ile wiatr wiał w dobrym kierunku, mógł w niespełna dziesięć sekund dobić do przeciwległego brzegu. Biegiem ruszałem do miejsca, gdzie miał dopłynąć, ustawiałem go dziobem naprzód i z zapałem znów wypychałem żaglówkę na wodę. Od czasu do czasu unosiłem głowę i dziwiłem się.

– Co to jest, tato?

– Hm… Dawna brama.

Brama, która niczemu nie służyła, bo po jej obu stronach nie było żadnego muru ani ogrodzenia. Za parkiem widać było jakieś wielkie budynki.

– A tam dalej, tato?

– Luwr, synu.

Luwr. To było całe wyjaśnienie. Pomyślałem, że na pewno trzeba być bardzo bogatym, by mieszkać w takim dużym i takim pięknym domu, z wielkimi oknami i posągami na fasadach. Park był ogromny jak wszystkie stadiony Afryki razem wzięte. Dziesiątki skamieniałych ludzi rozproszonych po alejach i trawnikach spoglądało na nas z wyżyn swoich piedestałów. Wszyscy byli ubrani w płaszcze i mieli długie kręcone włosy. Zastanawiałem się, od jak dawna tu stoją, i wracałem do swoich zajęć. Kiedy nie było wiatru, stateczek mógł utknąć pośrodku basenu. Wtedy musiałem namówić innych żeglarzy, żeby zorganizowali flotę i spuścili ją na wodę w taki sposób, by powstała fala i uwolniła moją łódkę. A czasami Belkacem musiał w końcu sam zakasać nogawki u spodni.

W te dni, kiedy pogoda była naprawdę piękna, Amina przygotowywała piknik i jedliśmy obiad na murawie na Polach Marsowych. Po południu rodzice kładli się na kocu. Dzieci szybko skrzykiwały się w grupy i grały w piłkę. Na początku brakowało mi słownictwa, więc trzymałem się nieco na uboczu.

Byłem bardzo miły i bardzo grzeczny. Niczym, z pozoru przynajmniej, nie różniłem się od małych Francuzów w aksamitnych spodenkach na szelkach. Wieczorem, tak jak oni, padałem ze zmęczenia. Ale mnie i bratu nikt nie zabraniał w niedzielę oglądać wieczornego filmu. Najdłużej wytrzymywaliśmy przy westernach, choć często oczy zamykały nam się jeszcze przed końcowymi napisami. Wtedy Belkacem zanosił nas po kolei do łóżka. W miłości i oddaniu żadna instrukcja obsługi nie jest potrzebna.

Mój ojciec w Algierze chodził do pracy w płóciennych spodniach i w marynarce z wywatowanymi ramionami. Nosił koszulę z krótkimi rękawami, krawat i co wieczór czyścił szczotką swoje skórzane buty. Domyślałem się, że wykonuje pracę raczej umysłową i niebrudzącą. Nie miałem pojęcia jaką, ale nie pytałem; w gruncie rzeczy było mi obojętne, czym się zajmuje. Mój ojciec w Paryżu co rano wkładał niebieskie drelichy i na łysą czaszkę nasuwał czapkę. Był elektrykiem, nie wiedział, co to bezrobocie. Zawsze miał co robić, często bywał zmęczony, lecz nie skarżył się, ruszał do pracy. W Paryżu, tak jak w Algierze, mama siedziała w domu, zajmując się gotowaniem, sprzątaniem oraz, teoretycznie, dziećmi. Ale w tej dziedzinie Aminie, która nie przestąpiła nigdy progu typowego francuskiego domu, trudno było cokolwiek naśladować. Postanowiła więc robić tak, jak robiło się w jej rodzinnym kraju: pichciła nam różne smakołyki i zostawiała drzwi otwarte. Nie musiałem prosić

o pozwolenie, żeby wyjść, a jej do głowy nigdy by nie przyszło żądać jakichkolwiek wyjaśnień. U Arabów – jeśli wolność, to bez ograniczeń.

3

W mojej nowej dzielnicy stoi posąg. Taki sam jak w Nowym Jorku, widziałem w telewizji. Zgoda, może trochę mniejszy, ale mam sześć lat, jestem maleńki, więc nic dziwnego, że wydaje mi się niesamowicie wielki. To stojąca kobieta, okryta zwykłym prześcieradłem, unosi w górę płomień, a na głowie ma śmieszną koronę cierniową. Mieszkam teraz w blokowisku w Piętnastce[5]. Koniec z ciasnym mieszkankiem w starej części Paryża, którego miałem już dosyć, teraz jesteśmy obywatelami Beaugrenelle. To nowa dzielnica, same wieżowce, jak w Ameryce! Rodzina Sellou dostała mieszkanie na pierwszym piętrze siedmiopiętrowego budynku bez windy, zbudowanego z czerwonej cegły. Mieszka się tu jak w każdym innym blokowisku w Saint-Denis, w Montfermeil czy w Créteil. Tyle że mamy widok na wieżę Eiffla. Zresztą uważam się za chłopaka z przedmieścia. Na obrzeżach blokowiska zbudowali nam ogromne centrum handlowe, w którym jest wszystko, co trzeba, wystarczy wejść i się obsłużyć. Aż trudno uwierzyć, jak wszyscy wyłażą ze skóry, żeby mi uprościć życie.

Przy kasie w Prisuniku w zasięgu mojej małej ręki leżą plastikowe torebki. A zaraz obok stoją półki z przeróżnymi smakołykami. Uwielbiam pojemniki z cukierkami Pez, które wyglądają jak zapalniczki z figurką: naciska się, wyskakuje pudrowa cegiełka, tylko ją wsunąć na język. W krótkim czasie udaje mi się zebrać

niesamowitą kolekcję. Wieczorem układam we właściwej kolejności bohaterów moich ulubionych komiksów. Mój brat, ten utrudniacz ciągłego zwędzania, pyta:

– Skąd masz tego peza z Bratem Be, Abdelu Yaminie?

– Dostałem.

– Nie wierzę.

– Zamknij dziób, bo ci przyleję.

Posłuchał.

Bardzo też lubię okręty, łodzie podwodne i małe samochodziki do kąpieli: kręci się korbką z boku, uruchamia mechanizm i pojazd rusza. Wynoszę ich całe siatki. Jak każdy, kto przyszedł na zakupy, wchodzę do sklepu, biorę plastikową torbę, wybieram, co mi się podoba ze stojaka, wkładam to do niej i wychodzę. Któregoś dnia okazuje się, że pominąłem jeden etap. Zdaniem kierownika sklepu powinienem przejść przez kasę.

– Masz pieniądze?

– Po co mi pieniądze?

– Żeby zapłacić za to, co wziąłeś!

– A co wziąłem? To? Za to trzeba płacić? Skąd miałem wiedzieć? I niech mnie pan puści, boli mnie ramię!

– Gdzie twoja matka?

– Nie wiem, pewnie w domu.

– A gdzie jest twój dom?

– Nie wiem, gdzieś.

– Dobrze, skoroś taki uparty, idziemy na posterunek.

Nic już z tego nie rozumiem. Wiem, co to poczta[6], nieraz tam chodziłem z Aminą. Na poczcie kupuje się znaczki albo wynajmuje kabinę telefoniczną, żeby zadzwonić do kuzynów w Algierii. Jaki to

ma związek z pezami? Ach tak, już łapię! Napoczcie można też dostać pieniądze. Podaje się pani w okienku kartkę z różnymi cyframi i podpisem i wtedy ona wyjmuje z małej kasetki banknoty po sto franków. Unoszę wzrok na kierownika, który trzyma mnie mocno za rękę, jestem przerażony.

– Proszę pana, nie mamy po co iść na pocztę. Nie będę mógł panu zapłacić, bo nie mam kartki!

Patrzy na mnie z niemądrą miną, wygląda, jakby nic nie rozumiał.

– Co ty pleciesz? Bez obaw, już policjanci się tym zajmą.

Czyli ten facet to kompletny matoł. Na poczcie nie ma policjantów, a nawet gdyby się jacyś trafili, raczej nie zapłaciliby za moje cukierki…

Wchodzimy do ponurego holu. To nie jest ta poczta, którą znam. Ludzie siedzą na krzesłach pod ścianą, mężczyzna w granatowym mundurze mierzy nas wzrokiem zza swojego biurka. Kierownik nawet nie mówi dzień dobry. Z miejsca atakuje.

– Panie władzo, przyprowadzam panu tego małego złodzieja, którego złapałem na gorącym uczynku u siebie w sklepie!

Na gorącym uczynku… Facet naoglądał się w telewizji za dużo porucznika Columbo… Odymam usta i przechylam w bok głowę: staram się wyglądać jak Calimero, czarny kurczak z kreskówki, kiedy zamierza wyseplenić swoją kultową odzywkę: „To nie jest sprawiedliwe. To zbyt niesprawiedliwe!”. Pokazując mój łup dyżurnemu glinie, kierownik dodaje:

– Niech pan spojrzy! Pełna torba! I dam głowę, że to nie pierwszy raz!

Policjant go odprawia.

– W porządku, zajmiemy się tym.

– Zależy mi, żeby został ukarany! Niech to będzie dla niego nauczka! Nie chcę go więcej widzieć w moim sklepie!

– Powiedziałem panu, że się tym zajmiemy.

W końcu kierownik wychodzi. Ja stoję, nie ruszam się. Już nie zgrywam biednej małej ofiary, już nie udaję, że moja obecność na komisariacie to krzycząca niesprawiedliwość. Tak naprawdę właśnie do mnie dotarło, że mam w nosie, co się teraz stanie. Nie chodzi nawet o to, że się niczego nie boję: po prostu nie wiem, czego miałbym się bać! Skoro torby leżały na wysokości moich oczu, a cukierki – w zasięgu mojej ręki, trudno oczekiwać, żebym się nie obsłużył, prawda? Działałem w dobrej wierze, myślałem, że po to tam są te wszystkie karmelowe carambary, truskawkowe tagady, pezy z Myszką Miki, Goldorakiem, Albatorem…

Policjant, ledwie spojrzawszy w moją stronę, prowadzi mnie do pokoju i przedstawia swoim dwóm kolegom.

– Kierownik Prisuniku przyłapał go na buszowaniu po półkach.

Natychmiast reaguję.

– Nie po półkach! Tylko przy kasie, w cukierkach!

Tamci uśmiechają się z rozczuleniem. Wtedy jeszcze o tym nie wiem, ale już nigdy nie spotkam w tej firmie tak łagodnych twarzy.

– Lubisz cukierki?

– No pewnie, oczywiście.

– Oczywiście… No to powiesz rodzicom, żeby odtąd ci je kupowali, zgoda?

– Tak… Zgoda.

– Będziesz umiał sam wrócić do domu?

Kiwam głową, że tak.

– To dobrze. Zmykaj.

Jestem już jedną nogą za drzwiami. Za plecami słyszę, jak nabijają się z kierownika sklepu.

– No nie, co ten facet sobie wyobrażał? Że zapuszkujemy dzieciaka czy jak?

Jestem najlepszy. Udało mi się wsunąć do kieszeni trzy żelki, misie w czekoladzie. Czekam, aż znajdę się za rogiem ulicy, i próbuję pierwszego. Mam go jeszcze w ustach, kiedy dochodzę do domu. Na dole spotykam brata, który wraca z mamą z zakupów. Natychmiast robi się podejrzliwy.

– Co jesz?

– Misia.

– Skąd go masz?

– Dostałem.

– Nie wierzę.

Posyłam mu szeroki uśmiech. Na zębach pewnie mam jeszcze czekoladę.

4

Francuzi dorastają ze smyczą u szyi. To uspokaja ich rodziców. Panują nad sytuacją. To znaczy… tak im się wydaje. Obserwowałem ich rano pod szkołą. Prowadzili swoje pociechy za rękę, podchodzili pod samo ogrodzenie, motywowali je różnymi bzdurami:

– Pracuj, kochanie, bądź grzeczny!

Łudzili się, że dodają swoim dzieciom dość siły, by mogły walczyć w bezlitosnej dżungli szkolnego podwórka, na którym sami rozrabiali trzydzieści lat temu. A tylko je osłabiali.

Żeby umieć się bić, trzeba kiedyś zacząć. Na to nigdy nie jest za wcześnie.

Byłem najmniejszy, niezbyt muskularny, ale atakowałem zawsze pierwszy. I w każdej sytuacji wygrywałem.

– Daj mi swoje kulki.

– Nie dam ci, są moje.

– Mówię ci, daj mi je.

– Nie chcę!

– Na pewno?

– …Dobrze… Już dobrze! Weź je sobie…

Nie interesowały mnie lekcje, a to dlatego, że nie chciałem robić za błazna. Już mówiłem: poważać Yamine'a… I co, miałbym się ośmieszać, stanąć przed klasą i deklamować o wołu i żabie? To było dobre dla frajerów.

– Abdelu Yaminie, wyrecytujesz nam wiersz?

– Jaki wiersz?

– Bajkę Jeana de La Fontaine'a, którą miałeś się na dziś nauczyć.

– Jeana z fontanny? A czemu nie Manon ze źródełka?

– Brawo! Widzę, że znamy Pagnola[7]!

– Lepszy od bajkowego ramola.

– Sellou, wyjdź z klasy…

Uwielbiałem, jak mnie wyrzucali. Ta kara, zdaniem nauczyciela najbardziej ze wszystkich upokarzająca, stwarzała mi wspaniałą okazję, żeby się obłowić. Albo projektant paryskich szkół nie przewidział, że któregoś dnia wyląduje w jednej z nich wredny mały Abdel, albo postanowił ułatwić mi zadanie: wieszaki na płaszcze znajdowały się na zewnątrz klas, na korytarzu! A co można znaleźć w kieszeniach tych płaszczy? Franka albo dwa, a w dobre dni nawet pięć, jo-jo, herbatniki, cukierki! Więc dla mnie wyrzucenie z klasy to prawdziwa gratka…

Już widziałem te maluchy, jak mażą się wieczorem po powrocie do domu.

– Mamo, nie wiem, co się stało, nie mam mojego pieniążka…

– No proszę, i znów nie pilnowałeś swoich rzeczy. Zobaczysz, nie dam ci już więcej pieniędzy!

Akurat, do następnego razu, a kolejne żniwo małego Abdela będzie równie obfite…

W dniu, w którym skończyłem dziesięć lat, a szkoła w ramach urodzinowego prezentu zafundowała mi wystawienie na korytarz, znalazłem kawałek tektury na wagę złota. Był dobrze ukryty pod białoróżową chusteczką do nosa w kieszenidziewczyńskiej kanadyjki. W dotyku grubszy od banknotu, większy od biletu do

kina, ale nie od razu odgadłem, co mi się tak naprawdę trafiło. Zdjęcie. Trzymałem w ręku portret właścicielki kurtki, tyle że nie była to zwykła fotografia. Nazywają to ujęciem amerykańskim: od głowy do pasa. A dziewczyna była goła.

Przyznaję: jeśli byłem za młody na kradzieże, na to nie byłem za młody. Od razu się połapałem, jaką korzyść mogę mieć z tego znaleziska.

– Vanessa, Vanessa, mam coś, co chyba do ciebie należy…

I udając, że szczypię się za sutki, dodałem:

– Rosną, co?

– Abdel, natychmiast mi oddaj to zdjęcie.

– O nie, jest bardzo ładne, zachowam je dla siebie.

– Oddaj albo…

– Albo co? Poskarżysz się dyrektorowi szkoły? Jestem pewny, że też by je chętnie zobaczył.

– Czego chcesz?

– Pięć franków.

– Dobrze. Jutro ci przyniosę.

Nasza transakcja przedłużyła się o kilka dni. Pięć franków to było zbyt tanio; zażądałem więcej i jeszcze więcej. Miałem świetną zabawę, ale Vanessa nie umiała przegrywać i zakończyła ją. Któregoś dnia, gdy wróciłem do domu, rodzice wzięli mnie za rękę.

– Abdel, idziemy na posterunek.

– Chcecie powiedzieć na pocztę?

– Nie, nie na pocztę. Dostaliśmy wezwanie na komisariat. Co zmalowałeś?

– No, szczerze mówiąc… Nie bardzo rozumiem…

Rozumiałem, i to dobrze, ale miałem na myśli coś bardziej kłopotliwego niż nędzny haracz. Kiedy policjant wyłuszczył powody tego zaproszenia, o mało nie westchnąłem z ulgą.

– Panie Sellou, pański syn Abdel Yamine jest oskarżony o wyłudzenie pieniędzy.

Dla Belkacema to było zbyt skomplikowane. Zresztą ja sam zrozumiałem, o co chodzi, dopiero wtedy, kiedy wymienił nazwisko Vanessy. Puścili mnie, gdy obiecałem, że następnego dnia zwrócę zdjęcie właścicielce. Rodzice nic z tego nie pojęli, wyszli za mną bez słowa, o nic mnie również nie pytali. Nie zostałem ukarany ani w domu, ani w szkole.

Wiele lat później dowiedziałem się, że dyrektor mojej podstawówki wylądował w więzieniu; oprócz innych przekrętów podbierał też pieniądze z kasy spółdzielni uczniowskiej. Naprawdę niełądnie jest okradać dzieci.

5

Codziennie rano w drodze do szkoły zaopatrywałem się w śniadanie. Dostawcy zostawiali palety z towarem pod drzwiami jeszcze zamkniętych sklepów i spokojnie jechali dalej. Każdy ładunek był zabezpieczony mocno naciągniętą plastikową folią. Wystarczyło zahaczyć paznokciem, żeby się obsłużyć. Tu pudełko galaretek, tam puszka soku pomarańczowego; było wszystko, stało zwyczajnie na chodniku, czyli znowu w zasięgu ręki. Tak naprawdę jedno pudełko ciastek więcej, jedno mniej… Dzieliłem się z Mahmoudem, Nassimem, Ayoubem, Macodou, Bokarym. Kumplowałem się ze wszystkimi dzieciakami z blokowiska Beaugrenelle, wśród których niewielu było Édouardów, Jeanów czy Louisów. Nie dlatego, że ich nie chcieliśmy, ale ponieważ woleli się między nas nie mieszać. Zresztą byłem raczej typem prowodyra i samotnika. W myśl zasady: kto mnie lubi, idzie za mną, a kiedy się odwracałem, stwierdzałem, że idzie za mną trochę zbyt wielu.

Wałęsaliśmy się po asfaltowym placu między blokami, który był naszym głównym punktem zbiorczym. Wyglądaliśmy pięknie, ubrani w najmodniejsze ciuchy, w odpowiednie marki. Kurtka od Chevignona, lewisy z charakterystycznym łukowatym zdobieniem na kieszeniach, szalik Burberry pod szyją. Dresy z trzema paskami Adidasa. Polo Lacoste’a, do którego zawsze miałem słabość. Do dziś bardzo lubię małego krokodylka na kieszonce koszuli.

Kiedy po raz pierwszy złapali mnie w sklepie Go Sport, wcześniej zdążyłem go już wielokrotnie obrobić. Nic prostszego: wchodziłem, wybierałem ciuchy, które mi się podobały, w przymierzalni wkładałem je po kolei na siebie i jak gdyby nigdy nic, wychodziłem tą samą drogą, tyle że trochę grubszy niż wcześniej. Mówię o czasach, kiedy nie było jeszcze żadnych ochroniarzy ani systemów zabezpieczeń. Bluzy wisiały na wieszakach z ręcznie wypisaną etykietką przy dziurce od guzika. Któregoś dnia pojawiły się ustrojstwa mające zapobiegać kradzieży, jakoby niezawodne. A przecież spinaczem można je było unieszkodliwić, wystarczyło mieć pomysł, a pomysłów nigdy mi nie brakowało, tak samo jak nigdy nie brakowało mi czasu.

Bardzo wcześnie przestałem chodzić z rodzicami na ich niedzielne wyprawy do Tuileries, do menażerii w ogrodzie botanicznym czy do zoo w Vincennes. W niedzielę po południu całą rodziną sennie gapiliśmy się na *Starsky'ego i Hutcha,* dopóki nie wpadł po mnie Yacine, Nordine czy Brahim. Schodziliśmy na plac i główkowaliśmy, czym by się tu zająć, co by nowego wymyślić i wprowadzić w czyn.

W dniu Pańskim centrum handlowe było zamknięte. Duża niedogodność, nici z zakupów. Chociaż… Co stoi na przeszkodzie, żeby jednak wejść? Przecież te tam metalowe drzwi prowadzą do sklepu, nie? W końcu jakie jest ryzyko…

ŻADNE.

Dowód.

* * *

W magazynie Go Sport obok przymierzalni znajdują się drzwi z małą tabliczką: „Wyjście awaryjne". Kiedy sprzedawca potrzebuje

jakiegoś ciucha, którego nie ma na stoisku, wychodzi przez nie i wraca, niosąc ów towar. Wywnioskowałem dwie rzeczy: że za ścianą jest magazyn i że wyjście z tego magazynu prowadzi na ulicę. Nawet taki kretyn jak inspektor Gadżet by na to wpadł.

I właśnie stoimy przed nimi: drzwi są metalowe, takie, jakie widuje się przy wyjściu z kina. Z zewnątrz idealnie płaskie, bez żadnego uchwytu, bo nie mają zamka, otwiera się je od środka, naciskając gruby, poprzeczny metalowy pręt. W razie pożaru, nawet jeśli rzucą się do nich dziesiątki ludzi, wystarczy jedno pchnięcie, żeby ustąpiły. Natomiast z zewnątrz nie można ich otworzyć. Teoretycznie. Niczym gadżeciarski detektyw-cyborg odblokowuję je dłutem, wsuwam stopę w szczelinę, a Yacine ciągnie z całej siły i już po chwili wślizgujemy się do jaskini Ali Baby.

Ale zaraz, co to za bramka, pod którą właśnie przechodzimy? Niczego takiego dotąd nie widzieliśmy. Nieważne, nie przyszliśmy się tu bawić w turystów. Wkładam dłuto do kieszeni bluzy i przystępujemy do eksploracji zgromadzonych dóbr. W większości są jeszcze złożone i w plastikowych workach, a to spora niewygoda, kiedy chce się sprawdzić, czy odpowiada nam fason i czy pasuje rozmiar. Yacine dokonał odkrycia.

– Abdel! Popatrz tylko na te spodnie! Odlotowe!

Zerkam na stojącego przede mną kumpla. Fakt, dżinsy wyglądają sympatycznie. Ale owczarek niemiecki, który szczerzy zęby tuż za jego plecami, już mniej. Przesuwam spojrzeniem wzdłuż smyczy i napotykam pięść niemal równie włochatą jak brytan. Sunę wzrokiem dalej i widzę kwadratowy czerep zwieńczony czapką z daszkiem. OCHRONA. Czyli sprawa jest jasna.

Strażnik chwyta Yacine’a za kołnierz bluzy.

– Wy dwaj idziecie ze mną.

– Ale proszę pana, nic nie zrobiliśmy!

– Przymknij się!

Wyprowadza nas przez jakieś małe wyjście, tym razem od strony centrum handlowego, i zamyka w toalecie dla personelu.

Szczęk klucza; drzwi mają zamek od zewnątrz! Pękam ze śmiechu.

– Widziałeś to, Yacine? Ale cwaniury! Przewidzieli, że ich kible będą robić za celę dla złodziei złapanych na gorącym uczynku! To się nazywa optymalne wykorzystanie powierzchni!

– Przestań się wygłupiać, mamy przesrane.

– Wcale nie, dlaczego? Nic nie wzięliśmy!

– Bo nie zdążyliśmy. I włamaliśmy się do magazynu.

– Kto się włamał? Ty, Yacine? Jasne, że nie, i tak samo ja! Drzwi były otwarte, my tylko weszliśmy!

Mówiąc to, podnoszę pokrywę i wrzucam dłuto do zbiornika z wodą.

Kilka minut później właściciel psa wraca w towarzystwie dwóch policjantów. Przedstawiamy im naszą wersję wydarzeń. Strażnik nie jest głupi, ale niczego nam nie może udowodnić, więc przeprasza gliniarzy i odprowadza nas tam, skąd przyszliśmy.

– Dla waszej wiadomości, chłopcy, ta bramka to alarm. Kiedy się pod nią przejdzie, zapala się czerwone światło w budce strażnika.

Udaję, że jestem zachwycony tym najnowszym cudem techniki.

– Ekstra. Coś takiego bardzo się przyda.

– Bardzo.

Metalowe drzwi zamykają się za nami. Dołączamy do reszty blokersów, zarykując się ze śmiechu.

Największego wyczynu, to znaczy największego pod względem gabarytów, dokonałem, nie mając jeszcze dziesięciu lat. W sklepie z zabawkami Niebieska Ciuchcia, w tymże centrum handlowym w Beaugrenelle, zwinąłem gokart. Prawdziwy elektryczny samochód, można było do niego wsiąść! Pamiętam, jak dźwigając potwora na głowie, zbiegłem pędem po schodach z kierownikiem sklepu depczącym mi po piętach.

– Stój, łobuzie, zatrzymaj się!

Rzecz kosztowała majątek.

Potem razem z kumplami wypróbowaliśmy go na placu przed blokiem. Jeździł tak sobie. Po prawdzie niewart był swojej ceny.

6

Weszło mi to w krew. Nie mogłem się już zmienić. Miałem dwanaście lat i nie było najmniejszej szansy, żebym nagle stał się porządnym obywatelem, jakiego oczekiwało społeczeństwo. Podobnie reszta chłopaków z blokowiska. Wszyscy bez wyjątku wkroczyliśmy na tę samą drogę i już z niej nie schodziliśmy. Trzeba by nas pozbawić wolności, którą ceniliśmy najbardziej, być może odseparować od siebie, a i tak… Nic by to nie dało. Jedyne wyjście to przeprogramować nas od a do zet, tak jak czyści się twardy dysk komputera. Ale nie jesteśmy maszynami, a nikt nie mógł pozwolić sobie na użycie tej samej broni co nasza, czyli nieznającej prawa ni granic siły.

Bardzo wcześnie zrozumieliśmy, jak działa świat. Wszędzie, gdzie żyliśmy, w Paryżu, Villiers-le-Bel czy Saint-Troufignon-de-la-Creuse trwała ta sama walka: my, dzicy, kontra cywilizowany lud Francji. Nie musieliśmy nawet walczyć o zachowanie swoich przywilejów, ponieważ w oczach prawa, cokolwiek byśmy przeskrobali, pozostawaliśmy dziećmi. A tutaj dziecko nie odpowiada za swoje czyny. Wynajduje się dla niego najróżniejsze usprawiedliwienia: nazbyt opiekuńczy albo nie dość opiekuńczy rodzice, bieda lub bogactwo… W moim przypadku był to, cytuję: „uraz w wyniku porzucenia”.

Początek pierwszej klasy w gimnazjum Guillaume'a Apollinaire'a w Piętnastce i pierwsze spotkanie z psychologiem.

Oczywiście z psychologiem szkolnym. Zaniepokojony moim dossier, w którym już wtedy nie brakowało powodów do wyrzucenia ze szkoły, oraz mało pochlebnymi opiniami nauczycieli, zażyczył sobie mnie poznać.

– Abdelu, nie mieszkasz ze swoimi prawdziwymi rodzicami, nieprawdaż?

– Mieszkam z wujkiem i z ciotką. Teraz oni są moimi rodzicami.

– Są twoimi rodzicami od czasu, kiedy twoi prawdziwi rodzice cię porzucili, nieprawdaż?

– Wcale mnie nie porzucili.

– Abdelu, kiedy rodzice przestają się zajmować swoim dzieckiem, to znaczy, że je porzucają, nieprawdaż?

Niech już skończy z tym swoim „nieprawdaż?".

– Mówię panu, że mnie nie porzucili. Powierzyli mnie innym rodzicom i tyle.

– Nazywa się to porzuceniem.

– Nie u nas. U nas się tak robi.

Psycholog wzdycha, że jestem taki uparty.

Trochę spuszczam z tonu, żeby pozwolił mi już iść.

– Panie psychologu, niech się pan o mnie nie martwi, jest w porządku. Nie mam żadnej traumy.

– Ależ tak, Abdelu, masz, siłą rzeczy masz!

– Skoro pan tak uważa…

Jedno jest pewne, my, wszyscy młodzi z blokowisk, żyliśmy w nieświadomości. Nie było nigdy żadnego wyraźnego sygnału, który by nam uzmysłowił, że weszliśmy na złą drogę. Rodzice nie

mówili nic, bo nie wiedzieli, co powiedzieć. Nawet jeśli nie pochwalali naszych poczynań, nie mieli możliwości naprowadzenia nas na właściwe tory. U większości ludzi z Maghrebu i Afryki dziecko samodzielnie zdobywa doświadczenia, choćby nie wiem jak niebezpieczne. Tak już jest.

Moralność pozostawała w warstwie słownej, nikt jej nie egzekwował.

– Źle sobie poczynasz, chłopcze! – słyszałem od nauczycielki w szkole, kierownika sklepu, policjanta, który złapał nas po raz trzeci w ciągu piętnastu dni.

Na co oni wszyscy czekali? Że człowiek zakrzyknie ze zgrozą: „O mój Boże, zachowałem się głupio, co mnie napadło, narażam własną przyszłość!”? Przyszłość była pojęciem nieznanym, nie brało się jej pod uwagę, nikt nie wybiegał myślą naprzód, nikt nie przewidywał ani ciosów, które zada, ani tych, których będzie próbował uniknąć. Było nam wszystko jedno.

– Abdelu Yaminie, Abdelu Ghany, chłopcy, popatrzcie. Dostaliście list z Algierii.

Nie fatygowaliśmy się nawet odpowiedzieć Aminie, że na co nam on. List został na kaloryferze w przedpokoju, aż wreszcie znalazł go Belkacem i postanowił otworzyć.

– To od waszej matki, pyta, jak wam idzie w szkole, czy macie przyjaciół – nieśmiało go nam streścił.

Parsknąłem śmiechem.

– Czy mam przyjaciół? Tato, jak uważasz?

Kazano nam chodzić do gimnazjum, czasami chodziliśmy. Zjawialiśmy się spóźnieni, głośno rozmawialiśmy w klasie, zwędzaliśmy to i owo z kurtek, z piórników, z plecaków.

Rozrabialiśmy dla zabawy. Każdy powód był dobry, żeby się pośmiać. Tak jak lwa ekscytuje uciekająca gazela, tak nas ekscytował lęk, który widzieliśmy na twarzy drugiej osoby. Gonienie łatwej zdobyczy nas nie bawiło. Ale widok niepewności w oczach ofiary, wypatrywanie momentu, kiedy uświadomi sobie bliskie niebezpieczeństwo, słuchanie jej targów o ocalenie, podpuszczanie, by uwierzyła w naszą życzliwość, zanim zadamy pierwszy cios. Byliśmy bez litości.

* * *

Dostałem chomika. Powierzyła mi go (bez zapału, ale nie było innych chętnych) koleżanka z gimnazjum, gdzie uczęszczam już do drugiej klasy. Biedaczka, wydała całe kieszonkowe, żeby zafundować sobie przyjaciela, ale kiedy miała go zanieść do domu, przestraszyła się, że ją opieprzą…

– Niepotrzebnie go kupiłam, ojciec zawsze powtarza, że nie chce żadnych zwierząt w mieszkaniu…

– Nie bój się, znajdę mu nowy dom.

Śmieszny jest, podobny do szczura. Chrupie toto swoją karmę, pije, śpi, sika. Cały mój zeszyt do matmy jest mokry. Przez wiele dni targam to coś w plecaku. W klasie siedzi ciszej ode mnie, a kiedy zachce mu się pogadać, ma z kim: moi kumple też bardzo udatnie popiskują. Nauczycielka się dziwi.

– Yacine, przyciąłeś sobie rękę suwakiem piórnika?

– Niestety, proszę pani, to nie ręka, ale boli!

Cała klasa wybucha śmiechem. Nawet małe mieszczuchy z Piętnastki cenią nasze błazenady. Wszyscy znają prawdziwą przyczynę dziwnych odgłosów dobiegających z mojego tornistra,

lecz nikt mnie nie sypie. Vanessa, znów ona, ma czułe serce i niepokoi się o chomika. Podchodzi do mnie na przerwie.

– Abdel, daj mi go. Zajmę się nim, jak trzeba.

– Takie zwierzę sporo kosztuje, ślicznotko.

Wyłudzenie pieniędzy za pierwszym razem się nie powiodło, liczę, że teraz sobie to odbiję.

– Trudno. Zachowaj sobie tego swojego chomika.

Cholera, uparta zołza! I wtedy wpadam na sprytny pomysł:

sprzedam jej zwierzątko po kawałku.

– Słuchaj, Vanessa, dziś wieczór mam zamiar na podwórzu obciąć mu jedną łapkę, żeby zobaczyć, jak potem będzie biegał. Przyjdziesz zobaczyć?

Niebieskie paciorki jej oczu obracają się zupełnie jak moje majtki w bębnie pralki.

– Zwariowałeś? Chyba tego nie zrobisz?

– Jest mój, to moja sprawa.

– Okay. Dam ci za niego dziesięć franków. Jutro ci je przyniosę. Nic mu nie zrobisz, zgoda?

– Spoko…

Nazajutrz Vanessa trzyma w dłoni monetę.

– Dam ci ją, Abdelu, ale najpierw chcę zobaczyć chomika.

Rozchylam plecak, a wtedy wręcza mi pieniądze.

– W porządku, teraz mi go daj.

– O nie, Vanessa! Dziesięć franków było tylko za jedną łapkę. Druga to następne dziesięć franków!

Jeszcze tego samego wieczoru przynosi mi pieniądze pod blok.

– A teraz już dosyć, dawaj chomika!

– Posłuchaj, sarenko, mój chomik ma cztery łapki… Ale dwie ostatnie odstąpię ci za piętnaście franków, zrobisz dobry interes.

– Abdel, jesteś naprawdę łobuzem! W porządku, daj mi chomika i w czwartek zapłacę ci w szkole.

– Nie wiem, Vanessa, czy mogę ci zaufać…

Pąsowieje ze złości. A ja krztuszę się ze śmiechu. Wręczam jej cuchnącą włochatą kulkę i patrzę, jak z nią odchodzi. Nigdy bym chomikowi nie obciął nawet ucha. Zdechł kilka tygodni później w swojej pięciogwiazdkowej klatce. Nie umiała się nim nawet należycie zająć.

* * *

Z gimnazjum posłali mnie do liceum zawodowego w Dwunastej dzielnicy, profil mechaniczny. Nazywa się Chenneviere-Malezieux. Na początku roku szkolnego dyrektor funduje nam lekcję historii, a przy okazji naukę moralną.

– André Chennevière i Louis Malezieux byli nieugiętymi bojownikami o wolność Francji w czasach okupacji niemieckiej podczas drugiej wojny światowej. Macie szansę żyć w kraju pokoju i dobrobytu. Wy będziecie walczyć tylko o zbudowanie własnej przyszłości. Zachęcam was, byście w nauce zawodu wykazali tyle samo odwagi co panowie Chenneviere i Malezieux.

Załatwione. Jak tamci dwaj przejdę do ruchu oporu. Nigdy nie zamierzałem babrać sobie rąk smarem. Mam czternaście lat, żadnych aspiracji, moim jedynym celem jest zachowanie wolności. Jeszcze dwa lata i będą musieli mi odpuścić. We Francji szkoła jest obowiązkowa tylko do szesnastego roku życia. Ale wiem, że i wcześniej nam poluzują.

Na szczęście nie mam nic wspólnego z tym stadem, z którym każą mi się wypasać. O co chodziło w tej historii z baranami, którą nam w zeszłym roku opowiadała nauczycielka francuskiego? A, mam, barany z Panurge! Facet wrzuca jednego do morza, a pozostałe, dawaj, za nim. W tej pieprzonej budzie wszyscy uczniowie przypominają barany. Trzeba ich zobaczyć: zgaszone spojrzenie, trzy wyrazy na krzyż za całe słownictwo, jedna myśl na cały rok. Niektórzy powtarzali klasę po dwa, trzy razy. Każą wierzyć, że zainteresowali się nauką, że marzy im się matura, studia i wszystkie te bzdury. Znają tylko podstawowe odruchy: jeść, wiwat stołówka!, i pieprzyć – trudno o inne słowo, bo to nie schodzi im z ust przez cały boży dzień.

W tej klasie degeneratów wylądowały trzy dziewczyny. Przynajmniej jedna z nich, i to nie raz, przejdzie przez ich ręce… I to wielu. Mam sporo wad, ale takiej akurat przemocy nie lubię. Dzięki, chłopaki, nie skorzystam. Bawię się gdzie indziej i w inne zabawy.

7

W blokowisku robiło się nieciekawie. Z obawy przed naszymi wizytami sklepy zaczęły się wyposażać na poważnie: bramki detekcyjne, klipsy, metki samoprzylepne, coraz bardziej wymyślne zabezpieczenia przed kradzieżą, ochroniarze, personel wyczulony na pewien rodzaj klienteli… W ciągu zaledwie dwóch lat ochrona w sklepach tak się rozbudowała, że nie dało już rady obłowić się u źródła. Trzeba było albo zrezygnować z bluz z kapturem, które tak nam pasowały, albo szukać gdzie indziej… U małolatów z bogatych dzielnic. Rozumowaniu nie brakowało ani logiki, ani cynizmu, co dzisiaj szczerze przyznaję. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. I znów – byłem całkowicie niezdolny postawić się na miejscu innej osoby. Nie próbowałem, co więcej, nawet mi do głowy nie przyszło, żeby spróbować. Gdyby mnie zapytać o cierpienie skrojonego przed chwilą wyrostka, tylko bym szyderczo zarechotał. Ponieważ dla mnie nic nie było ważne, to tak samo dla innych, tym bardziej dla szczeniaka, którego starzy mają forsy jak lodu.

W gimnazjum rodzice nie odprowadzali już swoich pociech pod samo ogrodzenie. Od chwili wyjścia z mieszkania dzieciaki stawały się łatwą zdobyczą. Namierzaliśmy takiego wystrojonego jak się patrzy i otaczaliśmy go na chodniku we dwóch lub trzech. Jeden ustawiał się z lewej, drugi z prawej, trzeci zabezpieczał tyły i ruszaliśmy w tym samym kierunku jak kumple idący razem do szkoły. Przechodnie nas mijali i nie zauważali nic niepokojącego.

Myślę, że widok wydawał im się nawet uroczy: „Więc ten mały przyjaźni się z dwoma Arabami! Chłopiec z dobrej rodziny, a jakie dobre ma serce, że nie odrzuca tych łobuziaków prowadzących z pewnością dość burzliwe życie…”. Ale przechodnie nie słyszeli, co mówimy.

– Te twoje trampki, to ile?

– Pytacie o rozmiar? Co was to obchodzi?

– Odpowiedz.

– Czterdzieści.

– Czterdzieści, ekstra! Dokładnie takich potrzebuję. Wyskakuj z nich.

– Jeszcze czego, przecież nie pójdę do szkoły w skarpetkach.

– Mam w kieszeni nóż. Chyba nie chciałbyś zabrudzić sobie tego pięknego błękitnego sweterka brzydkimi czerwonymi plamami? Siadaj tu!

Wskazywałem ławkę, stopień, próg zamkniętego jeszcze sklepu.

– No już, ściągaj je, migiem!

Pakowałem najki do plecaka i odchodziłem z Yacine’em, któremu, jako że nosił już czterdzieści dwa, trudniej było zaopatrzyć się wśród małolatów z gimnazjum.

Czasem któryś oberwał pięścią albo dostał kopniaka. To było wtedy, kiedy gówniarz się opierał. Uważaliśmy taką reakcję za kompletne kretyństwo. Dla pary kamaszy… Kilka razy mnie złapali. Siedziałem wtedy godzinę lub dwie na komisariacie, po czym wracałem i wszystko było po staremu. Francuska policja nie jest wcale taka straszna, jak pokazują na filmach. Nikt mi nigdy nie przyłożył w łeb książką telefoniczną, nie dostałem nawet w twarz. We Francji dzieci się nie bije, to nie do pomyślenia. Nie biło się ich

też u Belkacema i Aminy. Pamiętam za to krzyki niektórych sąsiadów: ojca, który lał syna pasem po plecach, syna, który wył z bólu, matki, która wrzeszczała, żeby już skończyć z tą torturą. Pamiętam Moulouda, Kofiego, Sekou, którzy już byli dorośli, a jeszcze dostawali. Potem przez kilka dni nie wolno ich było klepać po ramieniu, a już zwłaszcza wspominać kary, mówić, że się słyszało i wszystko się wie. Zresztą to nic nie zmieniało: życie po laniu było takie samo jak przed. Mouloud, Kofi i Sekou nadal dyżurowali pod blokiem albo na placu i równie szybko biegali.

* * *

Nabrałem śmiałości, oddalam się od Piętnastki. Linią 10 jadę do Charles-Michel, przesiadka na Odeonie, wysiadam na Chatelet-Les Halles. Mnóstwo ludzi, głównie czarni i Arabowie. Niektórzy odstawiają Amerykanów. Obżerają się hamburgerami, chcą nabrać sylwetki breakdancerów. Z daleka słychać, że idą, z wielkim ghettoblasterem ryczącym na ramieniu. Bejsbolówka na głowie, ale daszkiem do tyłu, spodnie możliwie największego rozmiaru, jaki udało im się dostać. Stawiają na ziemi swój radiomagnetofon, podkręcają dźwięk i ruszają do tańca. Dostarczają widowiska i muzycznego tła, zagłuszają gwar negocjacji.

Każdy tu załatwia swoje drobne interesy, nie przejmując się innymi. Wtapiam się w tłum. Zjem sandwicza, upłynnię jakąś kurtkę Lacoste'a czy mokasyny Westona, nic złego: prochy krążą gdzie indziej, poza zasięgiem moich oczu. Ten rodzaj handlu mnie nie interesuje, chyba że chodzi o wkurzenie złotej młodzieży z Szesnastki, która pragnie podkręcić atmosferę swoich imprez. Sprzedaję im suszoną paprykę, chociaż ani kolorem, ani zapachem

nie przypomina trawki. Nie wygląda, żeby ich to dziwiło, dają się nabrać. Siekam kawałek kory klonu, formuję bardzo udatną sztabkę. Potem wystarczy potrzeć ją dla koloru i zapachu odrobiną haszyszu, prawdziwego haszyszu, i zapakować w kawałek gazety. Klient, żółtodziób w szkolnej marynarce, melduje się w pobliżu Fontanny Niewiniątek.

– Masz to, masz to?

– A ty masz kasę?

Interes zostaje natychmiast ubity, chłopak, nie ociągając się, odchodzi. Wyobrażam sobie jego minę, kiedy otworzy paczkę. Wyjmie swoje bibułki i tytoń, który schował pod materacem, spróbuje rozkruszyć hasz, żeby skręcić jointa, poplami sobie palce. Dobry ten mój towar, Jean-Bernard? Nie żartuj, przecież to kora!

Imprezy (nazywamy je zuluskimi, bo telewizja nadaje właśnie serial, którego bohaterem jest afrykański wódz Zulus Czaka) odbywają się w podziemiach. Wszyscy, obojętnie skąd pochodzimy, jesteśmy kumplami. A ponieważ wszyscy jesteśmy kumplami, nic o sobie nie wiemy. Znam imię albo ksywkę każdego z bywalców, dla których jestem „Małym Abdelem”.

I na tym koniec. Nie znam ich nazwisk, oni nigdy nie słyszeli o Sellou. Mówią na mnie Mały z powodu wzrostu, nie ze względu na wiek, bo mam już piętnaście lat. Widuje się tu wielu młodszych ode mnie, a nawet naiwne dziewczyny. Flirtują z zagrożeniem, które dobrze wyczuwają, lubią spojrzenia tych chłopaków silnych jak dorośli mężczyźni, a potem będą tego gorzko żałowały. Obserwuję z bliska cały ten światek, lecz tak naprawdę się z nim nie integruję. Jednego wieczoru stoję z punkami na zewnątrz; innego, kiedy pada, dobijam interesów pod osłoną podziemnych korytarzy.

– Ej! Mały Abdel! Mam namiary na dziś wieczór. Jakaś laska z Henryka Czwartego[8] organizuje u siebie imprezę niedaleko Ranelagh. Jej starych nie będzie w domu, co ty na to?

– Wchodzę!

Gdy trafi się taka okazja, zazwyczaj przychodzimy i grzecznie uczestniczymy w zabawie, dopóki jeden z nas nie da sygnału do ewakuacji. Wtedy czyścimy lokal. Zawsze znajdzie się co najmniej jakiś magnetowid najnowszej generacjiwart skrojenia. Starannie rozłączam kable, metodycznie je zwijam. Młoda gospodyni jest wstrząśnięta. Co ci nowi koledzy wyprawiają? Jeszcze pięć minut temu byli tacy mili! Skąd mogłam wiedzieć? Ach, niegrzeczni chłopcy! Zamyka się w swojej sypialni. Kumple mają zabawę, widząc, jak najspokojniej w świecie kroczę po ulicy ze sprzętem ważącym prawie tyle co ja.

– Mały Abdelu, jesteś najlepszy!

Pewnie… Tego wieczoru włóczymy się po placu Carrée, nie wiedzieć czemu nazwanym kwadratowym, skoro jest raczej okrągły. Nagle w głębi pod ścianą między dwójką gostków zaczyna się robić gorąco. Każdy z nas patrzy przed siebie, żaden nie podchodzi. Nie mieszamy się do cudzych spraw. Nigdy. Tamci się na siebie rzucają, zwykły obrazek.

Mniej zwykły jest widok krwi tryskającej z gardła jednego z nich. A już całkiem niezwykły – widok ryżu, białego ryżu, który wypada z ust czarnego. Martwego jak nic.

W ułamku sekundy pierzchamy niczym stado gołębi. Nie widziałem ostrza, które weszło w ciało, musiało być szerokie, solidne, a trzymająca je ręka – silna. Zdeterminowana. Właśnie dlatego unikam twardych prochów; ani ich nie biorę, ani nie

sprzedaję. To handel, który prowadzi zbyt daleko. Śmieszne: ja, który nie zadaję sobie żadnych pytań i kradnę bez skrupułów, wiem już, że nigdy nie zabiję dla pieniędzy. Tylko patrzeć, jak pojawią się gliny, gnam na złamanie karku, wszyscy świadkowie sceny rozbiegli się po mieście i jego podziemiach. Widziałem głowę zabitego bezwładnie przechyloną na bok, prawie odciętą. Nie widziałem nic.

8

W mojej dzielnicy też się umierało, z samotności i z rozpaczy, jak to w miastach. Ludzie popełniali samobójstwa, najczęściej rzucali się z okna. Za każdym razem było to wielkie wydarzenie. W małym Beaugrenelle mieszkały nas setki, prawie z tysiąc osób, wszyscy wszystkich znali. W takim nagłym zniknięciu jednego z mieszkańców było coś sensacyjnego. Starsi, którzy zwykle nie wytykali nosa ze swoich mieszkań, wychodzili na klatkę schodową porozmawiać z sąsiadami. Ale w gruncie rzeczy nic nie mówili. Niektórzy chcieli tylko, żeby ich widziano, chcieli pokazać innym, że współczują temu biednemu panu Benboudaoudowi, który się w końcu załamał. Inni próbowali się popisać, jacy są bystrzy, wyjaśniając powód samobójstwa, oczywiście tylko im jednym znany.

– Biedny Youssef, nie mógł dłużej wytrzymać tego życia w pojedynkę, czuł się taki samotny od śmierci żony, kiedy to było?

– Z pięć lat temu, ale myli się pan, nie z powodu żony się zabił.

Cisza, napięcie, tusz werbli, tamten stoi z rozdziawionymi ustami, czekając na rozwiązanie zagadki.

– Zabił się, bo przeczytał list!

– Naprawdę? A co takiego było w tym dzisiejszym liście?

– Nie widział pan, że kiedy się roztrzaskał, wciąż go trzymał w ręku?

To prawda. Stary Youssef wyskoczył z siódmego piętra, ściskając w dłoni wezwanie do urzędu podatkowego. Że też po drodze nie wypuścił tego świstka!

Pamiętam też innego gościa, ostro tankującego Francuza, uginającego się pod ciężarem swojego przegranego życia. Mieszkał w sąsiedniej klatce z żoną taką samą pijaczką jak on. Wyskoczył przez okno, bo go zostawiła dla innego. Tyle że on akurat mieszkał na pierwszym piętrze… Połamał sobie kości, leżał na plecach z ramieniem podwiniętym gdzieś pod karkiem, z nogą na wysokości pasa, z łokciem wbitym w żebra. Kiedy przyjechali strażacy, popatrzyli na tego pogruchotanego pajaca i nie wiedzieli, jak go zebrać z ziemi. Nakryli go kocem termicznym, piękną złocistą płachtą. Biedny rogacz olśnił nas wszystkich w swojej ostatniej godzinie.

Przypomina mi się jeszcze inny wypadek, tak obrzydliwy, że aż śmieszny: Leila, grubaska, która nigdy nie wychodziła z domu, rzuciła się z szóstego piętra. Jej ciało rozbiło się na asfalcie z głośnym pac! – jak przejrzały pomidor. Znów historia miłosna: jej facet sprowadził sobie pod ich wspólny dach inną. Ten sam facet, którego pod koniec następnego lata znaleziono w łóżku w stanie częściowego rozkładu; miał raka w ostatnim stadium, a jego nowa wybranka pojechała sobie na wakacje. Kiedy wróciła, kazała uprzątnąć dwupokojowe mieszkanie i żyje w nim do dziś.

Jednak miałem pecha, jak o tym pomyślę: ja, który ciągle się gdzieś włóczyłem i jadłem w domu jeden posiłek na osiem, zawsze byłem w blokowisku, kiedy coś takiego się działo. I za każdym razem natychmiast wiałem. Zaraz zjawiali się gliniarze, robili

dochodzenie. Jeśli nawet nie wiedziałem, z jakiego powodu mogliby mnie szukać, to i tak lepiej było ich unikać.

* * *

Szukali mnie jako świadka zabójstwa na Châtelet-Les Halles. Na placu Carrée były zainstalowane kamery, cała scena została sfilmowana, tyle że obraz był nie najlepszej jakości i nie wystarczył do zidentyfikowania mordercy. Wielki Murzyn w dresie i adidasach – takich było od groma. Ale mnie rozpoznali. Trzeba przyznać, że znaliśmy się z gliniarzami już dość dobrze. Za każdym razem, kiedy mnie dopadli, trzymali najdłużej jak pozwalało prawo, a potem wypuszczali, obiecując, że niedługo znów się spotkamy.

I spotkaliśmy się, z powodu czegoś tak głupiego jak kontrola dokumentów na podmiejskim dworcu, na którym się któregoś ranka obudziłem. W liceum nie pokazywałem się już prawie wcale, niewiele częściej bywałem w domu; nocowałem w pociągach podmiejskich jak inni blokersi z Châtelet, z którymi prowadzałem się wieczorami. Włóczyliśmy się do bladego świtu, a kiedy koło czwartej lub piątej ruszały pierwsze pociągi, schodziliśmy na stację, wsiadaliśmy do pierwszego lepszego wagonu i przesypialiśmy parę godzin. Od czasu do czasu otwierałem oko i widziałem przed sobą faceta w tanim garniturze, pod krawatem, z teczką na kolanach. Cud, że nie przykuł jej sobie do ręki kajdankami. Mierzyliśmy się spojrzeniem i nie wiem, w czyim było więcej pogardy. Dalej, hetaj tak, myślałem, zrywaj się bladym świtem, żeby zarobić te swoje nędzne grosze. Ja tam dalej śpię.

I z powrotem zasypiałem, szwy siedzenia odciskały mi się na policzku, raczej nie pachniałem jak fiołek, ale w Paryżu nigdzie nie

pachnie fiołkami. Głos w megafonie obwieszcza:

– Saint-Remy-les-Cheuvreuse, koniec trasy. Wszyscy pasażerowie są proszeni o opuszczenie pociągu.

W uchu słyszę czyjeś ponaglenia.

– Abdel, Abdel, kurwa, Abdel, obudź się! Musimy wyjść z wagonu. Pociąg zjeżdża do zajezdni!

– Daj mi pospać…

Po chwili ktoś potrząsa moim ramieniem i rzuca oschłym tonem:

– Kontrola dokumentów. Chciałbym zobaczyć twoje papiery!

Ocknąłem się w końcu, szeroko ziewnąłem i pomyślałem, żeby sprawdzić na zegarku, która godzina, ale na szczęście w porę się powstrzymałem. Umundurowany beneficjent płacy minimalnej mógłby się zorientować, że raczej go nie dostałem na Pierwszą Komunię.

– A ja bym chciał rogalika z kawą…

– Humor ci dopisuje na dzień dobry, to dobrze.

Nonszalancko podałem mu swoje dokumenty, rzecz jasna w porządku. Urodzony w Algierze, niedawno przedłużone prawo pobytu. A nawet proces naturalizacji w toku: w latach osiemdziesiątych każdy, kto mieszkał we Francji dłużej niż dziesięć lat, mógł zostać posiadaczem niebiesko-biało-czerwonego paszportu. Nie miałem oporów. Ten idiota mój brat nie dopilnował kontaktów z administracją i w 1986 roku został odesłany z powrotem do Algierii. Belkacem i Amina stracili syna, pewnie tego, którego woleliby zatrzymać. Drugiego musieli odbierać z komisariatu.

– Sellou, idziesz ze mną, PK chce cię przesłuchać.

– PK? A co to jest PK?

– Nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiesz, co to jest policja kryminalna!

Od razu skapowałem, że chodzi o zabójstwo na Châtelet. Jedyna na tyle gruba sprawa, by zasługiwała na wizytę na île de la Cité. Wiedziałem, że nic mi nie grozi: byłem tylko świadkiem, nie znałem tożsamości sprawcy. Przynajmniej raz nie kłamałem. Nie było powodu odstawiać cwaniaka: o nic mnie nie oskarżano, mogłem powiedzieć szczerą prawdę. Była bójka, cios nożem, facet upadł, koniec sprawy.

Ale początek moich kontaktów z policją kryminalną.

9

Skończyłem szesnaście lat. Parę dni temu stanąłem przed komisją dyscyplinarną w liceum i mogę się pożegnać z marzeniami o karierze mechanika. Jestem oskarżony o uporczywe absencje, a przy okazji o wykręcenie prawicy profesorowi zarządzania.

– Abdelu Yaminie Sellou, dwudziestego trzeciego kwietnia zaatakowałeś pana Peruchona. Przyznajesz się do tego czynu?

No nie, prawdziwy trybunał.

– Przyznaję, przyznaję…

– Dobrze, to już coś. Czy możesz nam zagwarantować, że to się więcej nie powtórzy?

– No cóż, to zależy od niego!

– Nie, to zależy tylko od ciebie. Możesz więc nam obiecać, że to było ostatni raz?

– Nie, nie mogę.

Zrezygnowane westchnienie dyrektora. Pozostali ławnicy nie podnoszą nawet nosa znad swoich krzyżówek. Dla nich moja bezczelność to banalna rutyna. Tyle się już na nią napatrzyli, że zastanawiam się, co trzeba by zrobić, żeby się zdziwili. Spróbuję humoru.

– Panie dyrektorze, ale chyba mnie pan nie wyrzuci?

– Tak ci nagle zaczęło zależeć na przyszłości zawodowej, Abdelu Yaminie?

– To znaczy… Tak naprawdę pytam o to z powodu stołówki. W czwartki często dają frytki. Lubię wpadać na jedzenie w czwartki.

Tamci dalej nawet nie drgną. Nawet najgrubszy, główny doradca pedagogiczny, od którego nigdy nie usłyszałem żadnej rady. Hej, ty! Mówię o frytkach! Wyobrażam go sobie jako postać z kreskówki: zamienia się w tłustego wilka, język zwisa mu do samej ziemi, z pyska kapie ślina, ale nie jest w stanie zrobić nawet kroku do talerza z frytkami, który trzyma Abdel Czerwony Kapturek.

Dyrektor przerywa moje majaczenia.

– Przykro mi, ale obawiam się, że ten kulinarny powód nie wystarczy… Przedyskutujemy to, myślę jednak, że wynik debaty jest już przesądzony. Za kilka dni dostaniesz list na adres rodziców. Możesz wyjść.

– Hm… No to do zobaczyska!

– Nie sądzę… Powodzenia, Abdelu Yaminie.

* * *

Rodzice jeszcze nie dostali listu i nie uprzedziłem ich, że dostaną, kompletnie to olewam. Od szkoły i od rodziny uwolniłem się już dawno temu. Ale w oczach prawa wciąż jestem niepełnoletni i nie można mnie przesłuchać pod nieobecność opiekuna prawnego. Wóz policyjny jedzie po Belkacema i Aminę, przywozi ich na nabrzeże des Orfèvres 36 do siedziby brygady kryminalnej. Wchodzą do korytarza, gdzie drzemię rozwalony na krześle. Wyglądają jednocześnie na przejętych i przygnębionych.

Matka od razu do mnie startuje.

– Abdel, co ty zmalowałeś?

– Bez paniki. Będzie dobrze.

Wydalenie z liceum na pewno ich nie zaskoczy. Przecież wiedzą, że zjawiam się tam tylko od wielkiego dzwonu (z powodu stołówki, to chyba jasne) i od dawna nie mają już żadnej możliwości upilnowania mnie. Ale boją się przesłuchania, na które zostali wezwani i które się zaraz odbędzie. Już za pierwszym razem, kiedy przyszli odebrać mnie z dzielnicowego komisariatu, było za późno, żeby mnie zmienić. Najlepszy dowód to fakt, że siedzimy teraz wśród glin, którym podlegają kryminaliści. Martwią się, że być może zrobiłem coś, czego w milczeniu i z pokorą bezsilnych obawiali się od lat.

– Abdelu Yaminie Sellou, zostałeś rozpoznany dzięki zapisowi kamer bezpieczeństwa na placu Carrée, na trzecim poziomie podziemi Forum des Halles. Morderstwo zostało popełnione nocą i bla, bla, bla…

Już śpię. Rodzice wpatrują się w usta inspektora, żeby lepiej zrozumieć, co mówi. Słowo „morderstwo” trafia w matkę jak grom z jasnego nieba.

– Nie bój się, mamo, to nie ja, ja nic nie zrobiłem! Tylko się tam w niewłaściwym momencie znalazłem.

Policjant potwierdza.

– Pani Sellou, przesłuchuję pani syna w charakterze świadka. Nie jest oskarżony o morderstwo, rozumie pani?

Amina przytakuje i uspokojona siada głębiej na krześle. Co im chodzi po głowie, jej i ojcu, nie mam pojęcia i wcale mnie to nie interesuje. Nic nie mówią. I niewiele więcej powiedzą, kiedy w trójkę opuścimy sławetny komisariat na nabrzeżu Orfèvres. Dopiero na blokowisku Beaugrenelle ojciec wyskoczy z kazaniem. Matka uciszy go, bojąc się, że natychmiast ucieknę.

Na razie podaję inspektorowi moją wersję: facetów z Hal nigdy nie widziałem, nie znam ich nazwisk, nie byłbym w stanie ich zidentyfikować. Mimo to nie kończy rozmowy. Wypytuje mnie o moje życie, moje przyzwyczajenia, moich kumpli z Châtelet, którzy tak po prawdzie wcale nimi nie są, a potem funduje mi umoralniającą gadkę. Albo mu za to płacą, albo chce uspokoić własne sumienie. Wyobrażam sobie, jak wkurzająca musi być taka niewielka skuteczność w pracy zawodowej…

– Abdelu Yaminie, twoi rodzice mają skromne dochody, a ty otrzymujesz od państwa stypendium, ale nie chodzisz do szkoły. Uważasz, że to normalne?

– Mmmm…

– Co więcej, pieniądze te są wpłacane bezpośrednio na konto na twoje nazwisko. Mogłyby przynajmniej pomóc twoim rodzicom ubrać cię i karmić.

– Mmmm…

– Oczywiście, świetnie radzisz sobie sam, co? Zachowujesz się jak wojowniczy mały kogut… No dobrze, posłuchaj, za chwilę przedstawię cię pewnej pani, jest sędzią dla nieletnich, zajmie się tobą do czasu pełnoletności.

Rodzice nie reagują. Nie rozumieją nic a nic z tego, co się dzieje, ale już wiedzą, że nie odbiorą im syna. Wiedzą, że nie pójdę do poprawczaka. Wiedzą, że odtąd co trzy tygodnie będę wzywany do Pałacu Sprawiedliwości i że nic to nie zmieni, absolutnie nic, ani dla nich, ani dla mnie. Youssouf, Mohamed, Yacine, Rayan, Nassim, Mouloud, podobnie jak prawie wszystkie dzieciaki z Beaugrenelle mają nadzór sędziego dla nieletnich. W blokowisku wszyscy wiedzą,

jak to działa. Moim rodzicom pewnie się wydaje, że jest to udziałem wszystkich: i dzieci imigrantów, i dzieci Francuzów.

* * *

Zjawiła się sędzia. Poczciwa, tęga kobietka o łagodnym głosie, wygląda bardzo macierzyńsko. Rozmawia ze mną trochę tak, jakbym miał dziesięć lat, ale nie traktuje jak przygłupa. Wygląda na to, że chciałaby mi jakoś pomóc. Streszcza sytuację – ona pierwsza – nie popadając przy tym w głęboki patos.

– Abdelu Yaminie, chyba nie za bardzo lubisz szkołę, co?

– Fakt, nie za bardzo.

– Rozumiem, no cóż, nie jesteś wyjątkiem… Ale lubisz nocami bywać poza domem? Słyszałam, że zobaczyłeś coś okropnego w Halach, że kogoś zamordowano na twoich oczach, czy tak?

– Hm…

– Jak ci się zdaje, czy to dobre dla szesnastolatka znaleźć się w tego typu sytuacji?

Wzruszam ramionami.

– Abdelu Yaminie, zobaczymy się za trzy tygodnie. A teraz proponuję, żebyś zastanowił się nad tym, czym chciałbyś się w przyszłości zajmować. W jakim miejscu chciałbyś żyć. Porozmawiamy o tym i zobaczymy, co da się zrobić. Zgoda?

– Zgoda.

A do moich rodziców:

– Pani Sellou, panie Sellou, przypominam, że jesteście państwo odpowiedzialni za tego chłopca do czasu uzyskania przez niego pełnoletności, która we Francji jest ustalona na osiemnaście lat. Do tego czasu powinniście zapewnić mu bezpieczeństwo, nawet wbrew

niemu. Dziecko nie jest ciężarem, jest obowiązkiem, i rodzice powinni się z tego obowiązku wywiązać. Czy rozumiecie państwo, co powiedziałam?

– Tak, proszę pani.

Tym razem zrozumieli. Nie wszystko, ale zrozumieli. Ojciec, spędziwszy trzy godziny w brygadzie kryminalnej, skulony i z zamglonym spojrzeniem, na ulicy odważa się wreszcie zabrać głos:

– Słyszałeś, Abdelu? Pani powiedziała, że jesteśmy za ciebie odpowiedzialni, więc masz sięteraz dobrze zachowywać!

Ja usłyszałem słowo „ciężar”. Patrzę na tego biednego człowieka, który od trzydziestu lat łączy kable, i gdy przechodzimy przez most Pont-Neuf, z którym wiąże mnie trochę wspomnień, dochodzę do wniosku, że moje życie jest o wiele ciekawsze niż jego. Raptem matka podnosi na mnie oczy. Błyszczą w nich łzy.

– Abdelu, zabili przy tobie człowieka!

– To nie było nic strasznego, mamo. To było jak wypadek albo jakbym oglądał film w telewizji. Nie zrobiło to na mnie najmniejszego wrażenia.

Tak samo jak wszystkie kazania i morały.

II
KONIEC NIEWINNOŚCI

10

Wykorzystywałem słabość rodziców i nie widziałem w tym nic złego. W wieku sześciu, góra siedmiu lat zostawiłem za sobą dzieciństwo i stateczki w Tuileries i nie oglądając się na nic, wkroczyłem w etap nieokiełznanej samodzielności. Na podstawie bezpośrednich obserwacji sporządziłem własny katalog gatunku ludzkiego. Stwierdziłem, że w świecie ludzi jest jak w świecie zwierząt: jeden dominujący na wielu zdominowanych. Uznałem, że przy minimum instynktu samozachowawczego oraz inteligencji jest możliwość, żeby się jakoś urządzić.

Nie zdawałem sobie sprawy, że Amina i Belkacem czuwają nade mną na swój sposób. Cokolwiek by powiedzieć, starali się wejść w rolę, choć mieli niewielkie możliwości, a ja to zaakceptowałem. Zresztą nazywałem ich mamą, tatą.

– Tato, kup mi nowy komiks.

– Mamo, podaj sól.

Prosiłem ich o różne rzeczy, wydając polecenia. Nie wiedziałem, że powinno się to odbywać inaczej. Oni też nie wiedzieli, bo mnie nie poprawiali. I znów: brakowało im instrukcji obsługi. Myśleli, że kochający rodzice pozwalają swoim dzieciom na wszystko. Nie wiedzieli, że czasami trzeba im czegoś zabronić dla ich własnego dobra. Nie znali zasad obowiązujących w lepszym towarzystwie, gdzie na każdym kroku używa się grzecznościowych formułek i zna

się wagę odpowiedniego zachowania przy stole. Nie mogli mi więc ich przekazać ani wymagać, bym się do nich stosował.

Często dostawałem w szkole kary. Matka widziała, jak przepisuję dziesiątki, setki razy: *w czasie lekcji należy siedzieć w miejscu i nie rozmawiać, nie wolno bić kolegów na podwórku podczas przerwy, nie wolno rzucać metalową linijką w nauczycielkę*. Robiłem sobie miejsce na stole w kuchni, rozkładałem zeszyty, zaczynałem maraton przepisywania. Obok mnie mama szykowała kolację, a od czasu do czasu wycierała ręce w fartuch, stawała za moimi plecami i patrzyła, jak drobnym maczkiem zapełniam kolejne strony.

– Widzę, że masz dużo lekcji do odrobienia, Abdelu! To dobrze!

Ledwie umiała czytać po francusku.

Nie mogła więc przeczytać uwag w dzienniczku ucznia. „Przeszkadza w lekcjach i tylko szuka okazji do bójki". „Przychodzi do szkoły jak na majówkę… jeśli przychodzi". „Uczeń z dużymi brakami edukacyjnymi".

Tak samo jak nie czytała wezwań do stawienia się w szkole. Nauczycielom, dyrektorowi podstawówki, a potem gimnazjum i liceum zawodowego mówiłem:

– Moi rodzice pracują. Nie mają czasu.

I podrabiałem podpis ojca.

Do dziś jestem przekonany, że na wywiadówki i rozmowy z nauczycielami w sprawie swoich dzieci stawiają się tylko ci rodzice, którzy znają francuski system edukacji i sami przez niego przeszli. Trzeba znać i akceptować zasady funkcjonowania szkoły, żeby móc z nią współpracować. A przede wszystkim trzeba tego chcieć. Dlaczego Amina miałaby chcieć czegoś, o czym nic nie wiedziała? W jej rozumieniu role zostały przydzielone: mąż

pracował i przynosił do domu pieniądze. Ona zajmowała się sprzątaniem, gotowaniem i naszą garderobą. Szkoła zapewniała nam edukację. Nie brała pod uwagę charakteru swojego syna, który nie znosił żadnych nakazów. Nie znała mnie.

Nikt mnie tak naprawdę nie znał, może z wyjątkiem mojego brata, który wszystkiego się bał. Od czasu do czasu wykorzystywałem go do załatwiania drobnych spraw, które nie wymagały żadnej odwagi, ale niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Kiedy w 1986 roku został wydalony z Francji, uznałem, że ani mnie to ziębi, ani grzeje. Trochę nim nawet gardziłem; pozwolił się wyrzucić z j edynego kraju, w którym tak naprawdę mieszkał, z powodu głupich papierów. Trzeba było być idiotą… Prowadzałem się z kumplami z blokowiska. Mówię kumplami, bo nie byliśmy przyjaciółmi. Po co człowiekowi przyjaciel? Żeby się sobie zwierzać? Nie miałem się z czego zwierzać, bo nic mnie nie wzruszało. Nie potrzebowałem nikogo.

W domu nie czytałem listów z Algierii, nie interesowali mnie ci, którzy je pisali, nie należeli już do mojego świata, nie pamiętałem nawet ich twarzy: oni nigdy nie przyjeżdżali do nas, a my nigdy nie jeździliśmy do nich. Moi rodzice, Amina i Belkacem, byli prostymi ludźmi, ale nie brakowało im zdrowego rozsądku. Zorientowali się, że w Paryżu żyje się lepiej niż w Algierze, i nie tęsknili za rodzinnymi stronami. Nigdy nie załadowali na dach samochodu sterty materaców na wielką letnią wędrówkę ludów. Na drugim brzegu Morza Śródziemnego miałem brata i trzy siostry. Nie istnieli dla mnie, tak jak ja nie istniałem dla nich. Byliśmy sobie obcy. Byłem obcy całemu światu, wolny jak wiatr, nieobliczalny i nieujarzmiony.

11

W gruncie rzeczy taka sędzia dla nieletnich to niezła sprawa. Ponieważ nie mam już stypendium, dostaję od niej niewielki zasiłek. Dość, żeby mieć na kebab z frytkami i na przejazdy komunikacją miejską. Co trzy tygodnie przychodzę do jej gabinetu i dostaję kopertę. Jeśli zjawię się w trochę przyciasnych trampkach, bo stopy mi urosły, dorzuca kilka banknotów. Jeszcze nie zrozumiała, że im milsza jest dla mnie, tym więcej od niej oczekuję. I to działa! W najgorszym razie startuje z jakąś gadką.

– Abdelu Yaminie, mam nadzieję, że nie kradniesz?

– Gdzieżby, proszę pani!

– Ale ta bluza wygląda na zupełnie nową! Zresztą jest bardzo ładna.

– Ojciec mi ją kupił. Pracuje, ma z czego.

– Wiem, że twój ojciec jest porządnym człowiekiem… A ty? Znalazłeś już jakieś kursy?

– Jeszcze nie.

– No to co ty robisz całymi dniami? Widzę, że nosisz dresy i lubisz sportowe obuwie. Uprawiasz jakiś sport?

– Nooo… Można tak powiedzieć.

* * *

Biegam. Nadal biegam. Biegam do upadłego, uciekając przed policjantami, którzy mnie ścigają od Trocadéro po Lasek

Buloński. Sypiam w podmiejskich pociągach, sypiam krótko. Raz, dwa razy na tydzień funduję sobie pokój w hotelu Formule 1, żeby wziąć prysznic. Noszę tylko nowe ubrania, które wyrzucam, kiedy mam ochotę włożyć coś innego.

Pod wieżą Eiffla tłoczą się turyści, chcą się sfotografować, ustawiają się chętnie na tle Trocadéro, trzask aparatu, wspomnienie zamknięte w skrzynce Kodaka i sprawa załatwiona. Czy aby na pewno? Ci Amerykanie nie uważają na swoje zabawki. Trzymają aparaty przewieszone byle jak przez ramię, targają ze sobą płaszcze przeciwdeszczowe, butelki z wodą, torby na pasku, które utrudniają im ruchy. Pokazuję młodym, którzy chcą wejść do zawodu, jak to wykorzystać, zapewniam im naukę. Podchodzę z rękami w kieszeniach, z niewinną błogą miną faceta podziwiającego widoki i nagle, szybki jak błyskawica, łapię aparat i pędzę na zachód. Gnam przez park Trocadéro, potem bulwarem Delessert, rue de Passy, wpadam do metra La Muette. Zanim Amerykanin zdąży się połapać, co go spotkało, i zawiadomić gliny, jestem już z powrotem w dzielnicy, a towar ma nowego właściciela. Biznes jest dobrze zorganizowany, z siedzibą na stacji Etienne-Marcel. Tu zawsze znajdzie się chętnego na kamerę, walkmana, zegarek, okulary przeciwsłoneczne Ray-Bany. Portfele to nie moja działka, za mało dochodowa: od kiedy wszyscy płacą czekami, ludzie prawie nie noszą przy sobie gotówki, więc nie warto. Ze sprzętu technicznego z łatwością wyciągam porządne zyski. Tym bardziej że korzystam z bezpłatnej siły roboczej.

Gostkom, którzy się kręcą po Trocadéro, brakuje rozumu. Albo jeszcze nie zdecydowali, do którego obozu chcą należeć: złodziei czy uczciwych obywateli. To synowie sklepikarzy, kadry kierowniczej

średniego szczebla, nauczycieli, robotników; leserzy, którzy wagarują tylko co drugi dzień, którzy szukają dreszczyku, lecz nie do końca są pewni, czy chcą go znaleźć. Dla moich pięknych oczu – małych, brązowych i niczym się niewyróżniających – gotowi są zaryzykować. Uważają, że jestem *cool*, czują się samotni, chcieliby trochę pochuliganić, ale ponieważ nie mieli tej szansy, co ja, żeby dorastać w blokowisku, brakuje im techniki operacyjnej, która nam wszystkim przychodzi tak naturalnie. Zachowują się jak pieski, które pędem przynoszą patyk rzucony im przez pana i wyciągają język w nadziei na coś smacznego. Kradną dla mnie. I dla mnie, jak trzeba, przyłożą. Dostarczają mi towar, którego sami i tak nie potrafiliby upłynnić. Wystarcza im „dziękuję", nie interesuje ich udział w zyskach. Budzą we mnie litość. Uważam, że są bardzo sympatyczni.

12

Raz, dwa, dwadzieścia razy mnie łapią. I zawsze jest ten sam rytuał. Kajdanki, krótszy lub dłuższy areszt. Dziś sobie na niego zasłużyłem, bo odlałem się na konny posąg niejakiego marszałka Focha, który na swoim wiernym rumaku wygląda jak Lucky Luke na Jollym Jumperze.

– Zniszczenie mienia państwowego. Do celi! Zobaczymy się jutro.

– Ale moi rodzice będą się niepokoić!

– Przeciwnie, powiadomimy ich! Dowiedzą się, że przynajmniej tej nocy nie muszą się o ciebie bać.

Zamawiam sandwicza z dostawą do mojego nowego miejsca pobytu. Wręczam dwadzieścia franków młodemu glinie, który patrzy na mnie spode łba – boi się niegrzecznych chłopców; zrobi mi zakupy na rogu ulicy. Kiedy jego facjata naprawdę mi nie pasuje, zwyczajnie go opieprzam.

– Ej, cieniasie, mówiłem keczup i musztarda. Bez majonezu! Nie masz nawet na tyle rozumu, żeby przyjąć zamówienie. Policja źle trafiła.

W jednym kącie celi trzeźwieje kloszard, w drugim popłakuje jakiś dziadek. Z któregoś z sąsiednich pomieszczeń ktoś woła:

– Zamknij się, Sellou!

– Bo, panie inspektorze, ten pana żółtodziób nie oddał mi reszty.

Wtedy głos o ton bardziej znużony:

– Młody, oddaj mu pieniądze…

Młody mamrocze, że wcale nie zamierzał ich zatrzymać. Mam ekstrazabawę.

Ponieważ urzęduję wciąż w tej samej dzielnicy, trafiam regularnie na tych samych inspektorów (czy raczej ci sami inspektorzy wciąż trafiają na mnie). Po takim czasie znamy się już tak dobrze, że jesteśmy prawie jak rodzina. Niekiedy mnie ostrzegają:

– Uważaj, Sellou, czas płynie… Wiesz, że po twoich najbliższych urodzinach będziemy cię mogli zapuszkować na dobre?

Śmieję się. Nie dlatego, że im nie wierzę; wierzę, skoro tak mówią. Ale z jednej strony nie boję się tego, czego nie znam, z drugiej – mam wszelkie powody uważać, że więzienie nie jest takie straszne. I że szybko się z niego wychodzi. Tak się dzieje w przypadku tych Senegalczyków, którzy zabawiają się z dziewczynami. Regularnie ich zgarniają za zbiorowy gwałt. Dostają wszystkiego sześć miesięcy, wychodzą o parę kilo grubsi, z nowiuteńką fryzurą i z miejsca wracają do swoich biznesów, żeby zarobić na nową laskę. Kiedyś jednego z nich skazano na trzy lata, ale tylko dlatego, że metalowym prętem wydłubał oko jakiejś małolacie. To, co zrobił, było naprawdę niełądne, lecz i tak wiadomo, że wkrótce znów go zobaczymy. Dlatego więzienia tak naprawdę się nie boję. Gdyby było rzeczywiście takie straszne, to wszyscy, którzy je zaliczyli, wycofaliby się z aktywnego życia, żeby tam więcej nie wrócić. Myślę, że mogę spokojnie delektować się swoim sandwiczem; nie mam się czego bać. Jutro mnie wypuszczą, nadchodzą piękne dni, kobiety wkrótce włożą powiewne sukienki, zaczną się podrywy, wypady z kumplami, noce niespokojnego snu między Orsay i Pontoise, Pontoise i Wersalem, Wersalem i Dourdan-la-Forêt. Na swoim koncie w banku uzbierałem sporo kasy. Prawie

dwanaście tysięcy franków. Mam jedną metę w Marsylii, drugą w Lyonie, jeszcze inną w La Rochelle. Spędzę fajne wakacje. A potem, zobaczymy. Nie zastanawiam się, co potem.

13

Nie obchodziłem, jak należy, swojej osiemnastki. Nie myślałem o tym, pewnie byłem zajęty czymś innym. Ale wygląda na to, że gliniarze zanotowali sobie datę w kalendarzu, bo długo nie czekali, żeby mnie zwinąć. Dopadli mnie nagle, kiedy się tego najmniej spodziewałem, akurat wtedy, gdy nie miałem żadnego powodu uciekać. Wybierałem się przecież na wakacje nad morze! Szczęśliwy idiota to ja: nie wiedziałem, że gromadzące się od miesięcy skargi turystów mogły mnie obciążyć na długie lata. Żyłem naprawdę jak dzikie zwierzę, w nieświadomości, że czas mija. Dopóki byłem nieletni, nie można mnie było sądzić za takie drobne wykroczenia, a więc i skazać. Wraz z pełnoletnością wszystko się zmieniło i czyny popełnione przeze mnie wcześniej wypisane czerwonymi literami w moich aktach nie działały na moją korzyść. Gdybym dwudziestego piątego kwietnia 1989 roku, w dniu ukończenia osiemnastu lat, sporządniał, nic by mi nie mogli zrobić. Kompletnie nieświadomy, beztroski – szczęśliwy idiota – nadal sprawowałem się jak zawsze, czyli źle, i sam ukręciłem na siebie bicz.

* * *

Szedłem korytarzem metra na Trocadéro, korytarzem długim i szerokim, w którym o każdej porze roku hula wiatr, szarpiąc kraciastymi kaszkietami staruszków i jedwabnymi szalami pań.

Zobaczyłem, że naprzeciwko mnie idzie jakaś para, oboje w dżinsach, on ma zawieszony na szyi aparat fotograficzny, ona w beżowym trenczu. Przez moment się zawahałem: czy ten aparat wart jest zachodu? Nie, zebrałem już tego dnia piękne żniwo, mogłem na tym poprzestać. I dobrze zrobiłem. Ta para to były gliny w cywilu. Kiedy znaleźli się na mojej wysokości, poczułem ramię wsuwające się pod mój łokieć i dłoń chwytającą mnie za nadgarstek. W ułamku sekundy zostałem unieruchomiony przez czterech facetów (ale skąd się wzięło tych trzech pozostałych?), położony na płask na brzuchu, skuty kajdankami i w tej poziomej pozycji natychmiast poniesiony w stronę wyjścia. Wszystko trwało nie więcej niż kilka sekund. Prawdziwy kidnaping.

Szary beton, rozdeptane gumy do żucia, szczupłe nogi na szpilkach, spodnie z mankietami opadające na pięty skórzanych butów, owłosione łydki nad zdeptanymi trampkami, skasowany bilet metra, opakowanie po batoniku (dwa czekoladowe paluszki zaspokoją twój głód), dziesiątki petów. Teraz już rozumiem, dlaczego Superman nie lata nisko nad ziemią. W końcu stawiają mnie na nogi.

– Nie znam was! Jesteście nowi? Dlaczego mnie zatrzymaliście?

Czekam na oficjalny powód swojej obecności w tym ślicznym, wycacanym wozie policyjnym, a już na pewno nie będę im podpowiadał, za co mogliby mnie przyskrzynić.

– Napaść i grabież. Widzieliśmy cię wczoraj, zrobiliśmy ci nawet piękne zdjęcia. Tak samo zresztą dzisiaj rano!

– Aha. A dokąd jedziemy?

– Zobaczysz, jak tam dotrzemy.

Okazuje się jednak, że nie znam tego miejsca. Musieli postawić jakiś komisariat widmo, jak w *Żądle* z Robertem Redfordem i Paulem Newmanem. Takie same obskurne ściany, tacy sami zblazowani funkcjonariusze spisujący raporty na hałaśliwych maszynach do pisania, taka sama obojętność w oczach oskarżonego… Sadzają mnie na krześle, właściciela biura na razie nie ma, zostaję poinformowany, że zjawi się za chwilę.

– Nie ma sprawy, mam mnóstwo czasu…

Nie przejmuję się, a w każdym razie nie bardziej niż poprzednio. Wypuszczą mnie najdalej za dwa dni. Obojętnie, co będzie, zaliczyłem nowe doświadczenie.

– Nie tłumaczę ci procedury, bo ją znasz – rzuca inspektor, opadając ciężko na krzesło naprzeciwko mnie.

– Ależ tak, niech pan powie…

– Od tego momentu jesteś aresztowany. Przesłucham cię i przyjmę od ciebie zeznanie. Następnie przekażę je prokuratorowi, który zadecyduje, czy zostaniesz oskarżony. Ale to więcej niż prawdopodobne.

– Okay.

Przyglądam się uważnie tym dwojgu z metra, którzy kursują między pokojami. On ma nadal aparat na szyi, ona zdjęła płaszcz. Traktują mnie jak powietrze. Zajęli się już czym innym, innym cwaniaczkiem, inną nędzną sprawą.

Francuzi, turyści, porządni ludzie – możecie spać spokojnie. Policja pracuje, żeby wam zapewnić bezpieczeństwo.

14

Z komisariatu zostałem przewieziony do Pałacu Sprawiedliwości. Tam czekał na mnie prokurator. Sprawę między sobą załatwiliśmy raz dwa.

– Jak wynika z twoich akt, we wtorek i środę widziano cię na esplanadzie Trocadéro w trakcie popełniania licznych przestępstw. Jesteś oskarżony o kradzież kamery, aparatu fotograficznego, dwóch walkmanów oraz o napaść i pobicie dwóch mężczyzn, którzy próbowali stawić opór. Czy przyznajesz się do postawionych zarzutów?

– Tak.

– Zgadzasz się stanąć w trybie natychmiastowym przed sądem w asyście obrońcy z urzędu?

– Tak.

Prokurator zwraca się do dwóch policjantów, którzy czekali pod drzwiami:

– Dziękuję, panowie, możecie go odstawić do aresztu.

Areszt mieści się w podziemiach pałacu. Światło pali się w dzień i w nocy, zegarki zostają skonfiskowane. Gliniarze wepchnęli mnie do celi i od tej chwili straciłem wszelką rachubę czasu, ale mogę powiedzieć, że ani mi się nie dłużył, ani nie upływał zbyt szybko. Nie gorączkowałem się też i nie martwiłem. Francja w swojej uprzejmości dostarczyła mi kawałek chleba, porcję camembertu, pomarańczę, herbatniki i butelkę wody. Mój żołądek mógł

wytrzymać taką dietę. Myślałem sobie, że obojętnie, co się stanie, zawsze będę miał co jeść i pić. A zresztą i tak nie miałem już wpływu na bieg wydarzeń. Drzemałem spokojnie na swojej kuszetce, jednej z trzech, pod samym sufitem. Dziwne, ale niczego mi nie brakowało.

* * *

Odgłosy, które słyszę, są dla mnie nowością. Jacyś faceci płaczą, wrzeszczą, walą pięściami w drzwi celi: to ćpuny na głodzie. Istny dom wariatów. Scenka rozgrywająca się u moich stóp jest trochę zabawniejsza.

Dwóch Arabów, jeden mały i chudy, drugi duży i gruby. Pierwszy chodzi w tę i we w tę po maleńkim pomieszczeniu i wyżala się drugiemu, który spokojnie siedzi na dolnym posłaniu.

– To straszne! Straszne! Moja żona, moi synowie nigdy nie pracowali. Co beze mnie zrobią? Jeśli trafię za kratki na długie miesiące, nie będą mieli co jeść!

Gruby się śmieje, ale dobry z niego gość, stara się pocieszyć chudego:

– Nie przejmuj się… Jak twoja żona będzie musiała pójść do pracy, to pójdzie! Tak samo twoje dzieciaki! A kiedy wrócisz do domu, okaże się, że masz na koncie więcej niż teraz!

– No, nie jestem taki pewny, nie jestem taki pewny!

– A za co tu trafiłeś?

– Za portfel…

Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem. Mam osiemnaście lat, jednak w porównaniu z tym facetem, który bez problemu mógłby być moim ojcem, jestem już prawdziwym

gangsterem. Nic nie mówię, nie chcę robić sobie wrogów, nawet wśród słabeuszy, choć dla mnie to żałosne, żeby w wieku pięćdziesięciu pięciu lat dać się zamknąć za kradzież portmonetki. A w dodatku jeszcze panikuje! Już to, że trafił tu za takie nic, jest niesamowite, ale że robi z tego takie halo, wydaje mi się całkiem chore! Trudno sobie wyobrazić, że francuski wymiar sprawiedliwości, przy swoim skromnym budżecie, skłonny jest wydać choćby jednego franka, żeby osądzić takiego nieudacznika. Przecież widać, że facet raczej nie zagraża państwu i jeśli więzienie może mieć jakąś siłę odstraszającą, to właśnie dla kogoś takiego jak on.

Bardzo szybko to sprawdzimy: otwierają się drzwi, zabierają nas, prowadzą przed sąd. Staniemy przed nim wszyscy trzej, ale też dziesięciu innych, którzy dołączają do nas na korytarzu. Razem pokonujemy kolejne piętra.

Nigdy w życiu nie byłem w teatrze, oglądałem jednak sztuki w telewizji, kiedy byłem mały. „Scenografia Rogera Hartha, kostiumy Donalda Cardwella…”. No więc teraz się w nim znaleźliśmy, jestem gotów do improwizacji. Scenografia wygląda na dopracowaną, role są trafnie rozdzielone. Jeden jęczy, żeby wzruszyć sędziów. Drugi przybiera skruszoną minę jak w konfesjonale, tak przynajmniej sobie wyobrażam. Trzeci skręca się z bólu, a w każdym razie twarz wykrzywia mu grymas cierpienia, chociaż nikt nie zwraca na niego uwagi. Kolejny, zblazowany, układa usta w ciup i cicho pogwizduje przez zęby. Następny wydaje się zachwycony szopką, szczęśliwy, że tu trafił, aż się człowiek zastanawia, czy to nie kompletny debil. I wreszcie jestem ja, z rękami w kieszeniach, rozwalony na ławce

w oczekiwaniu na swoją kolej. Udaję, że śpię w trakcie rozgrywania pierwszych scen, ale spod przymkniętych powiek obserwuję wszystko, oceniam i rozkoszuję się przebiegiem akcji. W moim katalogu gatunku ludzkiego otwierają się nowe przegródki, lecz wniosek jest zawsze ten sam: wielu zdominowanych, niewielu dominujących, a sędziowie niekoniecznie należą do tych ostatnich. Pocą się w tych swoich czarnych togach, z każdą nową sprawą ciężko wzdychają, ledwie podnoszą wzrok na oskarżonego, kiedy do nich podchodzi, ziewają, słuchając krótkiej gadki obrońcy (nazwanie tego mową byłoby zniewagą dla wszystkich adwokatów, których uwielbiam i szczerze szanuję). Przewodniczący sądu wydaje wyrok i stuka młotkiem w stół.

– Następna sprawa!

Mam wrażenie, że chciałby jak najszybciej z tym skończyć. Patrzę na niego i zastanawiam się, czy warto było tyrać przez długie lata studiów, żeby na koniec wylądować tu, w tej zakurzonej sali, na tym niewygodnym krześle i prawić kazania różnym bliskim emerytury Mohamedom, którzy kradną portfele. Wszyscy młodzi panicze z Szesnastej dzielnicy deklarują, że chcą „robić prawo w Assas[9]". Ale czym właściwie jest prawo? Prawem, moim prawem jest to, które sam dla siebie ustanawiam. Mam osiemnaście lat i parę tygodni, szpanuję dresem od Lacoste'a, bez problemu wyjmuję łatwe dziewczyny na imprezach, na które sam się wproszę, rekwiruję volvo tatusia i jadę do Normandii, bo mam ochotę na owoce morza, a kiedy wskaźnik poziomu paliwa spada do zera, zostawiam samochód na poboczu drogi i autostopem wracam do Paryża. Niczego się jeszcze nie nauczyłem.

Jakiś facet opuszcza salę sądową w towarzystwie dwóch policjantów, płacząc jak dziecko. Jest już przy drzwiach, a jeszcze błaga:

– Panie sędzio, zaklinam się, to się nigdy więcej nie powtórzy!

Pan sędzia nie słucha, pan sędzia przeszedł już do następnej sprawy. Teraz kolej na tego zachwyconego szopką, oskarżonego, że rozbił okienko kasowe na stacji metra, rzucając kubłem na śmieci w szklane przepierzenie.

Od razu interweniuje adwokat.

– Panie przewodniczący, proszę uwzględnić, że mój klient dopuścił się tego nieszczęsnego czynu w momencie, kiedy w kasie nie było żadnego pracownika służb transportowych.

– Uwzględnię to, mecenasie…

Mecenasie i jak dalej? Sędzia najwyraźniej zapomniał nazwiska adwokata. Zwraca się do obwinionego:

– Z sześciu ostatnich lat pięć spędził pan w więzieniu, zawsze z tego samego paragrafu: zniszczenia mienia publicznego. Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego za każdym razem robi pan to samo?

– Nie mam rodziny, panie sędzio. Ciężko człowiekowi żyć bez dachu nad głową…

– A więc o to chodzi… Dobrze, zostanie pan dopieszczony w więzieniu… Sześć miesięcy pozbawienia wolności.

Sędzia nie pyta oskarżonego, czy mu tyle wystarczy. Ale to widać gołym okiem. Facet nie jest już zachwycony. Jest wniebowzięty.

Chudy z mojej celi, który zwędził portfel, został wypuszczony. Ja dostałem osiemnaście miesięcy więzienia, z czego osiem w zawieszeniu, i rozpoczęcie odsiadki zaraz po skończonym procesie. Wyrok zapadł w kilka minut. Wciąż niezmiennie beztroski,

przyznałem się do stawianych mi zarzutów, sąd nie próbował o nic więcej pytać, bo i faktycznie, nie było już o co.

Czyli dziesięć miesięcy więzienia, niecały rok. Wyrok mną nie wstrząsnął. Ja też, jak ten bezdomny, który szuka wiktu i opierunku, poczułem prawie ulgę. Jeśli o mnie chodzi – marzę głównie o łóżku. O tym, żeby na trochę zniknąć. A przynajmniej się wycofać. W blokowisku Beaugrenelle wciąż czeka na mnie materac i czysta pościel pachnąca różą lub lawendą, ale nie zaglądałem do rodziców od miesięcy. Mimo że nie okazuję im respektu, wręcz przeciwnie, swoim zachowaniem udowadniam, jak mało mnie obchodzi, co myślą, nie pozwoliłbym sobie zjawić się u nich bladym świtem złachany, otępiały od ciosów, które zainkasowałem w nocy albo sam zadałem. O tej porze, kiedy ja zaczynam być zmęczony, mój ojciec wstaje. Pije samotnie kawę w kuchni, szykuje się w ponurym nastroju do nowego dnia, jest stary, znużony życiem. Już dawno temu zrozumiałem, jaką nieprzyzwoitością byłoby zanurkowanie w wyprasowaną pościel Aminy.

Dłużej tak nie mogę. Zbyt wiele nocy odsypiałem w podmiejskich pociągach. Jestem wykończony. Chcę mieć wreszcie koc, gorące posiłki, chcę oglądać *Looney Tunes* w niedzielę wieczorem. No to zaczynamy. W drogę do Fleury.

15

Witajcie na wczasach.

Dzień zaczyna się od skrótu porannych wiadomości. Dziennikarz z prędkością karabinu maszynowego informuje, że w Doubs wykoleił się pociąg, cztery osoby są lekko ranne, pasażerów w stanie szoku wydobyli strażacy. Kukuryku, Alain Prost wygrał wyścig Formu – ły i na torze w Phoenix. Pogoda na ten weekend: słoneczna, na północnym wschodzie przejściowe zachmurzenie i możliwość wystąpienia burz, temperatura normalna jak na tę porę roku. Powoli się budzę, spiker ustępuje miejsca koszmarnej piosence Jeana-Jacques'a Goldmana, ale się nie martwię; w ciągu dnia będę miał okazję posłuchać ze trzy, cztery razy *Lambady*, podobno przeboju tego lata. A przynajmniej bardzo się starają nam to wmówić.

Szczęk zamka. Przeciągam się, masuję kark, ziewam tak szeroko, że mało co nie zwichnę sobie szczęki. Zaraz będzie kawa, słyszę wózek na korytarzu. Wyciągam kubek, biorę moją tacę i wracam na kuszetkę. Na Chéri FM przerwa reklamowa. Chór dziewcząteк cieszy się, bo buty są po sto dziewięćdziesiąt dziewięć franków. Ich zdaniem „trzeba być szalonym, żeby wydać więcej". A gdybym im powiedział, że znam mnóstwo sposobów, by nie wydać w ogóle nic? Moczę tartinkę w kawie, margaryna rozpuszcza się, tworząc na powierzchni małe żółte oczka… Śniadanie do łóżka, czego chcieć więcej? Może trochę ciszy. Przekręcam gałkę radia, które zaraz zacznie nadawać swoją serenadę, dopóki nie zgasną światła. Nie da

rady zupełnie wyłączyć głosu. Liane Foly, Roch Voisine i Johnny Hallyday to najgorsze katusze, jakie można zafundować więźniom we Fleury-Mérogis. Godne miana chińskiej tortury wodnej, w której więźniowi co chwilę skapują na głowę krople wody, co może doprowadzić człowieka do obłędu. U nas też można by zwariować, słuchając astmatycznego miauczenia Myléne Farmer, gdyby nie dało się jej zagłuszyć uspokajającym pomrukiem telewizji. Jestem bogaty; trafiłem za kratki, mając na koncie ponad dwanaście patyków, a wynajęcie odbiornika to tylko sześćdziesiąt franków za miesiąc. Nie żałuję sobie. Odbieramy sześć programów, w tym Canal+. Teraz pora na telezakupy.

Pierre Bellemere chciałby, żebym do niego zadzwonił. Liczy, że mi sprzeda gofrownicę. Omiatam wzrokiem celę, nie muszę się nawet ruszać z pryczy. Żałuję, Piotrusiu, ale w mojej szafce zabraknie już miejsca na cukier puder. Jest pełna paczek papierosów (dla nowych na głodzie, ja sam nie palę) i ciasteczek Pepito (na podwieczorek). Kiedy chcę coś kupić, podaję swój numer w rejestrze więźniów, który jest jednocześnie numerem mojego konta. 186 247 T. Potrącają mi bezpośrednio, bez podatku VAT. Umilam sobie codzienny byt, ale i bez tego nie mam się co skarżyć; kiedy się tu zjawiłem, powitał mnie Ahmed, kumpel z blokowiska w Beaugrenelle. Ponieważ niedługo wychodził, zostawił mi cały niezbędny sprzęt: gąbkę i proszek do prania Saint-Marc, małe prostokątne lusterko w różowej plastikowej ramce, mydło, które nie zdziera z człowieka skóry, odtwarzacz CD, ze słuchawkami rzecz jasna, i termos, żeby utrzymać w chłodzie wodę albo w cieple gorącą kawę.

Mój świat z nieograniczonego skurczył się do kilku metrów kwadratowych. I wcale mi się z tego powodu gorzej nie oddycha. Przed południem dyżurny strażnik namawia mnie, żebym wyszedł i zaczerpnął świeżego powietrza. Nie jest to obowiązkowe, mogę nadal wypatrywać przed telewizorem niepowtarzalnych okazji w telewizyjnym sklepiku wąsatego staruszka. Ale nie, lubię wychodzić na dwór. Często to okazja do ubicia interesu. Brak tytoniu jest zabójczy dla palaczy gitane'ów, którzy dopiero co przyszli. Nawet jeśli przy odrobinie szczęścia trafili w areszcie na jakiegoś litościwego gliniarza i mogli wykurzyć jednego albo dwa, to daleko im do zwykłej codziennej dawki. Nowych łatwo wypatrzyć: noszą drelichy, które dostali po przyjściu, nie mieli jeszcze czasu ani okazji sprowadzenia z zewnątrz swoich prywatnych ciuchów. Poruszają się śladem kłębów dymu wydychanego przez więźniów już urządzonych i rzucają się na niedopałki, które ci ostatni posyłają niedbałym pstryknięciem na ziemię. Można zacząć rozmowy handlowe.

– Cześć, jestem Abdel. Interesują cię fajki?

– Ousmane. Pewnie, że interesują! Co za nie chcesz?

– Ta twoja dżinsowa katana, to prawdziwy Levi's?

– Nie będzie ci pasowała, jest za duża.

– Bez obaw, już ja będę wiedział, co z nią zrobić… Cztery paczki za kurtkę.

– Cztery?! Abdel, mój bracie, jak słowo, masz mnie za idiotę! Warta jest co najmniej trzydzieści.

– Podwyższę do sześciu, nie więcej. Bierzesz lub odpuszczasz.

– Sześć paczek… Tyle mi wystarczy na trzy dni.

– Bierzesz lub odpuszczasz.

– Okay, biorę…

Transakcji nie można zrealizować podczas spaceru, regulamin zabrania. Zostanie sfinalizowana później w ciągu dnia dzięki dopracowanemu systemowi, który nazywa się jo-jo i na który strażnicy przymykają oczy. Nawet więźniowie niezwiązani ze sprawą się w to bawią: po pierwsze, bo to zawsze jakieś zajęcie, po drugie, bo każdy może któregoś dnia czegoś potrzebować, i wreszcie dlatego, że odmowa udziału oznacza definitywne wykluczenie z naszej małej społeczności.

Obwiązuję papierosy szmatą, zawijam całość w prześcieradło, wysuwam je przez okno i zaczynam kołysać w prawo i lewo. Kiedy wystarczająco je rozbujam, sąsiad z celi obok może złapać pakunek. Potem powtarza tę samą sztuczkę i podaje następnemu kolesiowi, który znów robi to samo i tak dalej, dopóki paczka nie dotrze do adresata. Ten ostatni zawija w prześcieradło bluzę i podaje mi ją tą samą drogą. Zdarza się, że materiał prześcieradła się rozedrze albo jakiś niedołęga wypuści je z ręki. Wtedy przesyłka spada na zasieki z drutu kolczastego, stracona dla wszystkich i na zawsze… Żeby uniknąć podobnych wypadków, upewniamy się za każdym razem, czy nasz partner w interesach „rezyduje” niedaleko nas.

Czas na stołówkę. Niedługo potem na sjestę. Jutro dzień wizyt. Rodzice odwiedzają mnie raz w miesiącu. Nie bardzo mamy o czym rozmawiać.

– Co u ciebie, synu, radzisz sobie?

– Śpiewająco!

– A inni w twojej celi, dają ci spokój?

– Mam pojedynkę. Tak było lepiej dla wszystkich… Bez obaw, szafa gra, jest *cool*!

Nie bardzo mamy o czym rozmawiać, lecz nie ukrywam przed nimi prawdy: dobrze mi się tu żyje. We Fleury-Mérogis jestem wśród swoich. Ludzie żebrali, kradli, czasami bili, handlowali prochami, uciekali, wpadali, łapali ich. Nic poważnego. Niektórzy chwalą się, że siedzą za napad z bronią w ręku, ale nikt im nie wierzy. Ci naprawdę groźni zamykani są we Fresnes. Niejaki Barthelemy przechwala się, że zagarnął diamenty na placu Vendôme. Mamy kupę śmiechu; wszyscy wiedzą, że trafił do pierdla, bo wyrwał sandwicza z kiełbaską i frytkami jakiemuś krawaciarzowi na Defense. Skazali go za „krzywdę moralną", coś cudownego!

Po południu zawsze o tej samej porze podkręcam radio, żeby posłuchać skrótu wiadomości. I słyszę, że policjanci wpadli w pułapkę zastawioną przez jakiegoś świra w Ris-Orangis. Myśląc, że kolegom udało się sforsować drzwi mieszkania, w którym facet się zabarykadował, grupa uzbrojonych po zęby gliniarzy weszła przez okno. Świr – ochroniarz, więc też miał czym zabijać – już tam na nich czekał. Pierwszy strzelił. Co oznacza dwa psy mniej na ulicach. Nie cieszę się z tego ani nie rozpaczam; mam to gdzieś. Świat jest niedorzeczny, pełen czubków, a to mi każe myśleć, że wcale nie jestem najgroźniejszy, daleko mi do tego. Ściszam głos, włączam telewizję. Charles Ingalls piłuje drewno, jego córki ganiają po łące, Caroline podsyca ogień w kominku w ich małym domku na prerii. Zasypiam…

Fleury to kolonie letnie, Club Med z filmu *Opaleni*, tyle że bez słońca i bez lasek. Strażnicy, uprzejmi organizatorzy, robią wszystko, żeby nas nie zdenerwować. Pałowanie, wyzwiska, upokorzenia – widziałem to w filmach, ale od przyjścia tutaj – nigdy. A tak zwany „numer z mydłem" pod prysznicem to zwykły

wymysł albo może fantazja; nie wiem. Współczuję klawiszom; ci są skazani na dożywocie. Wieczorem opuszczają te ponure mury po to tylko, żeby znaleźć się w innych, niewiele weselszych. Jedyne, co je różni, to usytuowanie zamków; w ich domach zamykają się od środka, chroniąc przed takimi jak my łobuzami, których jeszcze nie zdążyli zapuszkować. Więźniowie odliczają dni do końca odsiadki, strażnicy odliczają lata do emerytury…

Na początku ja też liczyłem dni. Wystarczył tydzień, bym zrozumiał, że lepiej przestać, pozwolić, żeby czas płynął, żyć chwilą, nie przejmując się tym, co potem – czyli tak jak zawsze… Zrobiłem się towarzyski, starałem się być uczynny dla sąsiadów. W ścianie pomiędzy celami na wysokości pasa jest zawsze otwór średnicy jakichś ośmiu, dziesięciu centymetrów. Dzięki temu można rozmawiać, podać sobie papierosa czy zapalniczkę, ale też umożliwić sąsiadowi skorzystanie z telewizora, jeśli nie ma własnego. Wystarczy tylko umieścić na taborecie lusterko w taki sposób, żeby odsyłało obraz. Sąsiad ogląda film w dość niewygodnej pozycji, z okiem przylepionym do dziury i musi nadstawiać uszu, żeby usłyszeć dialogi, ale zawsze to lepsze niż nic. W każdą pierwszą sobotę miesiąca na Canal+ dają porno. Kilka minut przed projekcją wszyscy więźniowie zaczynają walić w drzwi, w stoły, w podłogę. Na pewno nie w celu zamanifestowania nieodpartej potrzeby ucieczki. Więc po co? Nie wiem. Ja też walę tak jak inni, bawię się, słysząc pozostałych, choć często chciałbym, żeby się zamknęli. We Fleury-Mérogis nigdy nie jest cicho. Nigdy. Z wyjątkiem comiesięcznego porno. Gdy tylko się zaczyna, robi się cisza jak makiem zasiał.

Nauczyłem się odcinać od tego wszechobecnego hałasu, tworząc własną ścieżkę dźwiękową. Z muzyki – głównie filmowej. *Pewnego razu na Dzikim Zachodzie* weszło na ekrany dwa lata przed przyjściem na świat boskiego Abdela. Na szczęście mój ulubiony western często puszczają i nigdy nie tracę okazji, żeby go znów obejrzeć. Siłą rzeczy niektórych tekstów nauczyłem się na pamięć: „Mieliście ich zastraszyć, a nie zabić!". I okrutna replika drugiego: „Nic tak skutecznie nie zastrasza jak agonia". Albo inna: „Dziś rano widziałem na dworcu trzy marynarki. A w tych marynarkach trzech facetów. A w tych trzech facetach trzy kule". To robi wrażenie! Czasem trafię na niemy film Charliego Chaplina i tak się śmieję, że strażnicy zastanawiają się, czy nie ześwirowałem. Rechoczę prawie tak jak przy słuchaniu wiadomości w radiu i w telewizji. W Creil trzy dziewczyny przyszły do gimnazjum w muzułmańskich chustach, a Francuzom już się wydaje, że mieszkają w Iranie. Dosłownie panikują. Wiadomości są tak żałosne, że lepiej je odbierać na wesoło.

Już wieczór i po drugim filmie wszystkie telewizory same gasną. Zbliża się koniec roku; biorąc pod uwagę umorzenie reszty kary, prawie odsiedziałem już swoje. Wyleguję się całymi dniami jak basza, więc przytyłem chyba z dziesięć kilo.

Nie bardzo mi to na rękę, lecz nie ma się czego bać; wiem, że na zewnątrz interesy czekają, znowu będę musiał być zrywny, startować w ułamku sekundy, ganiać, ile sił w nogach, więc schudnę. W czerwcu przyznałem się do zarzutów, bo wydawało mi się, że jeśli tak zrobię, to szybciej znów zobaczę słońce. Prawda jest taka, że wystarczyłoby wszystkiemu zaprzeczyć i puściliby mnie wolno. Musiałbym się stawić dopiero na proces. Ale równie dobrze

mógłbym zniknąć: zaszyć się u kumpli albo u rodziny w Algierii. I to byłby błąd, bo ominęłoby mnie ciekawe i ani trochę traumatyczne doświadczenie.

* * *

Dziewiątego listopada, leżąc na swojej pryczy, dowiaduję się z ust Christine Ockrent, że od dwudziestu ośmiu lat Europa jest podzielona murem na dwie części. Teraz żelazna kurtyna idzie w górę; gazety na okrągło wałkują to wydarzenie. Niedługo potem widzę ludzi, którzy po kawałku rozbierają ten mur i obejmują się na gruzowisku. Na tle graffiti jakiś staruszek gra na wiolonczeli. Czyli że do tej pory Wschód i Zachód były od siebie całkowicie odseparowane. To nie wymysły scenarzystów z Hollywood; James Bond, gdyby istniał, naprawdę by walczył z radzieckimi szpiegami…

Nagle zadaję sobie pytanie: gdzie żyłem, zanim trafiłem do Fleury-Mérogis, na jakiej planecie? Zamknięty od sześciu miesięcy w celi, odkryłem nagle świat. Cóż za absurd. Tutejsi strażnicy mówią na mnie „turysta”, bo niczego nie biorę na poważnie. Mam w sobie luz faceta, który wszędzie jest tylko przejazdem.

Zresztą swoje już odsiedziałem, spadam. Dzięki, chłopaki, odpocząłem sobie, jestem gotów na nowo puścić się na szerokie wody. Wygląda na to, że w Berlinie, na Trocadéro, na Châtelet-Les Halles czy w podziemiach Orsay wszędzie panuje taki sam bajzel. A jeśli będę musiał wrócić do Fleury, to trudno… wrócę.

16

Wystarczyło tylko kilka tygodni… Garść dni i nocy, w czasie których ani przez chwilę się nie nudziłem. Odebrałem zegarek i sznurowadła i natychmiast znów wróciłem do interesu. Pod wieżą Eiffla wałęsało się coraz więcej odtwarzaczy CD, a pomysłowi inżynierowie nie tracili czasu, pracując nad udoskonaleniem jakości kamer filmowych, które stawały się także coraz lżejsze. W Algierii Islamski Front Ocalenia zaczynał zatruwać atmosferę, więc mój brat Abdel Ghany, drugi „syn" Belkacema i Aminy, wrócił w domowe pielesze na Beaugrenelle. Nie miał papierów, ale musiał zarabiać na życie: zatrudniłem go na Trocadéro. A tam niejaki Moktar pozwolił sobie zająć moje miejsce. Z pomocą kilku wiernych sprzymierzeńców rozebrałem go do rosołu, dając do zrozumienia, że ma się wynosić, i to migiem. Moktar dorwał mojego brata i postanowił użyć do wywarcia nacisku. Abdel Ghany, jak zawsze cykor, powiadomił mnie, że albo oddam teren, albo tamci go załatwią. A nie po to przecież mój drogi braciszek wrócił do Paryża… Pomyślałem wtedy o moim ulubionym filmie *Pewnego razu na Dzikim Zachodzie:* zastraszyć, nie zabić… Z zaprzyjaźnionej siatki Murzynów wybrałem największego, najsilniejszego – i najlepiej uzbrojonego – Jeana-Michela. Razem złożyliśmy wizytę mojemu rywalowi. Temu ostatniemu towarzyszył tuzin jego bandziorków – niektórzy z nich swego czasu pracowali dla mnie – oraz jakaś niebrzydka czarnulka.

– Jak to, Abdelu, przyszedłeś nas odwiedzić tak w pojedynkę? Samobójca z ciebie czy zwyczajnie wariat?

– Nie przyszedłem sam, spójrz!

Jean-Michel wyciągnął swoją śrutowąpukawkę, pomagierzy rozpłynęli się w powietrzu, została tylko dziewczyna, ciekawa, co będzie dalej. Rozebraliśmy Moktara do gaci i zostawiliśmy go trzęsącego się z zimna i ze strachu na samym środku placu Wolności i Praw Człowieka. Opowiadam o czasach, kiedy porządni ludzie spokojnie przesiadali się do innego wagonu, gdy w metrze wybuchała bójka. Tu, u stóp Pałacu Chaillot, z takim samym spokojem zeszli nam z drogi, niespecjalnie zdziwieni widokiem. I Moktar się już więcej nie pokazał.

Dopiero co wyszedłem z więzienia, byłem pełnoletni, w oczach prawa odpowiedzialny za wszystkie swoje czyny. Po raz pierwszy w moim życiu nie było już sędziego dla nieletnich ani wychowawcy, ani nauczycieli, ani rodziców. Żadnego dorosłego gotowego wyciągnąć do mnie rękę i udzielać dobrych rad. Gdybym chciał po pobycie we Fleury-Mérogis stać się nowym Abdelem, na pewno znalazłbym kogoś chętnego, by mi pomóc. Wystarczyło poprosić. Belkacem i Amina nigdy się mnie nie wyrzekli; odwiedzili mnie tuż przed końcem odsiadki i palnęli kazanie, zachowywali się dokładnie tak, jak powinni zachować się rodzice wobec syna, który zszedł z prostej drogi. A ja, po staremu bezmyślny, tylko czekałem, kiedy przestaną gadać…

Moi bohaterowie wychodzili cało z każdej opresji. Terminator obrywał, ale nigdy nie padł. Rambo nikt nie był w stanie pokonać. James Bond uchylał się przed kulami, Charles Bronson, jak go postrzelili, tylko się skrzywił. Nawet nie to, żebym się z nimi

identyfikował; dla mnie życie wyglądało tak jak w kreskówkach. Ktoś spada ze skały, rozpłaszcza się na ziemi na placek, a potem znów wstaje. Nie istnieje śmierć. Nie istnieje cierpienie. W najgorszym razie człowiekowi wyskoczy wielki guz na czole i staną mu świeczki w oczach. Wszystko wraca do normy, a za chwilę znów powtarzamy te same błędy.

Tak właśnie było ze mną. Obroniłem swoją pozycję na Trocadéro, ale nie widziałem, że gliny mają mnie na oku, i tym razem znów nie zauważyłem, kiedy nadeszli. Wracamy? No to wracamy.

17

Francja to cudowny kraj. Mogła dać za wygraną, uznać mnie za straconego zarówno dla innych, jak i dla samego siebie, i pozwolić mi się stoczyć w bandytyzm. Postanowiła dać mi nową szansę zostania uczciwym człowiekiem. Skorzystałem z niej. Przynajmniej pozornie. Francja to zakłamany kraj. Przymyka oczy na wszelkie oszustwa, kanty i przewałki, dopóki człowiek zachowuje dyskrecję. Francja trzyma komitywę ze swoimi najbardziej nieuczciwymi obywatelami. A ja to bezwstydnie wykorzystywałem.

Kilka miesięcy przez końcem odsiadki jeden z wychowawców zainteresował się moim przypadkiem. Odwiedził mnie, był bardzo miły, zaproponował mi rozwiązanie inne niż kradzieże i rozboje: zdobycie zawodu. Tam, gdzie przegrała szkoła, więzienie i jego wysłannicy specjalni spodziewali się wygrać.

– Panie Sellou, znajdziemy dla pana staż. Od przyszłego miesiąca zostanie pan przeniesiony z Fleury-Mérogis na zwolnienie warunkowe do Corbeil-Essonnes. Codziennie rano będzie pan wychodził do pracy i codziennie wieczorem wracał na noc do ośrodka. Z wyjątkiem weekendów, które będzie pan mógł spędzać z rodziną. W trakcie stażu wielokrotnie będziemy sprawdzali, jak się pan sprawuje, i potem zdecydujemy, co dalej.

Amen. Mogłem udawać, że w teorii chcę tego samego, czego chce wychowawca. Ale w praktyce nawet przez sekundę nie wyobrażałem sobie nagięcia się do regulaminu. Trzeba było być

wielkim naiwniakiem, by przypuszczać, że dzieciak, który nigdy nie słuchał ani rodziców, ani nauczycieli, ani gliniarzy, nagle uzna, że droga do zbawienia wiedzie przez posłuszeństwo! Jakich zresztą argumentów użyto, bym w to uwierzył? Żadnych! Ale ten żółtodziób pod krawatem miał rację, że oszczędzał ślinę… Uważnie słuchałem jego gadki. Dotarło do mnie słowo „zwolnienie". I jakieś inne wcześniej – warunkowe? Choć to akurat natychmiast puściłem mimo uszu. Usłyszałem też, że w weekendy będę mógł nocować, gdzie chcę. A to oznaczało, że wyjadę z Corbeil-Essonnes w piątek rano i zjawię się z powrotem dopiero w poniedziałek wieczorem. Cztery dni swobody… Od razu się pod tym podpisałem.

* * *

Trzy tygodnie po rozpoczęciu stażu – na elektryka, jak ojciec! – wzywa mnie wychowawca.

– Pani Sellou, czyżby miał pan jakieś problemy z nauką?

– Eeee, nie… Chyba nie.

– Słyszałem jednak, że od czterech dni jest pan nieobecny.

Natychmiast czaję, w czym rzecz. Nigdy nie poszedłem zobaczyć, jak wygląda manipulowanie kablami, wtyczkami i wyłącznikami. Wysłałem na moje miejsce kumpla. Tego samego wzrostu, tej samej tuszy; jest do mnie podobny, a ja nigdy nie jestem podobny do siebie na zdjęciach. Trik gładko funkcjonował, dopóki kumpel nie urwał się z zajęć… Powinien był mnie jednak uprzedzić! Będę to musiał z nim wyjaśnić. Na razie wyjaśnień oczekuje wychowawca. Próbuję ściemniać.

– Prawdę mówiąc, atmosfera była taka sobie… Już sam wysiłek, żeby się zintegrować, jest niełatwy, ale jak człowiek zaczyna jeszcze

słyszeć różne rasistowskie żarty…

– Więc co w tej sytuacji zamierza pan zrobić? Skoro nie uczęszcza pan już na staż, nie mogę pana zatrzymać na zwolnieniu warunkowym. Musi pan wrócić do Fleury-Mérogis.

No proszę!… Żółtodziób wyobraża sobie, że się posram ze strachu. Więc nie wie, że we Fleury łóżka mają wygodniejsze niż w Essonnes. Chowam jednak dumę do kieszeni, robię skruszoną minę i błagam:

– Niech mi pan da tydzień na znalezienie innego stażu. Bardzo pana proszę…

– Tydzień, nie więcej.

Ho, ho! I w dodatku ma się za wielkiego twardziela!

– Obiecuję, tydzień.

W Corbeil nie podoba mi się to, że w pokojach nie ma telewizji. Człowiek wraca najpóźniej o dziewiątej wieczorem, podpisuje listę przed umundurowanym strażnikiem z tak plastyczną facjatą, że wygląda jak wypisz, wymaluj żandarm z Saint-Tropez… Następnego dnia skoro świt drzwi się otwierają, żeby śmiałkowie zdążyli dotrzeć na czas do swojego kieratu. W międzyczasie nie ma nic do roboty. Zero, nul.

Przestudiowałem drobne ogłoszenia. Sieć pizzerii szukała rozwozicieli pizzy. Ukradłem już wystarczająco wiele skuterów i motorowerów, żeby opanować technikę jazdy, i biegałem wystarczająco długo po ulicach Paryża, żeby mieć każdą dzielnicę w małym palcu. Dostałem pracę. Przez kilka dni pakowałem różne siciliany i neapolitany do termicznej torby skutera, dzwoniłem do drzwi, wściekałem się na parterze, kiedy nikt nie otwierał, myliłem kody wejściowe, broniłem moich calzone przed łobuzami, którzy nie

chcieli płacić, i częstowałem margheritami okolicznych bezdomnych. Dostałem zaświadczenie, które z anielskim uśmiechem położyłem przed wychowawcą.

– Brawo, panie Sellou. Zachęcam do wytrwałości.

– Nie ma sprawy. Postanowiłem nawet zająć się czymś poważniejszym.

Nie wierzy własnym uszom.

– Co pan chce przez to powiedzieć, panie Sellou?

– No… chcę powiedzieć, że mam ambitniejsze plany. Nie zamierzam być przez całe życie rozwozicielem pizzy. Zacząłem już pomagać jednemu kierownikowi lokalu.

– Zatem powodzenia. Z całego serca życzę panu powodzenia.

Nie wątpi, że zajdę daleko, bardzo daleko.

18

Odgrywałem przykładnego pracownika, żeby zdobyć zaufanie kierownictwa. Pokazali mi, jak działa pełny cykl od przyjęcia zamówienia i dowiezienia pizzy do klienta aż po wieczorne zamknięcie kasy i podliczenie utargu. W pierwszej firmie, która mnie zatrudniła, szybko awansowałem. Zauważyłem i zanotowałem w pamięci luki w systemie: mimo pozorów i mimo rzekomej nauczki, jaką było więzienie, Mały Abdel się nie zmienił. Tyle że szukał nowego sposobu robienia interesów.

Po tym, jak mnie zwinęli na Trocadéro, zrozumiałem, że pora rozejrzeć się za innym biznesem. Od połowy lat osiemdziesiątych i moich początków w branży zegarków i kamer Paryż się zmienił. Zaostrzono środki ostrożności, żeby turyści mogli w większym spokoju ducha korzystać z pobytu w metropolii, a policja, nawet jeśli zajęło jej to trochę czasu, nauczyła się postępować z cwaniaczkami mojego pokroju. Zaostrzała się też konkurencja między handlarzami, którzy zawsze chcieli więcej. Najpewniejszym sposobem zrobienia dużej kasy stawały się prochy. W handlu zaczynała się pojawiać broń. Nie widywało się jeszcze facetów łażących z kałaszami, jakby to były ich ulubione czworonogi, co dziś jest zwykłym widokiem, ale powoli zaczynały powstawać gangi, które na wszelkie sposoby starały się zrobić wrażenie na innych. Trzeba było bronić własnego terytorium. Arabowie nie prowadzali się już tak swobodnie z czarnymi. Wzrost wpływów Islamskiego

Frontu Ocalenia w Algierii przerażał Francuzów. Gazety donosiły o różnych barbarzyństwach, zaczęto spoglądać na nas krzywym okiem i traktować prawie jak dzikich ludzi. Należało się jak najszybciej przebranżowić.

* * *

W Corbeil-Essonnes poznałem ćpuna, który też był na zwolnieniu warunkowym. Ukradł citroena AX, żeby mieć czym dojeżdżać do pracy. Przez dwa czy trzy tygodnie wysadza mnie co rano przy wjeździe do Paryża, po czym znikają on i jego samochód. Przesiadam się do metra. Teraz ja jestem na miejscu uczciwych ludzi pracy, którzy ledwie dwa lata temu oglądali mnie śpiącego na ławce w wagonie.

Jean-Marc, kierownik punktu w Dzielnicy Łacińskiej, sam już nie wie, co robić. Jego dostawcy często wracają na piechotę, z pustymi kieszeniami. Mówią, że zostali obrobieni, a tymczasem przehandlowali skuter, często za koks, zatrzymali pieniądze dla siebie, a pizzą podzielili się z kumplami. Jak to udowodnić? Jean-Marc nie jest jeleniem, lecz nie może nic z tym zrobić. Nie wyrzuca się rozwoziciela za to, że go napadli. Nie składa się na niego skargi, tylko dlatego, że mu się nie wierzy. Jean-Marc wzdycha głęboko i żąda od centrali sieciówki, by przysłali jak najszybciej nowy jednoślad. Nie biorę udziału w żałosnych poczynaniach reszty ekipy, nie odzywam się, ale mam już dość: opracowałem plan przestawienia produkcji, a przez tych drobnych złodziejaszków nie mogę wprowadzić go w życie. Mówię więc kierownikowi:

– Jean-Marc, te twoje chłopaki uważają cię za idiotę.

– Wiem, Abdel, ale mam związane ręce!

– Posłuchaj, to bardzo proste. Jest dziesiąta. Wzywasz każdego po kolei, mówisz, że dzisiaj nie jest ci potrzebny. Tak samo jutro i pojutrze. A za trzy dni wysyłasz im zawiadomienia o zwolnieniu za niestawienie się do pracy czy coś w tym stylu.

– Zgoda, tylko kto przez ten czas będzie jeździł z dostawami?

– Ja się tym zajmę i znajdę ci ludzi.

Jeśli policjanci bywają czasem mało skuteczni w walce z łobuzami, to dlatego, że nie stosują tych samych metod co tamci. Nie antycypują wykroczenia, nie widzą, kiedy jest blisko. Ja nie obawiam się konfrontacji ze złodziejaszkami. Nic dziwnego – jestem jednym z nich! Dorastali w La Chapelle, w Saint-Denis, w Villers-le-Bel, w Mantes-la-Jolie, gdziekolwiek. Mamy za sobą tę samą szkołę, szkołę blokowiska.

Umiałem zaprowadzić porządek. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozwoziciele nie zgłaszają już żadnych napaści, wieczorny utarg się zgadza. Rozliczają się z niego Yacine, Brahim i paru innych moich przyszłych wspólników. Oni też są już wciągnięci do gry, przez kilka pierwszych tygodni zachowują się jak trzeba. Wiedzą, że mogą mi zaufać i że wkrótce ich codzienny byt się polepszy. A na razie obżerają się pizzą i już teraz są zadowoleni.

Był taki serial, który jako dzieciak bardzo lubiłem, *Drużyna A*. W tym numerze z pizzerią jestem jednocześnie Buźką, pięknisiem, któremu wszystko się udaje, i Hannibalem, który kończy każdy odcinek pamiętną odzywką: „Uwielbiam, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem”. Zaczynam zastępować Jeana-Marca, gdy ma wolne. A kiedy dyrekcja każe mu wziąć inny lokal, z gratulacjami od wszystkich zajmuję jego miejsce. Droga wolna.

W 1991 roku rachunkowość prowadzi siejeszcze na papierze, odręcznie. W mojej małej pizzerii używa się tak zwanych mastersów, czyli bloczków kelnerskich z numerowanymi, podwójnymi kwitami. Wkłada się między dwa kwity kalkę i w ten sposób ma się kopię zamówienia. Jeden egzemplarz dostaje klient jako rachunek, drugi jest odsyłany do centrali, która dzięki temu wie dokładnie, jaki towar został sprzedany, a więc jaki powinien być utarg z każdego lokalu.

Mój plan jest prosty: sprzedawać pizze na lewo. Kiedy klient dzwoni i zamawia dostawę dwóch czy trzech placków, wystarczy zapytać, czy chce dostać pokwitowanie. Gdy zamówienie składa mała rodzina albo dwóch, trzech studentów, nawet się o to nie pyta. W przypadku dostawy do firmy paragon dołącza się zawsze. Wieczorem do koperty dla centrali wkładam kopie rachunków plus odpowiadający im utarg. Reszta zostaje dla nas.

Trzeba też, rzecz jasna, uzasadnić zużycie surowców. Nic prostszego: codziennie rano, kiedy dostawca przywozi ciasto, skrzynki z szynką i pojemniki z pulpą pomidorową, stawiam mu kawę. W tym czasie Yacine i Brahim dyskretnie wynoszą z ciężarówki wszystko, co potrzebne do produkcji naszych widmowych pizz. Sprawdziła się też inna metoda: lewe zamówienia, które oczywiście także odnotowuję na bloczkach. Wymyślam, dajmy na to, że jakiś Jean-Marie Dupont, kawalarz z Saint-Martin, dzwoni i prosi o dziesięć wielkich pizz, każda inna. Tyle że pod wskazanym adresem mój biedny wysłannik trafia na gabinet dentystyczny, w którym nikt nic nie zamawiał. Oczywiście żadnego kursu nie było i żadne pizze nie zostały zrobione. Tylko dyrekcja po lekturze mojego raportu umieszcza je naiwnie w rubryce strat.

* * *

Odwiedziło mnie w pizzerii dwóch facetów.

– Chcemy ci zaproponować interes; niedaleko mamy pusty lokal. Kupujemy piec do pizzy, skuter, zatrudniamy rozwoziciela. Kiedy dostajesz u siebie zamówienie, dajesz nam znać i my je realizujemy. Zyski dzielimy pół na pół.

Wydali fortunę na sprzęt, wpisali firmę do rejestru handlowego, posadziłem koleżankę przy telefonie, ruszyliśmy. Bardzo szybko nakręciliśmy niesamowite obroty, a potem nagle wszystko zwolniło. Wtedy wpadłem na pomysł, żeby wrzucić nazwę spółki do Minitela. Okazało się, że nic mi nie mówiąc, otworzyli drugi lokal. Miałem klucze od pierwszego. Poszedłem tam w nocy, rozmontowałem piec, Baker-Sprite'a wartego trzydzieści tysięcy franków, zabrałem skutery, sprzedałem wszystko na części. Wspólnicy nie mieli na mnie żadnego bata: żadnej umowy nie podpisaliśmy, moje nazwisko nigdzie nie figurowało. Od razu padli; cała ta sprawa nawet mnie nie rozbawiła.

Ja i moi kumple byliśmy z siebie zadowoleni. Nie chcieliśmy wiele. Liga drobnych graczy w zupełności nam pasowała. Nie próbowaliśmy zagarnąć milionów, nie uważaliśmy się za dużo cwańszych od reszty, po prostu cieszyły nas nasze niezbyt wredne numery, jakie wycinaliśmy społeczeństwu. W naszej małej grupie nikt nie pił, nikt nie ćpał. Nie obciążaliśmy się zbędnym balastem. A przede wszystkim mieliśmy świadomość, że nigdy byśmy nie zabili dla kasy i że nie kusi nas przejście do ligi prawdziwych twardzieli. Szukaliśmy przyjemności w każdej formie. Zadawaliśmy się z klientkami. Po zamknięciu lokalu lądowaliśmy u studentek na drugą zmianę. Jak to faceci, konkurowaliśmy między sobą, który

wyrwie najładniejszą. W służbówkach na mansardzie bywało gorąco. Brahim miał własną technikę: udawał jasnowidza i przepowiadał dziewczynom, że niestety, ale obleją końcowe egzaminy. Liczył, że będzie je mógł pocieszać. Jego strategia nie zawsze się sprawdzała. Posłańcy złej nowiny nie mają wielkiego wzięcia u intelektualistek. Ja wolałem je rozśmieszać.

Rano z trudem zwlekałem się z łóżka i uważałem, że głupotą z mojej strony jest zadawanie sobie takiego gwałtu, by mimo wszystko dalej to ciągnąć. Bo praca jest męcząca. Czy używa się metod legalnych, czy nie – jest męcząca. Bałem się, że skończę jak ci uczciwi obywatele, których miałem za kompletnych idiotów. A potem sieciówka zaczęła instalować we wszystkich lokalach komputery. Skończył się interes z lewymi zamówieniami. Zwolniłem się. Z otrzymanym świadectwem pracy zgłosiłem się do urzędu zatrudnienia. Bez najmniejszego wysiłku mogłem przez dwa lata zarabiać niemal równowartość mojego oficjalnego wynagrodzenia. Nie miałem żadnych skrupułów, by skorzystać z tej możliwości.

W tym okresie mojego życia byłem jak Driss, wzorowany na mnie bohater filmu *Nietykalni*. Beztroski, wesoły, leniwy, próżny, wybuchowy. Ale nie naprawdę zły.

III
PHILIPPE I BÉATRICE POZZO DI BORGO

19

Serwować hamburgery. Dźwigać palety towarów z ciężarówki do magazynu, z magazynu do ciężarówki. I od nowa. Nalać paliwa do baku, wydać resztę, zainkasować napiwek. O ile jakiś był. Pilnować nocą pustego parkingu. Najpierw walczyć z sennością. Potem spać. Stwierdzić, że na jedno wychodzi. Wprowadzać kody towarów do komputera. Dekorować kwiatami ronda. Bratki zastępować geranium. Bez ciąć od razu, jak przekwitnie… Przez trzy lata wykonywałem od groma prac dorywczych. Dziwne, ale jakoś nie czułem, żeby budziło się we mnie powołanie. Zjawiałem się w pośredniaku na tej samej zasadzie, na jakiej stawiałem się na spotkania z sędzią dla nieletnich, mając szesnaście–osiemnaście lat. Okazywanie uległości i posłuszeństwa było niezbędnym warunkiem odbierania zasiłku dla bezrobotnych. Od czasu do czasu trzeba było wykonać jakiś dodatkowy gest. Udowodnić swoją dobrą wolę. A więc serwować hamburgery… Włożyć plaster mięsa między dwie kromki chleba. Wycisnąć majonez z dystrybutora. Nie przesadzać z musztardą. Szybko zwracałem fartuch. Szykowałem wielką tackę frytek, polewałem je obficie keczupem i uśmiechając się szeroko do reszty ekipy, odchodziłem. Śmierdzieli wszyscy przypalonym tłuszczem…

Miałem szukać pracy. Szukałem niezbyt aktywnie i celowo nieudolnie, dzięki czemu zostawało mi sporo wolnego czasu.

Dniami i nocami balowałem z kumplami, którzy prowadzili równie luźny tryb życia. Przez cztery miesiące, minimum konieczne do wystąpienia o zasiłek, pracowali, po czym zgłaszali się do pośredniaka i spokojnie wegetowali przez następny rok czy dwa. Ani oni, ani ja nie robiliśmy już nic nagannego, a jeśli – to z rzadka. Zdarzało nam się nocą wprosić na plac budowy, żeby się pobawić koparką, albo urządzić rodeo na skuterach w Lasku Bulońskim, ale nic z rzeczy zakłócających spokój porządnych obywateli. Chodziliśmy do kina. Dostawaliśmy się wyjściem awaryjnym, opuszczaliśmy salę przed napisami końcowymi. Któregoś dnia ustąpiłem miejsca jakiejś ładnej mamusi, która przyszła z synem obejrzeć *RoboCopa 3*. Dzieciak miał duże jak na swój wiek stopy, a na nich świetne trampki: w stylu amerykańskim, wysokie i ze skóry. Mało brakowało, a bym go zapytał, gdzie je kupił – nawet mi do głowy nie przyszło, żeby mu je po prostu zabrać. Trochę się nawet zaniepokoiłem: Co jest, Abdel, starzejesz się czy jak? Ale szybko wytłumaczyłem sobie, że właściwie wcale mi nie są potrzebne…

Wezwania do pośredniaka dostawałem na adres rodziców. Koperta leżała na kaloryferze przy wejściu, w tym samym miejscu, gdzie kilka lat wcześniej czekały listy z Algierii. Łączność między mną a moim rodzinnym krajem już dawno temu się zerwała. Z Belkacemem też funkcjonowała słabo – z powodu sytuacji politycznej w Algierze. Oglądając wiadomości, ojciec wzruszał ramionami, przekonany, że dziennikarze dramatyzują sytuację. Nie wierzył, że intelektualistom zamknięto usta, nie wierzył w tortury ani w porwania. Nawet nie wiedział, że w Algierii są intelektualiści. A zresztą kto to jest intelektualista? Ktoś, kto mądrze myśli?

Profesor? Lekarz? I niby po co zabijać lekarza? Belkacem i Amina gasili telewizor.

– Widziałeś, Abdel? Dostałeś list z urzędu zatrudnienia!

– Widziałem, mamo, widziałem…

– I co? Nie otworzysz?

– Jutro, mamo, jutro…

* * *

Na kaloryferze leży jedna koperta, ale w środku są dwa różne skierowania. Jedno z nich zachęca mnie do udania się do Garges-les-Gonesse, gdzie, jeśli dopisze mi szczęście, zostanę stróżem nocnym w minimarkecie. Nie rozumiem. Garges-les-Gonesse – to jakaś nowa stacja metra? Wykopali ją, kiedy siedziałem we Fleury? Nie, drobną czcionką wyraźnie stoi napisane: Garges-les-Gonesse, departament 95. To musi być jakiś błąd. W agencji zatrudnienia wyraźnie zaznaczyłem, że granicą terytorialną moich poszukiwań jest obwodnica. Wywalam zmiętą kartkę i od razu sprawdzam adres na drugiej: aleja Leopolda Drugiego, Paryż, Szesnastka. O, to już wygląda znacznie lepiej! A dzielnicę starego Leo znam jak własną kieszeń: dojazd linią metra 9, stacje Jasmin i Ranelagh, prywatne rezydencje i wytworne kamienice, ach, ach… Tamtejsi ludzie mieszkają nie w apartamentach, tylko w kasach pancernych. W ubikacji zmieści się tuzin narodu, każda sypialnia ma własną łazienkę, dywany są miękkie jak kanapy. W tej dzielnicy, gdzie sklepów jest jak na lekarstwo, spotyka się staruszki w futrach, które każą sobie dostarczać obiady z najlepszych restauracji. Wiem to, bo swego czasu zabawialiśmy się z Yacine’em w przechwytywanie dostaw (czasami obrabialiśmy nawet same staruszki, którym

grzecznie proponowaliśmy poniesienie ich pakunków, po czym truchtem zmykaliśmy). Mieliśmy chwalebny zamiar napisać przewodnik gastronomiczny, ale wcześniej musieliśmy przecież przetestować dania! Testowaliśmy w ten sposób Fauchona, Hediarda, Lenotre'a i nawet rybią ikrę z jakiejś, nie pamiętam już z jakiej, rzekomo sławnej firmy. Tylko niech nikt nas nie weźmie za przygłupów, którymi nie byliśmy: wiedzieliśmy, że za jedną foremkę każą sobie płacić fortunę i że znajduje się w niej kawior. „Kaaawior" – jak mówili miejscowi. Prawdę powiedziawszy, był obrzydliwy.

No to w drogę na aleję Leopolda Drugiego… Nawet nie sprawdzam, o jaką pracę się ubiegam: z góry wiem, że nic z tego nie będzie. Chcę tylko dostać podpis na skierowaniu, by mieć dowód, że stawiłem się pod wskazany adres. Zwrócę je potem w pośredniaku, mówiąc, że niestety, i tym razem mnie nie chcieli. Młodzi blokersi mają w życiu naprawdę niełatwo…

* * *

Stoję przed bramą. Cofam się. Znowu podchodzę. Opieram dłoń o drewno, ostrożnie, jakby mnie miało oparzyć. Coś mi tu nie pasuje. Przecież to wygląda jak brama jakiejś twierdzy. Opuśćcie zwodzony most! Za minutę usłyszę głos zza ściany. Powie mi: „Idźże, chamie, dalej swoją drogą. Nasz pan nie daje jałmużny. Wynoś się, bo cię rzucę krokodylom na pożarcie!".

Wiadomość z ostatniej chwili: Abdel Yamine Sellou próbuje sił w filmie. Dostał rolę giermka Jacquouille'a w *Gościach, gościach 2*. Szukam wzrokiem kamer ukrytych w zaroślach, za samochodami stojącymi wzdłuż krawężnika, na plecach policjantki robiącej obchód parkomatów. Sam się śmieję ze swoich majaczeń. Wyglądam

na tym chodniku jak prawdziwy świr. Już dobrze, Abdel, wyluzuj. Nagle do mnie dociera, że być może niepotrzebnie wyrzuciłem drugie skierowanie, to do Garges-les-Gonesse. Powinienem przedstawić w pośredniaku chociaż jeden podpis. Sprawdzam nazwę ulicy. Zgadza się. Sprawdzam numer domu. Też się zgadza, przynajmniej w teorii. A jednak coś mi tu nie pasuje. Chyba że… No nie! Przecież nie ośmieliliby się mnie wysłać do sprzątania burżujom!

Patrzę jeszcze raz na skierowanie i czytam nazwę stanowiska: „Asystent dla tetraplegika". A kto to taki, ten „asystent"? Pamiętam to słowo ze szkoły: asystować znaczy dotrzymywać komuś towarzystwa. To co robi taki asystent? Dziwne sformułowanie. A jeśli chcą mnie zwabić do jakiejś sekty? Już się widzę siedzącego w pozycji lotosu na macie z gwoździ i medytującego nad swoim życiem i zbawieniem…

A tetraplegik? Nigdy nie słyszałem takiego słowa. Kojarzy mi się z tetrą, z teatrem, z magikiem, z logikiem. Ale dla mnie nie ma w tym żadnej logiki.

Znów dotykam drewnianej bramy, muszę jej dotknąć, żeby uwierzyć. Wyglądam przy niej jak liliput. Jest wysoka na trzech chłopa i szeroka na co najmniej dwudziestu pięciu! Unoszę nieco głowę, widzę mały przycisk i głośnik wielkości kilku centymetrów kwadratowych. Domofon, który chce pozostać niezauważony. Naciskam, słyszę klik i potem cisza. Naciskam jeszcze raz. Mówię do ściany:

– Ogłoszenie o pracy, asystent i tak dalej, to tutaj?

– Proszę wejść.

Znów kliknięcie. Ale ogromna brama wejściowa ani drgnie. To którędy niby mam wejść? Znów dzwonię.

– Taak?

– Zna pani duszka Kacpra?

– …

– No więc to nie ja! Proszę otworzyć, i to już!

Klik. Klik. Klik. I w końcu dociera do mnie, w czym rzecz. Jak w każdym szanującym się zamku, jest tu sekretne przejście…

I znajduję je! Na tle ogromnej bramy ledwie odcinają się inne, ludzkich rozmiarów drzwi. Wchodzę. Rozmowa jeszcze się nie zaczęła, a już jestem wkurzony. Nie ma mowy o żadnym długim siedzeniu. Ten średniowieczny guru będzie mi musiał raz dwa podpisać mój papier.

204

Wewnątrz jest tak samo dziwnie jak na zewnątrz. Przeszedłem przez drzwi, znalazłem się na pustyni. W Beaugrenelle hol podobnych wymiarów mógłby służyć za salę sportową dla całej dzielnicy. Nikogo. Dozorczyni wyłania się ze swojej stróżówki.

– Pan w jakiej sprawie?

– Do… tetra… tetraple… Jest tu taki?

Patrzy na mnie krzywo i bez słowa wskazuje palcem drzwi w głębi. Dzyń, dzyń, znowu szczęk zamka, ale tym razem drzwi same otwierają się na oścież. Zamykam je za sobą. Dalszy ciąg halucynacji? Chyba ktoś sobie ze mnie kpi, jestem ofiarą skeczu nagrywanego z ukrytej kamery, za moment pojawi się Laurent Baffie i klepnie mnie po ramieniu.

Nagle uświadamiam sobie, że nie jest to siedziba żadnego przedsiębiorstwa, tylko mieszkanie kogoś bardzo nietypowego… Sam przedpokój musi mieć ze czterdzieści metrów kwadratowych. Wychodzi się z niego do dwóch pomieszczeń: na prawo do biura, w którym dostrzegam siedzących kobietę i mężczyznę, zapewne w trakcie rozmowy z jednym z kandydatów, na lewo – do salonu. Nazywam to salonem, bo widzę kanapy, stoły, komody, krzesła, kasy pancerne, konsole, lustra, obrazy, rzeźby… A nawet dzieci. Dwoje, bardzo pięknych, bardzo czystych, w rodzaju tych, które niezbyt lubiłem, gdy dzieliłem z nimi ławki w szkole. Pojawia się jakaś kobieta z tacą. Faceci w tanich garniturach siedzą

z niewyraźnymi minami, z kartonowymi teczkami na kolanach. Ja trzymam swoją wymiętą kopertę w rękach, mam na sobie wyblakłe dżinsy, wysłużoną bluzę. Wyglądam jak robociarz z przedmieścia, który ma za sobą osiem dni spania pod gołym niebem. Chociaż nie, bo wczoraj spałem u mamy. Prawdę mówiąc, to mój normalny wygląd. Nonszalancki, wszystko lekceważący, aspołeczny typ…

Podchodzi do mnie blondynka i zaprasza, bym zaczekał obok tamtych facetów. Siadam przy ogromnym stole. Gdy dotykam drewnianego blatu, zostawiam na nim ślad palca, który znika po kilku sekundach. Obrzucam wzrokiem pomieszczenie. Skoro już tu jestem, warto wykorzystać tę okazję i zorientować się w całości, bo może mi się to kiedyś przydać. Efekt oględzin jest jednak rozczarowujący – nie ma telewizora ani magnetowidu, ani nawet telefonu bezprzewodowego. Może w samym biurze? Poprawiam się na krześle, podpieram ręką brodę i zapadam w drzemkę.

Blondynka pojawia się co siedem, osiem minut i oschłym tonem prosi następnego kandydata. Za każdym razem faceci popatrują na siebie niepewnym wzrokiem. Burczy mi w brzuchu z głodu, myślę już o tym, że wpadnę do Brahima, by coś przekąsić. Przerywając ten wersal niezdecydowanych pajaców, podnoszę rękę:

– Załatwię moją sprawę w dwie sekundy.

Wchodzę do biura, blondynka za mną, pokazuję papier z urzędu zatrudnienia, kładę go na biurku, za którym z pewnym wahaniem sadowi się dziewczyna.

– Dzień dobry, czy mogę prosić o podpis?

Nauczyłem się być grzeczny, bo dzięki temu szybciej się wszystko załatwia. Odnoszę wrażenie, że ludzie się mnie boją. Mężczyzna siedzący obok sekretarki nie mrugnął nawet okiem. Nie wstał, żeby

się ze mną przywitać, ale nie jestem zaskoczony jego brakiem uprzejmości. Miałem już do czynienia z takimi wyniosłymi typami, którzy traktowali mnie niczym psa. Nic nowego.

– Spoko! To nie jest napad! Zależy mi tylko na podpisie tutaj.

Pokazuję miejsce na dole kartki. Mężczyzna uśmiecha się, spogląda na mnie w milczeniu, jest zabawny z tą swoją jedwabną chusteczką w kieszonce marynarki w stylu księcia Walii.

– Do czego potrzebny jest panu ten podpis? – pyta dziewczyna.

– Do potwierdzenia, że jestem bezrobotny.

Z rozmysłem nie owijam niczego w bawełnę. Ta panienka i ja nie należymy do tego samego świata, to oczywiste. W końcu odzywa się mężczyzna:

– Potrzebny jest mi ktoś, kto będzie mi towarzyszył wszędzie tam, gdzie muszę się udać, łącznie z podróżami… Czy podróże pana interesują?

– Jak to? Szuka pan szofera?

– Trochę więcej niż szofera…

– Co znaczy więcej?

– Towarzysza. Pomocnika w codziennym życiu. To pewnie jest napisane w tym pańskim dokumencie, prawda?

Dalszy ciąg majaczeń. Nie pojmuję nic z tego, co do mnie mówi. Mam przed sobą mężczyznę około czterdziestu lat, nadzianego, otoczonego armią asystentek w plisowanych spódniczkach. Przypuszczam, że dzieciaki, które widziałem w salonie, to jego dzieci, że ma także podobną do nich śliczną żonę. Po co mu ktoś, kto trzymałby go za rączkę w podróży? Dalej nie rozumiem, na czym polega problem, i nie mam ochoty dłużej się nad tym zastanawiać. Zadałem sobie jednak sporo trudu, żeby tutaj dojechać,

wysiliłem całą moją inteligencję, żeby dostać się do środka w celu uzyskania tego cholernego podpisu i bez niego nie wyjdę.

– Proszę pana, ja już nie towarzyszę mamie, kiedy robi zakupy… Proszę więc to podpisać.

Sekretarka wzdycha, on zachowuje spokój. Wygląda na to, że coraz lepiej się bawi i nie szkoda mu czasu. Można by pomyśleć, że to scena z *Ojca chrzestnego*, kiedy wielki boss uczy życia młodych ważniaków, którzy chcieliby zająć jego miejsce. „Słuchaj, mały…”. Coś w tym rodzaju… Lokator tego pałacu to ojciec chrzestny. Naprzeciw mnie siedzi Don Vito Corleone i ze spokojem wyjaśnia mi, jak wygląda sytuacja. Brakuje tylko talerza z makaronem i serwetki pod szyją.

– Mam problem: nie mogę sam wstać z tego fotela. Zresztą niczego nie mogę robić samodzielnie. Ale, jak pan widzi, jestem otoczony dobrą opieką. Potrzebny mi tylko silny jak pan chłopak, który zawiezie mnie tam, gdzie zechcę pojechać. Pensja jest interesująca, dodatkowo proponuję panu niezależne mieszkanie w tym budynku.

Zaczynam się wahać… Nie trwa to jednak długo.

– Szczerze mówiąc, mam prawo jazdy, ale do tej pory jeździłem przeważnie na skuterze, rozwożąc pizzę. Proszę podpisać ten papier i porozmawiać z tamtymi, którzy czekają w salonie. Nie sądzę, żebym był właściwą osobą dla pana.

– Nie interesuje pana mieszkanie?

Trafia w czułe miejsce. Widzi włóczęgę, małego Araba, który nigdy nie będzie w stanie zapłacić za wynajem mieszkania w takiej dzielnicy, młodego typka pozbawionego wszelkich ambicji, beznadziejny przypadek. A przecież nie wie jeszcze, że siedziałem

w więzieniu… Don Vito Corleone ma serce, choć nie rusza rękami ani nogami. Ale nie robi to na mnie wrażenia. Bo jeśli chodzi o serce, to ja go nie mam ani dla innych, ani nawet dla siebie samego. Jestem całkiem zadowolony z mojego losu. Zrozumiałem, że nigdy nie zdobędę wszystkiego, choćbym nie wiem jak się starał, zrezygnowałem więc z prób zyskania czegoś więcej. Urzędnik bankowy trzęsie się nad swoim kwarcowym zegarkiem, amerykański turysta nad kamerą filmową, nauczyciel nad starym renault R5, lekarz nad domem na przedmieściu… Kiedy ktoś włamuje się do nich, są tak przerażeni, że zamiast się bronić, od razu dają klucze do kas pancernych. Ja nie zamierzam się tak trząść. Życie to jedno wielkie oszustwo, nic nie mam, o nic nie dbam.

– Nie podpiszę pańskiego papieru. Spróbujemy. Jeśli się panu spodoba, to pan zostanie.

Ten człowiek z pewnością nad niczym się nie trzęsie. On już wszystko stracił. Wciąż może sobie pozwolić na wiele rzeczy, ale pozbawiony jest najważniejszej – wolności. A mimo to się uśmiecha. Czuję, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Coś zupełnie nowego. Coś, co mnie zatrzymuje, każe zostać. Zamyka mi gębę. Jestem zaskoczony. Mam dwadzieścia cztery lata, wszystko już widziałem, wszystko zrozumiałem i wszystko mam w nosie, ale oto po raz pierwszy w życiu jestem zaskoczony. Zresztą, co ryzykuję, godząc się mu pomagać? Dzień, dwa, tyle tylko, żeby zorientować się, z kim mam do czynienia…

* * *

Zostałem dziesięć lat. Były ucieczki, powroty, okresy wątpliwości, kiedy nie wiedziałem, co robić, ale ostatecznie zostałem dziesięć lat. A przecież wszystko wskazywało na to, że to się nie może udać między hrabią Philippe'em Pozzo di Borgo i mną. On pochodził z rodziny arystokratycznej, moi rodzice nie mieli nic; on otrzymał najlepsze z możliwych wykształcenie, ja zakończyłem moją edukację na gimnazjum; on wysławiał się jak Victor Hugo, ja waliłem prosto z mostu. On był uwięziony w swoim ciele, ja poruszałem się wszędzie i nawet się nad tym nie zastanawiałem. Lekarze, pielęgniarki, cała obsługa, wszyscy spoglądali na mnie z niechęcią. Dla nich, którzy poświęcali się innym ludziom zawodowo, byłem z pewnością kimś, kto wykorzystywał sytuację, złodziejem, źródłem problemów. Wtargnąłem znienacka w życie tego bezbronnego człowieka niczym wilk do owczarni. Miałem ostre kły. Nie było żadnej szansy, żebym wniósł coś dobrego. Wszystkie sygnały alarmowe paliły się na czerwono. To nie powinno się było udać.

Dziesięć lat. Niesamowite, prawda?

21

Mieszkanie służbowe bardzo mi się spodobało. Można się było do niego dostać na dwa sposoby: albo z apartamentu Pozzo, przechodząc przez ogród, albo od strony parkingu przed budynkiem. Byłem więc niezależny. Mogłem wchodzić i wychodzić – zwłaszcza wychodzić – nie będąc widzianym. Ściany pomalowane na biało, niewielka łazienka z kabiną prysznicową, mała kuchnia, okno z widokiem na ogród, wygodne łóżko z dobrym materacem – nie wymagałem niczego więcej. Zresztą niczego nie wymagałem, bo nie zamierzałem tu zostać. Sekretarka, dając mi klucze, poinformowała mnie:

– Pan Pozzo postanowił poddać próbie jeszcze jednego kandydata. Na razie to pan korzysta z tego mieszkania. Kiedy jednak będzie je pan opuszczał, proszę być tak uprzejmym i zostawić to miejsce w takim stanie, w jakim je pan zastał.

– Oczywiście, będę tak uprzejmy…

Trzeba nauczyć tę blondynkę, by mówiła do mnie innym tonem, bo inaczej się nie dogadamy.

– Proszę zejść na dół jutro o ósmej rano w porze zabiegów pielęgnacyjnych.

Zdążyła już zbiec dwa piętra, kiedy zareagowałem. Krzyknąłem, przechylając się przez poręcz:

– Zabiegi pielęgnacyjne? Jakie zabiegi? Nie jestem pielęgniarzem!

Zaraz po przebudzeniu, z pustym brzuchem, z odciśniętym na policzkach prześcieradłem, w skarpetkach z poprzedniego dnia odkrywam, co to takiego tetraple – gik – trup z funkcjonującą głową.

– Dobrze pan spał, Abdelu? – pyta.

Mówiąca marionetka. Proszą mnie, bym na razie go nie dotykał. Babette, antylska mamuśka, metr dwadzieścia wzrostu, same piersi i muskuły, z precyzją i energią zajmuje się swoim podopiecznym. Wprawia w ruch „mechanizm przenoszenia" – jak to nazywa. Trzeba czterdziestu pięciu minut, żeby przenieść ciało z łóżka na specjalny fotel pod prysznic, z plastiku i metalu, z otworami ze wszystkich stron. Potem potrzeba tyle samo czasu po wytarciu i ubraniu człowieka, żeby go przenieść na fotel dzienny. Któregoś wieczoru we Fleury oglądałem w telewizji współczesny balet. Było to tak samo długie i nudne widowisko.

Marionetka zachęca swoją ekipę do działania:

– Dalej, Babette, obracaj tego Pozzo!

Ten Pozzo. Przedmiot. Zwierzę. Zabawka. Lalka. Asystuję tej scenie, nie kiwnąwszy nawet palcem. Zastygłem w bezruchu podobnie jak on. Uzupełniam swoją wiedzę o ludziach. Ale ten facet wymaga specjalnej szufladki wśród innych naprawdę bardzo szczególnych przypadków. Gapię się na niego, on również mnie obserwuje. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Jego oczy się uśmiechają, usta niekiedy też.

– Abdel, zjemy potem śniadanie w kawiarni?

– Co tylko pan zechce.

Spoglądam na moje odbicie w łazienkowym lustrze. Mam minę wielkiego ważniaka. Absolutnie nieprzystępną. Gdy ktoś spotyka

mnie na ulicy, przechodzi na drugą stronę. Ten Pozzo świetnie się bawi.

* * *

Zajmujemy miejsce na tarasie, przy koszu żarowym. Bez słowa sączę colę. Czekam na następny etap.

– Abdelu, proszę pomóc mi wypić moją kawę.

Wyobrażam go sobie jako bohatera filmu animowanego,

Supertetra. Spogląda na swoją filiżankę, a ona sama unosi się do jego ust. Czary-mary i płyn, który łyka, ma odpowiednią temperaturę. Nie, dzieciakom się to nie spodoba. Za mało akcji. Zachowuję tę myśl dla siebie i podnoszę filiżankę z kawą. Zaraz się jednak zatrzymuję.

– Cukier?

– Nie, dziękuję. Ale proszę o papierosa.

– Nie palę.

– A ja tak!

Śmieje się. Mam naprawdę minę idioty. Całe szczęście, że nikt mnie nie zna w tej okolicy… Wsuwam papierosa w jego usta, zapalam zapalniczkę.

– Co z popiołem?

– Niech się pan tym nie przejmuje, Abdelu, panuję nad wszystkim… Proszę mi podać gazetę.

Najwyraźniej „Herald Tribune” stanowi część porannego rytuału, bo blondynka wcisnęła mi gazetę w ręce, choć on przed wyjazdem z domu wcale o to nie prosił. Kładę ją teraz na stoliku i sięgam po moją colę. Tetraman się nie odzywa. Uśmiecha się, niewzruszony,

jak poprzedniego dnia przy przyjmowaniu mnie do pracy. W końcu domyślam się, że coś jest nie tak, ale nie wiem co. Oświeca mnie.

– Trzeba otworzyć gazetę i położyć ją przede mną tak, żebym mógł czytać.

– Ach! Oczywiście!

Ta masa stron, kolumn, słów w każdej kolumnie trochę mnie przeraża.

– Pan naprawdę zamierza to wszystko czytać? W dodatku po angielsku? To musi zabierać niemało czasu.

– Niech się pan nie martwi, Abdelu. Jeśli przeciągnie się to do lunchu, wrócimy biegiem.

Zagłębia się w lekturze. Co pewien czas prosi, bym przewrócił stronę. Skręca głowę i popiół z papierosa spada na ziemię tuż obok jego ramienia. Rzeczywiście, panuje nad wszystkim… Patrzę na niego jak na istotę pozaziemską. Martwe ciało w ubraniu burżuja z Szesnastej dzielnicy. Głowa funkcjonująca jak za sprawą czarów, ciekawostka tym większa, że funkcjonuje ona inaczej niż u ludzi, których poznałem w tym środowisku. Lubię burżujów, bo ich okradam, ale nie cierpię świata, do którego należą. Zazwyczaj nie mają poczucia humoru. Natomiast Philippe Pozzo di Borgo śmieje się ze wszystkiego, a już najbardziej z siebie. Postanawiam, że zostanę jakieś dwa, trzy dni. Potrzebuję chyba trochę więcej czasu, żeby zgłębić tę tajemnicę.

22

Mówiłem, że Fleury-Mérogis było dla mnie niczym wakacyjne kolonie. Trochę w tym przesady. Rzeczywiście, strażnicy odnosili się do więźniów niczym mamuśki, a w murach tego zakładu karnego nie było przemocy seksualnej, zdobywanie zaś różnych towarów odbywało się na zasadach uzgodnionej wymiany handlowej, no i nikt nie uciekał się do rozboju. Minimalizowałem jednak negatywne aspekty więzienia. Na początku wsadzono mnie do celi z dwoma innymi typami. Wspólne przebywanie z kimś w tym miejscu było jedyną rzeczą, której nie mogłem znieść. Godziłem się na to, że jestem pozbawiony wolności, że jem z metalowej michy niczym pies, że w celi jest klozet i związany z tym smród. Ale pod warunkiem, że był to mój smród.

Moi współlokatorzy uznali, że „szybko urobią tego młodzieniaszka…". Natychmiast zażądałem od dyrekcji więzienia, żeby mnie przenieśli do innej celi, bo dojdzie do rozróby. Nie posłuchali i jednego z tych typków trzeba było odwieźć na pogotowie w Ivry. Dopiero wtedy naczelnik, uznając, że działałem w obronie własnej przeciw dwóm agresywnym osiłkom i chcąc także jak najszybciej zatuszować całe zajście, przyznał mi pojedynczą celę. Od tej chwili strażnicy odnosili się do mnie jak mamuśki, a ja zachowywałem się jak grzeczny synek. Podczas spacerów po dziedzińcu trzymałem się w sporej odległości od murów, gdzie narkomani na głodzie i depresyjni handlowali między sobą lekami.

Nie mogli stosować systemu jo-jo, bo listki z pigułkami są za lekkie. Ryzykowali więc, handlując na widoku, bo tak naprawdę nie mieli wyboru. Któregoś dnia rozległo się z głośnika:

– Żółta bluza i niebieska bluza, obok filaru, natychmiast się rozejść!

W więzieniu przez cały czas słychać było różne dźwięki. Chociaż ściany cel były dobrze izolowane, wystarczyło, że sąsiad nastawił głośno telewizor, a zaczynało to przeszkadzać innym. Ciekawe, że krzyki ludzi przenikały wszędzie. Mówię, że strażnicy byli mili, a więźniowie się szanowali, bo nie widziałem nic innego. Ale słyszałem to i owo.

Lubię hałasy dzielnicy Beaugrenelle, jej włóczących się po ulicach chłopaków i dozorczynię, która wymiata niedopałki. Szur… szur… Lubię hałasy Paryża, warkot skuterów, metro wyjeżdżające spod ziemi obok Bastylii, pogwizdywania ulicznych sprzedawców, a nawet wyjące syreny policyjnych samochodów. U Philippe'a Pozzo di Borgo spodobała mi się cisza. Okna apartamentu wychodziły na niewidoczny z ulicy ogród. Nie wiedziałem, że coś takiego może istnieć w samym sercu Paryża. Po wypiciu kawy pan Pozzo podbródkiem wprawiał w ruch mechanizm swojego elektrycznego wózka, dojeżdżał do wielkiego okna i nie ruszał się stamtąd przynajmniej przez godzinę. Czytał. Poznałem urządzenie niezbędne dla wykształconego paralityka – pulpit do czytania. Umieszczało się na nim książkę – gruba cegła z tysiącem stron zapisanych drobnym druczkiem i bez ilustracji – i pałeczka z plastiku odwracała kartki, kiedy pan Pozzo wydawał polecenie ruchem podbródka. Przebywanie z nim tutaj stanowiło część mojej pracy. Żadnych hałasów. Lokowałem się na kanapie, zasypiałem.

– Abdel? Abdel!

Otwieram oczy, przeciągam się.

– Nie śpi się panu dobrze w mieszkaniu na górze?

– Bardzo dobrze, ale wczorajszy wieczór spędziłem z kumplami i teraz trochę to odsypiam…

– Przepraszam, że przeszkadzam, lecz mechanizm odwrócił dwie kartki naraz.

– To nic poważnego. Mam panu streścić ten fragment powieści? Zaoszczędzi pan czas!

Byłem gotów na wszystko, żeby się rozerwać. Chętnie brałem pensję za to, że mogłem drzemać, ale generalnie wolę dostawać ją za to, że coś robię.

– Czemu nie? Czytał pan *Drogi wolności* Jeana Paula Sartre'a?

– Oczywiście, to historia małego Jeana Paula, tak? No więc mały Jean Paul wybiera się na spacer, na przykład do lasu, zbiera grzyby, podśpiewuje sobie trochę jak smerfy, la, la, lalalala… i nagle dochodzi do zakrętu. Waha się, czy iść dalej, bo nie wie, co tam znajdzie. No i co jest za tym zakrętem, panie Pozzo?

– To ja pana o to pytam, Abdelu!

– Tam jest wolność. Ot, co. Stąd tytuł *Drogi wolności.* Koniec rozdziału, zamykamy księgę. Przejedziemy się teraz, panie Pozzo?

Ten facet ma nieprawdopodobnie białe zęby. Widzę je dobrze, kiedy się uśmiecha. Bielusieńkie! Niczym kafelki w mojej łazience tam, na górze.

Nie pamiętam, żebym postanowił zostać. Ani żebym podpisał umowę, powiedział „zgoda" temu, który stał się de facto moim patronem. Następnego dnia po pierwszym przedziwnym seansie pielęgnacyjnym, po kawie z „Herald Tribune", wróciłem do domu,

żeby zmienić kalesony i wziąć szczoteczkę do zębów. Mama się ucieszyła.

– Przeprowadzasz się, synu, do przyjaciółki? Kiedy nam ją przedstawisz?

– Nie uwierzysz: znalazłem pracę. Z wyżywieniem i mieszkaniem! U bogaczy naprzeciwko, na drugim brzegu Sekwany!

– U bogaczy? Ale nie robisz jakichś głupstw, Abdelu?

– Nie, możesz mi wierzyć…

Myślę, że i tak mi nie uwierzyła. Popędziłem do Brahima, który wówczas pracował w Pied de Chameau, modnej restauracji orientalnej (tak, Brahim też stał się grzecznym chłopcem). Opowiedziałem mu o Philippie Pozzo di Borgo, o jego stanie, o domu, w którym mieszkał. Trochę podkoloryzowałem:

– Brahim, nie wyobrażasz sobie, jak jest u tego faceta: schylasz się i wyciągasz forsę spod klepek parkietu.

W jego źrenicach zobaczyłem symbol dolara, który zamigotał niczym sztabki złota w oczach Wujka Sknerusa z komiksu o Kaczorze Donaldzie.

– No nie, Abdel, opowiadasz bzdury. To nieprawda.

– Oczywiście, że to nieprawda. Ale przesadzam tylko troszkę, przysięgam.

– Ten facet w ogóle się nie rusza?

– Rusza głową. Reszta ciała jest martwa. *Dead. Kaput.*

– Ale serce mu bije?

– Nawet tego nie jestem pewny. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak to działa u takiego paralityka…

* * *

Niewiele pamiętam z pierwszych dni przy alei Leopolda Drugiego, z pewnością dlatego, że traktowałem to jak pobyt czasowy. Nie starałem się przypodobać, a zwłaszcza nie starałem się być niezbędny. Ani przez sekundę nie zastanawiałem się nad sytuacją: nad tym, co mogę zyskać dzięki pracy w tym domu u boku tego dziwnego kaleki, ani nad tym, co sam mogę dać tej rodzinie. Miałem już przeróżne doświadczenia i oczywiście wyciągnąłem z nich pewne wnioski, lecz nie wypowiadałem ich na głos ani nie formułowałem w swojej głowie. Nawet w więzieniu, gdzie dni były długie i w teorii sprzyjające refleksji, ogłupiałem się telewizją i wiadomościami z radia. Nie znałem lęku o jutro. We Fleury-Mérogis wiedziałem, że najbliższa przyszłość będzie podobna do teraźniejszości. Na zewnątrz również nie było czego się bać. Żadnego niebezpieczeństwa na horyzoncie. Byłem tak zadufany w sobie, że wiedziałem, iż jestem niepokonany. Nie musiałem się o tym przekonywać, nie, ja wiedziałem, że tak jest!

Z budynku sądu na île de la Cité przewieziono mnie do Fleury-Mérogis furgonetką więzienną. Jest to wóz z dwoma rzędami wąskich kabin. Jedna kabina dla jednego więźnia, bo dwóch nie da się tam zmieścić. Można w niej stać lub usiąść na desce umieszczonej w poprzek. Z rękami skutymi kajdankami. Drzwi częściowo zakratowane. Nie widać przez nie nic oprócz żelaznych sztab, wąskiego przejścia i kolejnej kabiny z innym więźniem transportowanym w to samo miejsce. Nie próbowałem dostrzec jego twarzy w półmroku panującym w furgonetce. Nie czułem się szczególnie załamany ani oczywiście za bardzo szczęśliwy. Byłem nieobecny dla innych i dla siebie samego.

Filmowi herosi nie istnieją. Clark Kent staje się Supermanem dopiero wtedy, kiedy wkłada swój śmieszny kombinezon; Rambo nic sobie nie robi z zadawanych mu ciosów, ale on w ogóle niczym się nie przejmuje; Niewidzialny Człowiek nazywa się David McCallum, nosi sweterek z lycry i ma groteskowo przycięte włosy. Ja nie widziałem w sobie żadnych braków. Byłem niewrażliwy. Potrafiłem chronić się przed każdym nieprzyjemnym uczuciem. Tego typu emocje nie miały do mnie dostępu. Byłem od wewnątrz fortecą i wierzyłem, że jest ona nie do zdobycia. Superman i jego koledzy to po prostu bujda. Wierzyłem jednak, że na świecie są prawdziwi, nieliczni herosi i że ja do nich należę.

24

Madame Pozzo di Borgo miała na imię Beatrice. Od razu wydała mi się sympatyczna, otwarta, skromna, ale nie świętoszka. Nazywam ją *Madame*. To do niej pasuje.

Madame wkrótce ma umrzeć.

Do niego zwracam się *monsieur* Pozzo. W myślach nazywam go „ten Pozzo" lub „Pozzo". Pewnego ranka mówi mi, że jego żona jest chora. Rodzaj nowotworu. Kiedy dwa lata temu miał wypadek na paralotni, który spowodował jego obecny stan, powiedziano mu, że ma szanse pożyć jeszcze siedem, osiem lat. Teraz jednak wygląda na to, że przeżyje żonę.

W tym domu nie ma podziału na członków rodziny i personel. Posiłki jemy wszyscy razem na zwykłych talerzach. Domyślam się, że nie zostały kupione w najbliższym supermarkecie, ale można je wstawiać do zmywarki. Celine, niania dzieci, zajmuje się gotowaniem, co zresztą robi bardzo dobrze. Rodzeństwo nie przysparza jej większych kłopotów. Laetitia, starsza, to typowa rozpieszczona nastolatka. Traktuje mnie z góry, a ja usiłuję robić to samo. Dwunastoletni Robert-Jean jest wzorem powściągliwości. Nie wiem, które z nich bardziej cierpi z powodu sytuacji w domu. Moim zdaniem dzieciaki bogaczy nie mają powodów do cierpień. Spoglądam na tę naprawdę nieznośną dziewczynę i mam ochotę nią potrząsnąć. Pokazać jej prawdziwe życie, by choć na moment przestała marudzić, że nie może kupić jasnobrązowej torebki, którą

sobie upatrzyła. Chętnie zrobiłbym jej wycieczkę na początek do Beaugrenelle, potem za rogatki Saint-Denis, do nor w opuszczonych fabrykach, gdzie gnieżdżą się nie tylko narkomani na głodzie, ale również rodziny z małymi dziećmi, z niemowlętami. Oczywiście nie ma tam ani bieżącej wody, ani ogrzewania, ani elektryczności. Brudne materace leżą bezpośrednio na betonowej podłodze.

Biorę kawałek bagietki i czyszczę talerz z sosu. Laetitia je od niechcenia, zostawia na talerzu połowę zrazu. Robert-Jean wybiera krążki cebuli i bawi się, odkładając je widelcem na bok talerza, jego mama karci go łagodnie. Wkrótce jednak Beatrice nie ma już siły, by siadać razem z nami do stołu. Zostaje w łóżku w swojej sypialni lub w szpitalu.

Ci arystokraci to ludzie gromadzący wokół siebie nieszczęścia. Rozglądam się wokoło. Obrazy, meble z markieterią, komody w stylu empire, z pozłacanymi uchwytami, hektar ogrodu w samym sercu Paryża, wielki apartament… Po co mieć to wszystko, jeśli się już nie korzysta z uroków życia? I dlaczego mnie to obchodzi?

* * *

Pozzo cierpiał. Pozzo zażywał leki przeciwbólowe. Pozzo cierpiał trochę mniej. Kiedy poczuł się lepiej, zabrałem go do Beaugrenelle. Zatrzymaliśmy się. Opuściłem szybę od jego strony, jakiś kumpel wrzucił małą paczuszkę na kolana mojego pasażera i tak samo szybko się oddalił.

– Co to jest, Abdelu?

– To coś, od czego można lepiej się poczuć. Niedostępne w aptekach.

– Ależ, Abdelu, chyba nie zamierzasz tego tutaj zostawiać! Zabierz to!

– Prowadzę, nie oderwę przecież rąk od kierownicy…

W nocy Pozzo na ogół nie spał. Wstrzymywał oddech, bo oddychanie sprawiało mu ból, a potem nabierał gwałtownie powietrza i było jeszcze gorzej. Dusił się w sypialni, dostawał zadyszki w ogrodzie i nawet butla z tlenem mu nie pomagała. Zdarzało się, że budzono mnie, bo trzeba było bezzwłocznie zawieźć go do szpitala. Czekanie na ambulans, który może wziąć sparaliżowanego człowieka, zabrałoby za dużo czasu. Natychmiast byłem gotowy.

Pozzo cierpi, widząc żonę w tak złym stanie, a także z powodu własnej bezsilności wobec jej choroby i swojego inwalidztwa. Opowiadam dowcipy, śpiewam, zmyślam nieprawdopodobne historie. Naciągam na głowę jego usztywniające nogi pończochy i udaję, że to napad.

– Ręce do góry… Powiedziałem, ręce do góry! Pan także!

– Nie mogę.

– Jak to? Na pewno?

– Na pewno.

– Ale pech… Dobra, zabieram to, co najcenniejsze w tej cholernej ruderze. Żadnych sreber, żadnych obrazów, nic z tego! Chcę… Chcę pańskiego mózgu!

Rzucam się na Pozzo, udaję, że przecinam mu czaszkę. To go łaskocze, błaga więc, bym przestał.

Wkładam jeden z jego smokingów, za duży na mnie, uderzam pięścią w denko jego stetsona tak, że robi się z niego melonik,

i pogwizdując jakąś melodię w stylu ragtime'u, wykonuję ruchy a la Charlie Chaplin w filmie *Dzisiejsze czasy*. Po co się tak wysilam? Przecież ci ludzie nic mnie nie obchodzą. Nie znam ich.

Z drugiej jednak strony, dlaczego nie? Co mnie kosztuje robić z siebie błazna tutaj, w centrum miasta? Podobnie jak Brahim większość moich kumpli zaczynała prowadzić ustatkowane życie. Nie miałem nikogo, do kogo mógłbym wpaść. Tutaj było ciepło, ładnie i przyjemnie, tutaj można się było rozerwać.

Pozzo czuje bóle w całym ciele. Mam na tyle przyzwoitości – co mi się nagle stało? – że nie pytam dlaczego. Drugi z kandydatów przyjęty na próbę kręci się wokół fotela, zatopiony w modlitwach. Cały czas trzyma w ręku Biblię, unosi wzrok, zapominając najwyraźniej o odgradzającym go od nieba suficie, mówi po łacinie jak w komiksach o Asterixie i niemal modli się, prosząc o kawę. Wyskakuję zza jego pleców, śpiewając piosenkę Madonny:

– *Like a virgin, ouh! Like a vir-eur-eur-gin…*

Zupełnie jak brat Jean-Marie z Wniebowzięcia Świętej

Trójcy, z Kalwarii Matki Boskiej Święconej Wody czyni znak krzyża, żeby ochronić się przed wysłannikiem diabła, jakim muszę być w jego oczach. Laurence, sekretarka – zwracamy się już do siebie po imieniu, zresztą wszyscy mówią do mnie na ty, a ja nie jestem temu przeciwny – z trudem powstrzymuje śmiech.

– To ksiądz bez sutanny – mówi.

Wybucham śmiechem.

– Bez sutanny? Zgubił ją?

– Nie, nie nosi już sutanny. Był księdzem, ale postanowił wrócić do cywila, jeśli można to tak określić.

– Trudno przypuszczać, by twój szef dobrze się czuł w jego towarzystwie…

– A kto ci powiedział, że facet tu zostanie?

I rzeczywiście, były księżulo zniknął po ośmiu dniach. Kazałby Pozzo wystrzegać się muzułmańskiego diabła, którego wpuścił nieopatrznie do swojego domu. Ja i muzułmanin? Moja noga nigdy nie postała w meczecie. Chociaż… Może jeszcze trochę jestem muzułmaninem?

25

Któregoś dnia zablokowało się urządzenie do przenoszenia. Nie dawało się go wprawić w ruch. Pozzo był już w pół drogi do fotela. Wsunięto mu pasy pod ramiona, pod pośladki i zawisł nad łóżkiem, ale nie siedział jeszcze w fotelu kąpielowym. Można sobie wyobrazić, jak się czuł… Trzeba było wezwać strażaków. Zanim przyjechali, zanim wykonali wszystkie czynności i wreszcie go uwolnili, minęło południe… Przez cały ten czas Pozzo był uprzejmy, cierpliwy, może nawet odrobinę zrezygnowany, ale nie okazywał przygnębienia. Wszyscy wygłupialiśmy się, żeby go rozerwać i zbagatelizować całą tę sytuację. Nie dlatego, że zepsuł się mechanizm, przecież wiedzieliśmy, że w końcu zostanie naprawiony. Żal nam było tego człowieka schwytanego w pułapkę urządzenia, które miało mu pomagać, a z którego nie był w stanie się oswobodzić. Wpadłem we wściekłość. Wysyłamy ludzi na Księżyc, a nie potrafimy wymyślić czegoś lepszego do przenoszenia sparaliżowanego człowieka? Następnego dnia rano, zanim włączono silnik podnośnika, powiedziałem do pielęgniarki, że sam przeniosę pana Pozzo na fotel kąpielowy. Ja, Abdel Sellou, metr siedemdziesiąt wzrostu, z ramionami krótkimi i okrągłymi niczym pianki Marshmallow.

– O nie, nie pozwolę na to! Ten człowiek jest kruchy jak skorupka jajka! – zawołała.

Kości, płuca, skóra, każda część ciała tetraplegika jest bardzo wrażliwa, ran nie widać gołym okiem, nie ma bólu, który sygnalizowałby, że dzieje się coś złego. Krew krąży źle, skaleczenia się nie goją, nie funkcjonują nerki ani jelita, organizm nie oczyszcza się sam. Wystarczyło kilka dni obserwacji, bym pojął, że mam tu do czynienia z bardzo delikatnym pacjentem. Był rzeczywiście jak jajko przepiórki z cienką, białą skorupką. Przypomniałem sobie stan moich żołnierzyków z serii G.I. Joe z czasów, kiedy byłem chłopcem. Popatrzyłem na Pozzo, wielkiego G.I. Joego z porcelany. On, który pokazywał jeszcze przed chwilą swoje olśniewająco białe zęby, teraz je mocno zacisnął, kiedy oznajmiłem, że mam zamiar samodzielnie posadzić go w fotelu. Ale ja czułem, że potrafię przenieść to jajko i go nie rozbić.

– *Monsieur* Pozzo, przyglądam się panu już od wielu dni. To piekielna machina, a ja sądzę, że znalazłem sposób, żeby się bez niej obyć. Proszę mi na to pozwolić. Będę bardzo ostrożny.

– Jesteś pewien, Abdelu?

– W najgorszym razie uderzy się pan w nogę, zrobi się strup i to wszystko.

– Faktycznie, to nic takiego, wytrzymam…

– No to koniec dyskusji. Zabieramy się do dzieła.

Wsunąłem ręce pod jego pachy, przycisnąłem go do siebie, a reszta ciała podążyła za tym ruchem. Znalazł się w swoim fotelu kąpielowym w ciągu zaledwie ośmiu sekund. Zadowolony z siebie, krzyknąłem w kierunku drzwi:

– Laurence, przynieś mi skrzynkę z narzędziami! Demontujemy urządzenie do przenoszenia!

Pozzo nic nie mówił, tylko uśmiechał się rozanielony.

– No i co, *monsieur* Pozzo? Kto jest najlepszy?

– Ty, Abdelu, tylko ty!

Pokazał wszystkie swoje białe zęby. Dobry moment, żeby zadać to pytanie.

– *Monsieur* Pozzo, proszę mi powiedzieć, czy te pańskie zęby są prawdziwe?

26

Kolejnym moim pomysłem na rzecz uwolnienia Pozzo od niesprawnych urządzeń było pozbycie się furgonetki, rzekomo idealnej do przewożenia inwalidów, a tak naprawdę brzydkiej, niepraktycznej i psującej się równie często, jak podnośnik przy łóżku.

Furgonetka miała specjalną platformę, która wysuwała się i obniżała, żeby mógł po niej wjechać wózek inwalidzki. Jej mechanizm często się blokował. Stawało się to problemem w momencie wyjazdu, ponieważ groziło tym, że pan Pozzo spóźni się na umówione spotkanie. Samochód był także za wysoki, żeby po powrocie do domu wydobyć z niego wózek, gdy mechanizm się zaciął. Pomyślałem, że można by zaopatrzyć się w deskę i posłużyć się nią jak toboganem. W furgonetce pan Pozzo siedział na swoim zwykłym miejscu, z tyłu po prawej stronie. Koła wózka nie były umocowane do podłogi i jeśli nawet zaciągnęło się hamulce, fotel chwiał się na wirażach. Niebezpieczne dla jajka, zwłaszcza gdy kierowca nazywa się Sellou i prowadził poprzednio samochody kradzione na podmiejskich parkingach… W dodatku pan Pozzo mógł wyglądać tylko przez małe okienko, a silnik robił piekielny hałas. Siedząc za kierownicą, musiałem się prawie całkowicie odwrócić, żeby powiedzieć coś do szefa. Zresztą nie mówiłem, tylko wrzeszczałem.

– W porządku?! Nie trzęsie za bardzo?!

– Patrz na drogę, Abdelu!

– Co pan mówi?!

– DROGA!

Ja sam jeździłem renault 25 GTS. Zgadzam się, że dzisiaj to już absolutne starocie, ale wtedy to była klasa! Samochód faceta, któremu się w życiu udało! Kupiłem go na licytacji w 1993 roku, zaraz po otrzymaniu prawa jazdy. Został zabrany biedakowi, który nie był w stanie spłacić rat. A ja, mały złodziejaszek, recydywista, nabyłem go za gotówkę. Klasa… Miał świetny zryw, radio samochodowe wyrzucało z siebie decybele na dwadzieścia kilometrów wokoło. Nie ma co porównywać z tą furgonetką. W końcu zastrajkowałem. Właśnie wtedy, kiedy miałem wstawić wózek z panem Pozzo, trzymając palec na pilocie uruchamiającym platformę, powiedziałem „nie".

– Co znaczy to „nie", Abdelu?

– Nie, proszę pana. Nie.

– Ale co „nie"?

– Nie będę prowadził tego grata. Przecież nie jest pan baranem i może pan wejść do samochodu normalnie.

– Niestety, Abdelu, nie mogę.

– Na podnośnik z łóżka także nie mógł się pan sam przenieść, prawda? Dobra. Proszę się stąd nie ruszać, idę po kluczyki do mojej gabloty.

– Nie ruszę się, Abdelu, ani na krok, możesz mi zaufać!

Popchnąłem wózek do miejsca przeznaczonego dla kalek i inwalidów wojennych, gdzie zaparkowałem mój bolid zaopatrzony w fałszywą nalepkę przysługującą niepełnosprawnym. Genialny jest

taki mały kawałek papieru, z pewnością wart tyle co karta „priorytet” w grze Mille Bornes.

– Skąd masz tę nalepkę, Abdelu?

– To ksero nalepki umieszczonej na furgonetce. Sporo szmalu kosztowała mnie ta laserowa kopia!

– Abdelu, takich rzeczy się nie robi, to nieuczciwe…

– Ale przy parkowaniu w Paryżu bardzo praktyczne. Poza tym wszystko jest w porządku, bo zamierzam wsadzić pana do mojej fury.

Otworzyłem drzwiczki od strony pasażera, cofnąłem fotel maksymalnie do tyłu, podsunąłem blisko wózek.

– No i jak, nie doda mi pan odwagi? Zawsze dopinguje pan Babette.

– Do dzieła, Abdelu! Podnoś Pozzo!

Mógł więc, jak się okazało, normalnie dostać się do samochodu. Dojechaliśmy w ten sposób błyskawicznie do porte de la Chapelle. Wiedziałem, że są tam wystawione śliczne cacka na czterech kółkach i że ten miłośnik pięknych aut na pewno coś wśród nich dla siebie znajdzie. Jeśli chodzi o mnie, podobały mi się wszystkie samochody. Nie odzywałem się i tylko obserwowałem pana Pozzo, jak swoim elektrycznym wózkiem jechał slalomem między chryslerem i rolls-royce’em, rolls-royce’em i porsche, porsche i lamborghini, lamborghini i ferrari…

– Niezły jest ten, prawda? Ten czarny. Co o nim myślisz, Abdelu?

– W ferrari znajdzie się pan na poziomie bagażnika.

– Czy masz zamiar wozić mnie w bagażniku, Abdelu?

– Nie pana, ale wózek.

– A niech to! Całkiem o nim zapomniałem!

Ostatecznie jego wybór padł na jaguara XJS 3.6 – prostokątne reflektory, tablica rozdzielcza z orzechowego drewna w kolorze jeżyny, skórzana tapicerka…

– Podoba ci się, Abdelu?

– Owszem, ujdzie…

– Kupujemy?

– Trochę cierpliwości, *monsieur* Pozzo. Za trzy dni będzie wyprzedaż.

– Dobra, poczekamy… Ale ani słowa mojej żonie, zgoda?

– Przyrzekam. Będę milczał jak zaczarowany.

– Jak zaklęty, Abdelu, milczał jak zaklęty.

– Może być zaklęty, jeśli tak pan sobie życzy!

27

Jaguarem woziłem pana Pozzo do szpitala, gdzie jego żona Beatrice przeszła niedawno operację przeszczepu szpiku kostnego. Była to operacja ostatniej szansy – lekarze nie dawali jej więcej niż cztery do sześciu miesięcy życia. Wszystko poszło dobrze, ale operacja nie przyniosła pożądanego efektu. Organizm chorej nie miał już tej odporności. Musiała więc przebywać w sterylnym pomieszczeniu niczym w szklanej kuli.

Przez wiele tygodni woziłem więc pana Pozzo do żony. Podjeżdżaliśmy wózkiem tak blisko jak to możliwe do szklanej przegrody. W papierowej czapce na głowie, w plastikowych ochraniaczach naciągniętych na buty, w wózku stojącym na granicy, której nie wolno przekraczać, wpatrywał się godzinami w leżącą na łóżku żonę, która trochę majaczyła. Pewnego wieczoru zostawiliśmy ją ze strachem, że następnego dnia będzie w jeszcze gorszej formie. I rzeczywiście, z usta lekarzy padł werdykt.

Madame Pozzo wkrótce nas opuści.

W jaguarze w drodze powrotnej milczałem.

* * *

Od pewnego czasu obywaliśmy się już bez sanitariuszy i pielęgniarek. Byłem ostatnią osobą, która żegnała Philippe'a Pozzo di Borgo wieczorem, i pierwszą, która go witała rano. Odkąd sam zacząłem prze – nosić go z łóżka na fotel, prawie nikt nie był nam

potrzebny. Teraz, kiedy zmarła jego żona, spał sam. Patrzył z niedowierzaniem, z niezmiernym żalem, jak gasła. Była już chora, gdy ją poznał, ale kochał ją pomimo tej choroby, pomimo niewygód dnia codziennego. On sam, ciesząc się doskonałym zdrowiem, jeździł za miasto na weekendy, latał nad górami. Straszliwy wypadek na paralotni wydarzył się dwudziestego trzeciego czerwca 1993 roku. W następnych dwóch latach choroba żony się cofnęła. Wszyscy wierzyli, że to remisja, że kuracja dała efekty i Beatrice pożyje jeszcze długo, bo dlaczego by nie? Znalazła w sobie siły, żeby zorganizować na nowo życie rodziny wokół kalekiego męża. Zostawili dom, w którym mieszkali w Szampanii, przeprowadzili się do Paryża, bliżej szpitali. Stworzyli wygodną przestrzeń do życia dla wszystkich – oczywiste, że gdy się ma pieniądze, jest to o wiele łatwiejsze. Dzieci jakoś się przystosowały, na ile to było możliwe, do nowego trybu życia w stolicy, z ojcem na wózku inwalidzkim, z chorą matką… I kiedy wyglądało na to, że wszystko się układa, że usunięte zostały wszelkie przeszkody, by można było wieść prawie normalne życie, Beatrice Pozzo di Borgo umarła.

Kiedy to się stało, przebywałem z nimi już od około roku. *Madame* Pozzo nie pytano o radę w sprawie wyboru pomocnika w codziennych czynnościach, który zresztą nie miał do tego żadnych kwalifikacji. Nie zaprotestowała, widząc, że w jej domu pojawił się młody, nie najlepiej wychowany, nieprzewidywalny Arab. Obserwowała mnie, nie wygłaszając żadnych opinii, i bardzo szybko mnie zaakceptowała. Śmiała się z moich wygłupów z pewnym dystansem, ale zawsze z życzliwością. Wiem, że czasami trochę się bała, widząc, jak bez uprzedzenia zabieram jej męża, nie wyjaśniając dokąd. Wiem, że nie aprobowała kupna luksusowego

samochodu. Protestanckie wychowanie sprawiło, iż nie lubiła ostentacyjnego okazywania bogactwa. Była skromną kobietą. Darzyłem ją szacunkiem. Po raz pierwszy w życiu nie miałem komuś za złe, że pochodzi z burżuazji.

Co udało nam się w ciągu tego roku, panu Pozzo i mnie? Po prostu się poznaliśmy. Próbował wypytywać mnie o moich rodziców. Przypuszczam nawet, że chętnie by się z nimi spotkał. Ale ja robiłem uniki.

– Wiesz, Abdelu, to bardzo ważne żyć w zgodzie ze swoją rodziną. Czy znasz Algierię, twój kraj?

– Mój kraj jest tutaj i jest mi tu bardzo dobrze.

– Nie jestem tego taki pewien.

– Ja nie widzę żadnego problemu.

– W porządku, Abdelu, nie będziemy więcej o tym mówić…

Furgonetka nie nadawała się do dalszych wycieczek, natomiast jaguar był do tego idealny. Ja naciskałem pedał gazu, ale o limicie szybkości decydowaliśmy wspólnie. Wystarczyło jedno jego słowo, bym zwolnił. Pan Pozzo wiedział, że jego żona odchodzi, ale nie okazywał bólu. Patrzył, jak kręci się film jego życia, w którym jest tylko widzem. Wcisnąłem gaz do dechy. Spojrzał na mnie. Silnik wył, a ja śmiałem się głośno. Odwrócił głowę w drugą stronę. Decyzję zostawił mnie. Razem pędziliśmy na złamanie karku.

Rok to wystarczająco długi okres, żebyśmy obaj zdali sobie sprawę, nie wyrażając tego słowami, że z nim zostanę. Gdybym miał odejść, zrobiłbym to już dużo wcześniej. Nie zgodziłbym się na

wycieczkę na Martynikę, kilka tygodni przed operacją przeszczepu szpiku jego żonie.

– Będą to na dłuższy czas ostatnie wakacje Beatrice. Pojedziemy we troje! – przekonywał mnie pan Pozzo.

Przedtem nigdy nie wyjeżdżałem dalej niż do Marsylii. Nie trzeba więc było mnie specjalnie namawiać. Argument o „ostatnich na dłuższy czas wakacjach" był zwyczajnie oszustwem. Miały to być po prostu jej ostatnie wakacje…

Wiedzieliśmy, jakie ryzyko związane jest z operacją przeszczepu szpiku kostnego. Tymczasem na Martynice zachorował jej mąż. Wystąpił u niego obrzęk płuc – inaczej mówiąc, w jego oskrzelach zalegała wydzielina, wskutek czego miał ogromne trudności z oddychaniem. Trafił na oddział intensywnej terapii i przebywał tam przez cały nasz pobyt na wyspie. Lunch jedliśmy z Beatrice we dwoje, na plaży. Nie mówiliśmy do siebie wiele, ale nie było to konieczne, nie czuliśmy się tym skrępowani. Nie byłem mężczyzną, którego kochała i który powinien siedzieć obok niej z obiema sprawnymi rękami, unosząc jedną widelec do ust, a drugą dotykając jej dłoni nad stołem. Ten mężczyzna już nie istniał. Zmuszona była pogodzić się z tym od czasu wypadku na paralotni. Teraz przyszło jej zadowolić się towarzystwem młodego faceta, trochę ograniczonego i niedouczonego, ale przecież nieszkodliwego.

Chciałbym wierzyć, że uważała, iż będę umiał opiekować się jej mężem w trudnych chwilach, które miały dla niego nadejść. Chciałbym wierzyć, że miała do mnie zaufanie. Możliwe jednak, że wcale się nad tym nie zastanawiała. Że po prostu z tego zrezygnowała. Kiedy nad niczym już się nie panuje, jest to bez wątpienia najlepsze wyjście z sytuacji. Wyluzować, pędzić dwieście

kilometrów na godzinę nabrzeżami Sekwany lub wygodnie siedzieć w rajskim otoczeniu i spoglądać na turkusowe morze skąpane w promieniach zachodzącego słońca.

* * *

Myślałem, że nie przeżyje śmierci żony. Przez wiele tygodni nie chciał opuścić łóżka. Przyjmował wizyty członków rodziny, prawie na nich nie patrząc. Dziećmi zajmowała się Celine. Umiała je pocieszyć i była przy tym bardzo rzeczowa. Trzymała je na uboczu, przekonana, że jest im dostatecznie trudno poradzić sobie z własnym żalem. Ja niczym satelita krążyłem nieustannie wokół pana Pozzo. Nie chciał jednak, żebym go zabawiał. Godnie znosząc swój smutek, starał się jedynie dobrze prezentować podczas wizyt u lekarzy. Od kilku miesięcy obywaliśmy się praktycznie bez sanitariuszy i pielęgniarek, bo pan Pozzo czerpał złośliwą przyjemność z udowadniania, że świetnie się bez nich obchodzi dzięki pomocy jednego tylko Abdela. Kiedy byli potrzebni, przybywali natychmiast, kompetentni i oddani. Pan Pozzo źle znosił to, że tylu ludzi krząta się wokół martwego w trzech czwartych ciała, podczas gdy nic nie można było zrobić dla jego żony.

Na szczęście byłem młody i niecierpliwy. Na szczęście nic nie rozumiałem. Powiedziałem stop.

IV
UCZYĆ SIĘ ŻYĆ INACZEJ

28

– *Monsieur* Pozzo, dość tego, wstajemy!

– Zostaw mnie w spokoju, Abdelu, proszę cię.

– Pozostawiono pana w spokoju już wystarczająco długo. Dość tego! Wszystko jedno, czy to się panu podoba, czy nie. Ubieramy się, wychodzimy… Wiem zresztą, że to się panu spodoba.

– Rób, jak chcesz…

Pozzo wzdycha. Odwraca głowę, szuka pustki wolnej od rąk, które się wokół niego ruszają, od ust, które do niego mówią.

Nie chcę nazywać go „Pozzo”. Nie jest przecież rzeczą ani zwierzęciem, ani zabawką czy lalką. Mężczyzna, którego mam przed sobą, cierpi. Wpatruje się tylko w przeszłość, w swoje wspomnienia, w siebie, jakim z pewnością już nie jest. Na próżno się wygłupiam, tańczę *La Cucarachę*, przekomarzam się z Laurence, udając, że chcę jej zrobić krzywdę. Wcale mnie nie zauważa. Co ja tam w ogóle robię? Mógłby mnie zapytać, dlaczego jeszcze tam jestem, bo ja sam się nad tym zastanawiam…

Odpowiedziałbym jakimś żartem.

Odpowiedziałbym, że zostaję z powodu wygodnej kanapy w stylu Ludwika-Filipa stojącej w jego sypialni, której nie opuszczam od śmierci Beatrice. Moje mieszkanko na poddaszu wynająłem przyjaciółce. Nikt o tym tutaj nie wie. Jestem uczciwy i naprawdę lubię tę dziewczynę. Dlatego nie żądam od niej dużej opłaty. Ile?

Tysiąc patyków miesięcznie. To znacznie poniżej ceny na rynku mieszkaniowym.

Odpowiedziałbym, że zostaję z powodu jaguara. Że gdyby się tylko trochę pozbierał, to mógłbym znowu wyruszać na moje nocne eskapady. Ta gablota działała na kobiety jak magnes. Powiedzmy, że na niektóre… Zdaję sobie sprawę, że wśród tych, które podwoziłem tym samochodem, nie znajdę mojej Beatrice. Te dziewczyny interesowała jedynie forsa. Nie znaliśmy się i nie zamierzaliśmy się poznać. Kiedy już było po wszystkim, mówiłem im zwyczajnie „żegnaj". Byłem draniem i wcale mi to nie przeszkadzało.

– To gablota mojego szefa. Odwiozę cię do najbliższej stacji metra, jeśli chcesz…

Odpowiedziałbym mu, że zostaję, bo uwielbiam jadać w restauracjach frykasy za dwa tysiące franków i delektować się greckim sandwiczem na wychodnym.

Odpowiedziałbym, że zostaję, bo nie widziałem jeszcze *Traviaty*, i liczę na to, że któregoś dnia zabierze mnie do opery (dał mi kiedyś posłuchać fragmentów, opowiedział całą historię, straszliwie to nudne… ale uwierzyłem, że powinienem to zobaczyć).

Odpowiedziałbym, że zostaję, bo mam ochotę się zabawić, bo żyję, a życie jest po to, żeby się śmiać, i że udaje się to o wiele łatwiej, kiedy ma się pieniądze. Tak się szczęśliwie składa, że on je ma i że on również żyje!

Odpowiedziałbym, że zostaję dla jego pieniędzy. Tak zresztą myślała większość moich kumpli i wcale się z tym nie kryła. Nie wyprowadzałem ich z błędu. Utwierdzali się w swoim przekonaniu, a ja miałem z tego niezły ubaw.

A gdyby nalegał i zapytał:

– Dlaczego, Abdelu, jeszcze tu jesteś ze mną?

Odpowiedziałbym, że zostaję z jego powodu, bo przecież nie jesteśmy zwierzętami, tylko istotami ludzkimi.

Ubieram go w szaroperłowy garnitur od Ceruttiego, niebieską koszulę, do tego złote spinki w mankietach i ciemnoczerwony krawat w paski. Kropla wody toaletowej Eau Sauvage, której używa od trzydziestu lat. Tej samej używał jego ojciec. W końcu czeszę mu włosy i przygładzam wąsy.

– Gdzie mnie zabierasz, Abdelu?

– Co by pan powiedział na ostrygi? Mam na nie wielką ochotę…

Oblizuję wargi, klepię się po brzuchu. Uśmiecha się. Wie, że nie cierpię ostryg, zwłaszcza latem, bo są za bardzo białe. Ale on je uwielbia z plasterkiem cytryny lub w sosie z szalotek. Najlepsze są w Normandii.

– Może posłuchamy jakiejś płyty? Co wybieramy, *monsieur* Pozzo?

– Gustava Mahlera.

Przykładam dwa palce pod nosem, udając, że to wąsy, i naśladując niemiecki akcent, mówię ze złością:

– Gustafa Mahleura[10]? *Ach nein, monsieur* Pozzo! Dosyć nieszczęść na teraz! Absolutnie dość!

Uśmiecha się kącikami ust. Dobry początek…

* * *

Jaguar jest wspaniałym samochodem, ale niebezpiecznym. Nie czuje się w nim szybkości. Mknie, unosi się, a ty nie zdajesz sobie z tego sprawy. W drodze do szpitala Raymond-Poincaré w Garches nie zwróciłem uwagi, że silnik rozpędził się niczym koń w galopie. Było nam obu dobrze, słuchaliśmy stacji France Musique, takiej

miłej dla ucha melodyjki, j aką słychać w telefonie, kiedy wzywa się pogotowie. Na moście Saint-Cloud przyuważyli nas dwaj policjanci na motorach. Dostrzegam ich we wstecznym lusterku, rzucam okiem na szybkościomierz – sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, tylko… Pan Pozzo jest dziś w dobrej formie. Szykuję się, by wyciąć gliniarzom numer.

– Za nami są dwaj policjanci, pewnie chcą nas zatrzymać.

– Och… Abdelu! Spóźnimy się!

– Niekoniecznie, *monsieur* Pozzo. Czy nie mógłby pan zrobić bardzo nieszczęśliwej miny, takiej jak z najsmutniejszego dla pana okresu?

Dwaj stróże prawa niebezpiecznie się zbliżają.

– O co ci chodzi?

Wykrzywiam się żałośnie. Pozzo wybucha śmiechem.

– *Monsieur* Pozzo, niech się pan nie śmieje, ma pan cierpieć! Liczę na pana!

– Abdelu, nie, nie dam rady!

Zwalniam, włączam kierunkowskaz i zaczynam zjeżdżać na pobocze, opuszczam szybę od mojej strony.

– Abdel!

– Trzy, dwa, jeden… Ma być bardzo cierpiąca mina!

Nie patrzę na niego, boję się, że wybuchnę śmiechem.

Wychylam się do policjanta, który ostrożnie podjeżdża. Odgrywam kompletnie spanikowanego poczciwca.

– Dostał ataku! To mój szef. Jest całkowicie sparaliżowany. Skoczyło mu gwałtownie ciśnienie. Wiozę go do Garches, nie mam czasu na zatrzymywanie się, bo może umrzeć!

– Proszę wyłączyć silnik.

Niechętnie wykonuję polecenie, waląc pięścią w kierownicę.

– Przecież panu mówię, że musimy się spieszyć.

Dołącza do nas drugi gliniarz, objeżdża samochód z drugiej strony i zwraca się do mojego pasażera:

– Proszę opuścić szybę!

– Jak on ma opuścić szybę? Powiedziałem przecież, że jest sparaliżowany, czy pan wie, co to znaczy? Spa-ra-li-żo-wa-ny!

– Nie może się ruszyć?

– Brawo, dotarło!

Obaj spoglądają na mnie, zdenerwowani moim tonem, a jednocześnie źli, że nie panują nad sytuacją. Zerkam na pana Pozzo. Przeszedł samego siebie. Przechylił głowę na jedno ramię, czoło oparł o drzwi, oczy postawił w słup i do tego jeszcze rzęzi… Nie było to dokładnie to, o co mi chodziło, ale trudno.

– Proszę pana – zwraca się do mnie zdenerwowany pierwszy policjant. – Gdzie pan zamierzał jechać?

– Do szpitala Raymond-Poincaré w Garches, już to mówiłem. Nie mamy ani chwili do stracenia!

– Wezwę zaraz ambulans.

– Nie ma mowy! Trwałoby to za długo. On nie wytrzyma! Oto co można zrobić: znacie panowie drogę do Garches? Tak? Doskonale! Pan pojedzie przed nami, a kolega za nami. Ruszajmy!

Zapalam silnik i naciskam pedał gazu, dając wyraz mojej determinacji. Po sekundzie wahania – jako że wahanie leży w naturze każdego gliniarza – chłopaki wkładają swoje kaski i ustawiają się tak, jak im powiedziałem. Pędzimy do szpitala z odpowiednią szybkością. Policjanci jedną ręką trzymają kierownicę, drugą nakazują innym kierowcom zjeżdżać na boki.

Pan Pozzo unosi z lekka głowę i pyta:

– A kiedy już tam się znajdziemy, Abdelu, co dalej planujesz?

– Jak to co? To, co zostało wcześniej ustalone! Ma pan wygłosić wykład dla inwalidów, prawda?

– No tak, ale…

Na szpitalnym parkingu szybko wydobywam z bagażnika składany fotel pana Pozzo. Otwieram drzwi od strony pasażera – gram swą rolę jak młody świetnie zapowiadający się aktor dramatyczny. Odpycham brutalnie jednego z motocyklistów, który zaoferował mi swoją pomoc.

– Nic z tego, stary. Ten człowiek jest kruchy jak szkło!

– Chrr. – charczy umierający.

Popycham wózek w kierunku wejścia na ostry dyżur, krzycząc do policjantów:

– W porządku, możecie panowie już odjechać. Jeśli nie umrze, to nie wniosę przeciw wam skargi!

Odczekaliśmy, aż zniknęli w drzwiach, a potem spokojnie ruszyliśmy do sali, w której miał się odbyć wykład. Szef nie śmiał się już tak od wielu tygodni.

– No i kto jest najlepszy?

– Ty, Abdelu, zawsze ty!

– Ale pan nie wyglądał na takiego, co ma atak, ani trochę! Co to właściwie było?

– Abdelu, widziałeś *Traviatę?*

– Nie, ale dzięki panu znam dobrze całą historię.

– Odgrywałem Violettę z ostatniego aktu…

I śpiewa: *Gran Dio! Morir si giovine…*[11].

29

Czas życia ludzi sparaliżowanych liczy się tak jak u psów – jeden rok równa się siedmiu latom. Philippe Pozzo di Borgo miał wypadek w wieku czterdziestu dwóch lat, trzy lata temu. Trzy razy siedem daje dwadzieścia jeden. A więc w 1996 roku miał, jeśli można tak powiedzieć, sześćdziesiąt trzy lata. On jednak nie przypominał wcale Agecanonixa, starca z komiksu o Asterixie, niskiego, zabiedzonego, z sercem tak wyschłym jak jego skołtuniona czupryna… Hrabia miał wygląd arystokraty i serce dwudziestolatka.

– *Monsieur* Pozzo, potrzebna panu kobieta.

– Kobieta? Moja żona umarła, pamiętasz?

– Znajdziemy panu drugą. Zgoda, nie będzie taka sama, ale lepsza niż żadna.

– A co ja z tą biedaczką będę robił?

– Będzie pan do niej przemawiał tak czule jak Cyrano de Bergerac do Roxany.

– Brawo, Abdelu! Widzę, że moje lekcje literatury wydają owoce!

– Pan uczy mnie czytać, ja uczę pana żyć.

Przyprowadziłem do niego znajome dziewczyny. Adcha, mała brunetka z dużym biustem, lubiąca się zabawić, była pielęgniarką i rozumiała sytuację. W czasie jej pierwszej wizyty wypiliśmy razem po kieliszku. Następnego dnia szybko się ulotniłem. A ona położyła się na łóżku obok niego. Przez jakiś czas spali razem. Adcha nie

chciała pieniędzy ani prezentów. Zainteresowała się tym człowiekiem, z którym tak dobrze jej się gawędziło, ale nie była wyrachowana…

Nie mieli złudzeń, że się w sobie zakochają, lecz spędzili ze sobą przyjemne chwile. Adcha oddychała spokojnie. Słyszał jej oddech, czuł ciepło jej ciała, jej obecność działała na niego kojąco. Potem były jeszcze inne, zawodowe dziewczyny do towarzystwa, szczęśliwe, że w tej pracy mogą odpoczywać. Uprzedzałem:

– Masz być miła dla mojego szefa i grzecznie z nim rozmawiać. Wypluj gumę do żucia przed wejściem, uważaj na język, nie zachowuj się jak przekupka!

Pan Pozzo powoli wracał do siebie po śmierci żony. Bardzo powoli… Niekiedy widziałem, jak wpatruje się przed siebie pustym wzrokiem, nieobecny duchem, bezsilny obserwator radości innych ludzi, pozbawiony nadziei, że je będzie kiedyś z nimi dzielił. Pomimo towarzystwa Adchy i tych innych uperfumowanych dziewcząt nie czuł się naprawdę dobrze. Beatrice nie żyła już od wielu miesięcy. Laurence zaczynała wakacje. Dzieciaki marniały w Paryżu. Zaproponowałem wyjazd z miasta.

– *Monsieur* Pozzo, ma pan jakąś posiadłość na południu Francji?

– Posiadłość… Nie, chyba nie… A tak… La Punta, na Korsyce. Nasza rodzina sprzedała ją kilka lat temu Zgromadzeniu Ogólnemu, ale pozostała wieża, w której można mieszkać, niedaleko rodzinnego grobowca.

– Na cmentarzu… to nawet zabawne… To wszystko, co może pan zaproponować?

– Tak, wszystko.

– A więc jedziemy! Spakuję walizki.

* * *

Jest nas ośmioro w furgonetce (trzeba było pogodzić się z oczywistością, że w jaguarze wszyscy się nie zmieścimy). W wyprawie biorą naturalnie udział Celine i dzieci, ale także Victor, bratanek pana Pozzo, jego siostra Sandra i jej syn Theo. Jest ciepło, lecz niewystarczająco. Włączam klimatyzację i podkręcam temperaturę, nikt się nie skarży. Człowiekowi sparaliżowanemu jest zawsze zimno. Okrywa się go pledami, ubiera w czapki, w wełniane rzeczy. Ale to za mało. Widziałem wielu takich ludzi w Morbihan, w Kerpape, centrum rehabilitacji, dokąd, w lepszym okresie, pan Pozzo jeździł na coroczne kontrole. Przy pierwszych promieniach słońca wszyscy oni ustawiają się ze swoimi fotelami przy oknach od strony południowej i nie ruszają się stamtąd ani na chwilę. W furgonetce Philippe Pozzo di Borgo w obecności dzieci przywołuje na twarz pogodny uśmiech. Wiem jednak, że nadal opłakuje żonę i ma nam wszystkim trochę za złe to, że jesteśmy tutaj, a jej nie ma. Pocimy się, nasze zapachy się mieszają, ale jemu przynajmniej nie jest zimno.

Połykamy kilometry, nie przekraczając nadmiernie szybkości. Wszyscy po kolei zasypiają, ja walczę z sennością. Celine otwiera oczy, przeciąga się.

– Dojeżdżamy do Montelimar. Może zatrzymalibyśmy się, żeby kupić tutejsze nugaty?

Mruczę pod nosem, że jeśli będziemy robić postoje w każdej miejscowości, gdzie są jakieś kulinarne specjały, nigdy nie dojedziemy na miejsce…

Celine milczy. Przypuszczam, że trochę się na mnie boczy. Po jakimś czasie się odzywa:

– Abdelu, ten dym, to normalne?

Rozglądam się na obie strony autostrady i nic nie widzę.

– Zauważyłaś pożar w lesie?

– Nie, mówię o dymie, który wydobywa się spod maski. Czy to nie dziwne?

Okropność! Silnik się przegrzał! Nie pozbyłem się definitywnie tej furgonetki, no to teraz mam. Stanąłem na pasie awaryjnym. Jestem sam z czwórką dzieci, dwiema kobietami i jednym sparaliżowanym mężczyzną. Sierpień, czterdzieści stopni w cieniu. Zostało nam jeszcze dwadzieścia kilometrów do Marsylii, gdzie za mniej niż trzy kwadranse powinniśmy wsiąść na statek płynący na Korsykę. Wszyscy beztroscy, roześmiani, pokpiwają sobie ze mnie. Zapomniałem sprawdzić poziom oleju albo płynu chłodzącego. Albo jednego i drugiego, czy ja wiem? Zachowuję spokój.

W schowku samochodu musi być umowa ubezpieczenia na wypadek awarii. Jest, a jakże! No tak, ubezpieczenie straci ważność za tydzień. Szczęście, że auto nie zepsuło się w drodze powrotnej.

Szef się śmieje.

– Prawda, Abdelu, że skoro jesteśmy jeszcze ubezpieczeni, to wszystko gra?

Wyjmuję telefon komórkowy – rekwizyt, który w tamtym czasie zdążył się już bardzo upowszechnić. Dzwonię najpierw do warsztatu. Potem do przedsiębiorstwa wynajmu samochodów. Na próżno. Jest pełnia lata, w Montelimar, jak wszędzie, pełno turystów, nic się nie da znaleźć. Dzwonię do pomocy drogowej. Krzyczę do telefonu, że nie zostawia się człowieka sparaliżowanego na drodze. Jak zawsze w takiej sytuacji powtarzam dobitnie to samo zdanie o moim specjalnym pasażerze:

– To człowiek sparaliżowany, czy rozumie pan, co to znaczy? Spara-liżo-wany!

W samochodzie, spod którego maski nadal wydobywa się czarny dym, wszyscy świetnie się bawią.

– Abdelu, po co się tak denerwujesz? Czy nie jest nam tutaj dobrze, na autostradzie, w krainie nugatów?

Agent ubezpieczeniowy proponuje, że zwróci koszt jazdy taksówką do Marsylii. Musimy jednak sami dostać sięjakoś do Montelimar. W tym momencie przyjeżdża pomoc drogowa. Wszyscy na pokład! Sześćdziesięcioletni mechanik, który sądząc po jego sylwetce, nadużywał chyba lokalnych specjałów, dobrotliwym tonem wyraża swój sprzeciw.

– Do kabiny mogę wziąć tylko dwie, trzy osoby. Więcej się nie zmieści.

– No to zostaniemy w furgonetce.

– To zabronione, proszę pana. Nie da rady.

Ciągnę go za kołnierz do bocznych drzwi wozu, pokazuję fotel na kółkach.

– Czy chce pan, żebym go pchał po pasie awaryjnym przez dwadzieścia kilometrów?

– No, nie, ma pan rację. Tak też nie da rady.

– Otóż to, nie da rady… Ładujemy się!

Alexandra, Victor i Theo zajmują miejsca w kabinie kierowcy, podczas gdy on sam zabiera się do załadowania furgonetki na platformę. Nie wysadziliśmy pana Pozzo. Laetitia, Robert-Jean, Celine i ja staramy się utrzymać jego fotel w czasie tego manewru. Fotel silnie kołysze się na boki… Dzieciaki, zanosząc się od śmiechu, małpują mechanika: „Nie da rady, nie da rady!”. To będzie mantra

tych wakacji. Wydaje mi się, że Philippe Pozzo także szczerze się tym bawi.

W końcu docieramy do portu w Marsylii. W samą porę – statek wypływa za dwadzieścia minut. W teorii… Płacę za dwie taksówki, kiedy słyszę zaniepokojony głos Celine:

– Coś nie za wielu tu ludzi, nie uważacie? Czy wszyscy urlopowicze już odpłynęli? Wydaje mi się, że na tym statku nie ma żadnego ruchu…

Rzeczywiście żółto-biały statek wydaje się całkowicie opuszczony. Na nabrzeżu nie ma nikogo oprócz nas, platforma dla samochodów jest podniesiona… Zrezygnowany biegnę do kapitanatu. Po chwili wracam do naszej małej grupki, która stanęła w cieniu pustego magazynu.

– Będziecie się śmiać, biuro kapitanatu jest zamknięte.

– Naprawdę? I nie ma żadnego zawiadomienia?

– Owszem… Piszą, że towarzystwo przewozowe ogłosiło bezterminowy strajk.

Przez kilka sekund wszyscy stoją z otwartymi ustami. Aż do chwili, gdy Victor wygłasza swoim dziecinnym głosem komentarz:

– Nie da rady!

Telefonicznie zasięgam informacji w agencji, która sprzedała nam bilety na prom. Proponują, żebyśmy dojechali do Tulonu, gdzie będziemy mogli wsiąść na inny statek… Do Tulonu jest siedemdziesiąt kilometrów. Próbuję zamówić taksówkę. Nic z tego. Idę więc pieszo na dworzec w Marsylii, żeby zarekwirować nie jedną, ale dwie taksówki. Nowo przybyli pociągiem pasażerowie są zrozpaczeni podobnie jak ja. Taksówek nie ma. Udaję się do

centrum miasta, zagłębiam w wąskie uliczki przypominające kasbę w Algierze. Zagaduję po arabsku starców żujących tytoń na progach domów. W końcu znajduję jednego, który gotów jest mi pomóc za niewielką opłatą.

Ale mieli miny pozostali, gdy zobaczyli nas przybywających do portu… Nasz kierowca był szczęśliwym posiadaczem peugeota 305 kombi tak porozbijanego, że właściwie nie miał prawa wyjeżdżać na drogę tego lata…

– Abdelu, chyba nie pojedziemy czymś takim?

– Ależ tak, moja droga Laetitio! A może chcesz tutaj zostać?

– Jesteś naprawdę nienormalny! Ja nie wsiadam!

Nastolatka, rozpuszczona burżujka, z pomalowanymi paznokciami w wieku piętnastu lat! Odstawia nam histeryczną scenkę. Jest przerażona. Jej ojciec mówi z niedowierzaniem:

– Abdelu, pomijając sprawę wygody, jak twoim zdaniem mamy się zmieścić w osiem osób w tym samochodzie?

– Dziewięć osób, *monsieur* Pozzo, dziewięć! Zapomina pan o kierowcy.

I rzeczywiście udało się. Nawet Laetitia to przeżyła.

30

Tego rodzaju sceny wywołują dużo śmiechu na filmach. Śmieją się widzowie, nie uczestnicy wydarzeń. Kiedy kłopoty się nawarstwiają, ujawnia się pospolita małostkowość, prawdziwa natura ludzi. Oni wszyscy mogli mnie zwymyślać, uznać, że jako kierowca byłem odpowiedzialny za awarię, wyrzucać mi, że za szybko odprawiłem obie taksówki, że mieli za mało butelek z wodą, bo to przecież ja wpadłem na pomysł tego wyjazdu! Żadne z nich jednak nie powiedziało mi złego słowa. Tak jak w furgonetce wszyscy bez narzekania znosili gorąco, tak teraz widzieli jedynie śmieszną stronę całej tej sytuacji. Postąpili tak ze względu na ich ojca, brata, wujka, który się nie skarżył. Ze względu na pana Pozzo, który pierwszy zaczął się śmiać z naszego pecha. Podróż z Paryża do Marsylii zmęczyła go o wiele bardziej niż nas. Musiał znosić wstrząsy, panujący w furgonetce hałas silnika i naszą paplaninę. Naraził się na ogromne zmęczenie, które nie było wskazane dla jego kruchego zdrowia. Jednak nie protestował. Spoglądał to na jednych, to na drugich, jakby uświadamiał sobie na nowo przyjemność z tego, że przebywa pośród nas. Nie mówię tylko o członkach rodziny, ale o nas wszystkich.

Znalazłem się wśród nich przypadkowo, rok wcześniej, i zostałem z nimi, nie podejmując właściwie żadnej decyzji. Wbrew wszelkim obawom zachowywałem się jak prawdziwy pomocnik w życiu codziennym – odwracałem strony jego gazety, włączałem płytę,

której chciał słuchać, zawoziłem go do kawiarni, którą lubił, mieszałem cukier w kawie i podnosiłem filiżankę do jego ust. Całym sobą, wszystkim, co mogłem zrobić, moją siłą i moją radością życia starałem się złagodzić jego fizyczne inwalidztwo. Przez kilka tygodni poprzedzających śmierć Beatrice i przez kilka następnych nie opuszczałem go ani na chwilę. Słowo praca nie znaczyło dla mnie to samo co dla poważnego faceta, który boi się ją stracić, bo nie będzie w stanie opłacić swoich rachunków. Nigdy nie przejmowałem się tym, czy mam robotę, traktowałem ją z lekceważeniem i rzucałem, gdy tylko przyszła mi na to ochota. Tutaj nie miałem ustalonych godzin pracy, nie miałem prywatnego życia, nie widywałem się z moimi kumplami. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Dlaczego zostałem? Nie byłem bohaterem ani siostrą miłosierdzia. Zostałem, bo przecież nie jesteśmy zwierzętami, tylko istotami ludzkimi…

Wytrwałem w trudnym okresie, słuchając głosu rozsądku, jak podczas pobytu w więzieniu we Fleury-Merogis – sytuacja była trudna, nie miałem na nią wpływu, ale wiedziałem, że kiedyś nastąpi koniec. Trzeba było tylko czekać. Wiele tygodni później, na nabrzeżu portu w Marsylii, mając przed sobą statek, na którym nikt nas nie oczekiwał, uświadomiłem sobie, że znowu jestem wolny.

Ponieważ pan Pozzo, znalazłszy się ponownie w pułapce absurdalnej sytuacji, wybrał, jak ma żyć.

Gdy wtedy ujrzałem, że chce mu się śmiać, zrozumiałem, że łączyło mnie z nim coś więcej niż praca. Nie było w tym nic z zawartego kontraktu ani moralnego zobowiązania. Przed kolegami i nawet przed rodzicami ukrywałem prawdę, której sobie nie uświadamiałem. Zapewniałem ich, że zostaję przy moim szefie, by

korzystać z jego hojności, podróżować z nim, żyć w komforcie wśród drogich mebli i jeździć sportowym wozem. Bez wątpienia było w tym trochę prawdy, ale bardzo mało. Przypuszczam, że po prostu polubiłem tego człowieka i że w sposób całkiem naturalny odpłacał mi taką samą sympatią.

Łatwiej zginąć w wypadku na paralotni, niż się do tego przyznać.

31

Towarzyszyłem panu Pozzo wszędzie. Absolutnie wszędzie. Kiedy w końcu doszedł trochę do siebie po śmierci żony, znowu radziliśmy sobie bez sanitariuszy i pielęgniarek. Nauczyłem się robić wszystko, co było konieczne – opatrywać odleżyny, usuwać martwe tkanki, wkładać sondę. Nie czuję obrzydzenia. Wszyscy jesteśmy stworzeni tak samo. Potrzebowałem natomiast trochę czasu, żeby zrozumieć, czym jest ból. Nigdy nie zabawiałem się wylewaniem wrzątku z czajniczka na jego nogi, jak robi to aktor grający mnie w filmie *Nietykalni*. To prawda, że pan Pozzo nic nie czuje, to zrozumiałem. Dlaczego więc tak krzyczy? Jest uczulony na to, co nie działa prawidłowo w jego ciele. Podobno to sprawa zakończeń nerwowych. Jedyne, co łączy jeszcze ten umysł z powłoką cielesną, ujawnia się w bólu, nigdy w przyjemności. Byłoby zbyt dobrze…

W końcu dotarliśmy na Korsykę. Spodziewałem się starej budy bogaczy, jakie się widuje w tej okolicy, czegoś w rodzaju kamiennego domostwa z zapuszczonym basenem, tymczasem zobaczyłem zrujnowany pałac położony w górach Alata, w pobliżu Ajaccio. Historia tego miejsca mnie zafascynowała. Pałac został zbudowany z ocalałych fragmentów rezydencji francuskich królów i cesarzy, znajdującej się niegdyś w paryskiej dzielnicy Tuileries i spalonej przez komunar – dów – jeśli dobrze zrozumiałem, było to następne pokolenie rewolucjonistów – w 1871 roku. Kilkadziesiąt

lat później, kiedy pałac był już niemal całkowicie zniszczony, pradziadek pana Pozzo kupił te ruiny, kazał przewieźć na Korsykę i postawić tam identyczną rezydencję. Próbowałem wyobrazić sobie plac budowy, ale nie udało mi się, przecież dziś wznosi się mury w zupełnie inny sposób… Kiedy przyjechaliśmy, właśnie zaczęły się prace przy renowacji dachu. Odniosłem wrażenie, że nie było tam za wielu robotników i że pracy wystarczy im na co najmniej dziesięć lat.

Zamieszkaliśmy w pobliskiej wieży. Żeby do niej dotrzeć, trzeba przejść przez most zwodzony, zupełnie jak w średniowieczu. Żartowałem z panem Pozzo, nazywałem go Godefroyem de Montmirail. Nie widział filmu *Goście;* przypuszczam, że nie przepada za takimi głupawymi komediami.

Jego przodkowie spoczywali w kaplicy kilkaset metrów od naszej wieży. Pan Pozzo poinformował mnie, że czeka tam już miejsce dla niego… Uciążliwa niewątpliwie podróż spowodowała, że się rozchorował. Pojawiły się problemy z opróżnieniem pęcherza moczowego. Widziałem, jak straszliwie cierpiał przez trzy dni i trzy noce. Robotnicy na placu budowy walili młotami. Od czasu do czasu przerywali, zaskoczeni intensywnością krzyków dobiegających z wieży. Naprawdę nigdy nie widziałem tak płaczącego mężczyzny.

– Nie uważa pan, że lepiej byłoby pojechać do szpitala?

– Nie, Abdelu, bardzo cię proszę, chcę zostać w domu. Nie mogę przegapić festynu.

Wcześniej było zaplanowane, że przyjmie mieszkańców wioski, do których jest bardzo przywiązany. Trzy miesiące wcześniej wyrazili swój ból z powodu śmierci *Dame* Beatrice i hrabia pragnął teraz im za to podziękować. Jednak był przykuty do łóżka, bo środki

przeciwbólowe nie przynosiły żadnej ulgi. Tylko w szpitalu mogliby mu pomoc. Nie chciał tam jechać, a ja nie nalegałem. Dzieci czuły się w La Punta jak u siebie. Często przyjeżdżali tu całą rodziną. W tym historycznym miejscu pan Pozzo wspominał własną historię: Beatrice i ich miłość. Nie mogłem pozbawić go tej przyjemności.

Wierzyłem, że robię to, co należy. Rankiem, w dzień święta, ból się ulotnił. Udało mi się zdobyć jagnię. Oprawiłem je i upiekłem na rożnie niczym sługa z innego stulecia. Przybyli członkowie chóru polifonicznego z Alata. Ustawili się w kręgu, zwróceni do siebie twarzami, i śpiewali z ręką przy uchu. Ich poważne głosy rozbrzmiewały wśród drzew, na łonie natury. Trzeba by być bydlęciem, żeby tego nie docenić. Nawet na mnie zrobiło to wrażenie… Święto było wspaniałe, hrabia siedział w swoim fotelu niczym na tronie, wolny od fizycznego bólu i smutnych myśli.

* * *

Nie rozstawaliśmy się nigdy.

Towarzyszyłem panu Pozzo podczas wizyt u lekarzy w centrum rehabilitacji w Bretanii, w Kerpape, gdzie przebywał po swoim wypadku.

– Przepuśćcie doktora Abdela! – wołał wesoło.

To człowiek czujący wdzięczność.

Towarzyszyłem panu Pozzo w przyjęciach, na które bywał proszony. W restauracjach przestawiałem stoły i krzesła, przypominałem o odpowiednim ułożeniu talerzy i sztućców, bym mógł mu pomagać w jedzeniu. Zdarzało się, że nie pamiętali o posiłku dla mnie, traktując jak służącego. Pan Pozzo grzecznie

wyjaśniał kierownikowi sali, że ja także powinienem dostać coś do zjedzenia.

Pewnej niedzieli byliśmy na kolacji w jednym z bardziej tradycyjnych domów. Chłopcy mieli na sobie niebieskie marynarki i białe koszule, dziewczynki – plisowane spódniczki i bluzki z małymi okrągłymi kołnierzykami. Przed przystąpieniem dojedzenia odmówili modlitwę. Chciało mi się śmiać. Odezwałem się bardzo cicho:

– Zupełnie jak w rodzinie Ingallów!

Pan Pozzo spojrzał na mnie zaskoczony.

– Abdelu, opanuj się! A tak przy okazji, co to za rodzina Ingallów?

– Trzeba uzupełnić pańskie wykształcenie. To bohaterowie filmu *Domek na prerii!*

Wszyscy siedzący przy stole usłyszeli, co powiedziałem. Popatrzyli na mnie z oburzeniem. Pan Pozzo w swej szlachetności nie przepraszał za moje zachowanie.

Towarzyszyłem mu w kolacjach organizowanych przez ludzi z jego środowiska. Arabów właściwie nie znają, mając do czynienia jedynie z arabskimi służącymi. Wypytywali mnie o moje życie, plany, ambicje.

– Ambicje? Nie mam żadnych!

– Ależ, Abdelu, wygląda pan na człowieka inteligentnego i pracowitego, mógłby pan robić wiele różnych rzeczy.

– Korzystam z życia. I bardzo mi to odpowiada. Powinni państwo spróbować, na pewno by się wam spodobało!

W drodze powrotnej pan Pozzo wygłosił kazanie pod moim adresem:

– Abdelu, przez ciebie będą mieli wszystkich Arabów za leni i zagłosują na Front Narodowy.

– Czy sądzi pan, że podjęli tę decyzję dopiero teraz, kiedy mnie poznali?

* * *

Otwarcie FIAC, Międzynarodowych Targów Sztuki Współczesnej. Mój boss, niegdyś znany kolekcjoner, był zapraszany przez liczne galerie przed oficjalnym otwarciem wernisaży, bez tłumów. Tylko dla wybranych… Ci ludzie śmierdzą forsą, z całej ich postawy emanuje pogarda dla innych. No i ten snobizm… Gruby dywanik o powierzchni metra kwadratowego leży na samym środku podłogi. Też mi coś, czerwona wycieraczka! Aha, obok jest mała etykietka. Instrukcja obsługi: nie wolno po tym chodzić, można jedynie gładzić ręką. Wtedy odbiera się przesłanie tego dzieła aż do chwili, gdy inna ręka zmieni je lub zatrze. Idiotyzm. Pochyliłem się, nie po to, żeby udawać zainteresowanego dziełem, lecz żeby zliczyć szereg drobniutkich zer wypisanych na kartoniku. Setki tysięcy dolarów! Za takie byle co!

– Podoba ci się, Abdelu?

Pan Pozzo zobaczył moją przerażoną minę i bardzo go to rozbawiło.

– Zabiorę pana do Saint-Maclou, gdzie kupię panu taką samą rzecz za pięć franków! I jeszcze będzie miał pan wybór kolorów!

Kontynuujemy oglądanie tych oszustw. Zawieszony wysoko na kiju powiewa motek niebieskiej wełny. Żeby zbierać kurz w tym miejscu? Stary projektor slajdów włącza się co pięć sekund i rzuca na ścianę czarno-biały obraz plaży. I to ma być sztuka? Zdjęcia są

zniszczone, nie widać nawet piersi dziewcząt! Na jakimś płótnie krzyżują się linie we wszystkich kolorach. To tu, to tam, jakieś trójkąty, wszelkiego rodzaju kształty, mazanina… Usiłuję dostrzec w tym coś konkretnego, zwierzę, osobę, dom, planetę… Wykręcam głowę na wszystkie strony, wychylam się do przodu, patrzę od dołu, ale i w takiej pozycji nic nie widzę.

– To abstrakcja liryczna, Abdelu.

– Liryczna jak muzyka?

– Jak muzyka!

– No tak. Robi na mnie zupełnie takie samo wrażenie! Nicość! A ile jest warte to malowidło? Ojej! Chyba nawet pan nie mógłby sobie na nie pozwolić.

– Owszem, mógłbym.

– Ale nie chce pan? Uprzedzam, *monsieur* Pozzo, niech pan nie liczy, że powieszę coś takiego, byśmy to oglądali od rana do wieczora!

Na szczęście nie chciał. Zachował swoje pieniądze na aukcję komódek. Skąd u niego taka mania zbierania tych mebli? Nie wiedział już, co wkładać do szuflad… Nieważne, musiał kupować te komody… To prawda, że w apartamencie liczącym czterysta metrów kwadratowych jest dużo miejsca. Wynajdywał te cacka na wyprzedażach w Drouot lub gdzie indziej i kiedy sam nie czuł się dobrze, wysyłał tam mnie. Na ogół potem tego żałował – zawsze przywoziłem mebel, ale często przekraczałem uzgodnioną wcześniej maksymalną sumę. Wzdychał i skarżył się, że nadużywam jego zaufania. Udawałem bardzo przejętego.

– Ależ, *monsieur* Pozzo, nie mogłem przepuścić takiej okazji! Ta komoda bardzo mi się spodobała!

– Czy życzysz sobie, Abdelu, żeby stanęła w twoim pokoju?

– Nnno… nie… To bardzo miło z pana strony, ale nie chciałbym jej pana pozbawiać.

32

Zostałem zatrzymany za kierownicą jaguara. Nie przekroczyłem dozwolonej szybkości, nie przejechałem na czerwonym świetle. Dwaj policjanci po cywilnemu, z kogutem na dachu, z wyjącą syreną, spychając auto do chodnika, zmusili mnie, żebym się zatrzymał. Zobaczyli nieogolonego, źle ubranego Araba w luksusowym wozie, nie trzeba im było więcej. Zanim zdążyłem coś wyjaśnić, już leżałem twarzą na masce samochodu.

– Ostrożnie, porysujecie, panowie, lakier. To samochód mojego szefa.

Zarechotali za moimi plecami.

– A kto jest tym twoim szefem?

– Jestem jego kierowcą i pomocnikiem. Jest sparaliżowany. Czy wiecie panowie, co to znaczy? Spara-liżo-wany! Możecie do niego zadzwonić. Nazywa się Philippe Pozzo di Borgo, mieszka w Szesnastej dzielnicy, w alei Leopolda Drugiego. Numer jego telefonu jest na dokumencie ubezpieczenia w schowku.

Podnieśli mnie, choć bez większego entuzjazmu, ale nadal miałem ręce skute kajdankami na plecach. Po weryfikacji zostałem rozkuty. Rzucili mi dokumenty w twarz.

Następnego ranka pan Pozzo śmiał się z mojej przygody.

– A cóż się takiego stało, mistrzu kierownicy Ayrtonie-Abdelu, że w nocy zostałem obudzony przez policję?

Byli chociaż mili dla ciebie?

– Jak anioły!

Skasowałem jaguara. Mówiłem przedtem, że to niebezpieczny samochód – nie czuje się w nim prędkości. Nie zorientowałem się, że przy porte d'Orleans wziąłem za szybko zakręt. Noc spędziłem na pogotowiu, gdzie zrobiono mi prześwietlenie, a jaguar poszedł od razu do kasacji. Wróciłem do domu bardzo zawstydzony.

– No i cóż, Ayrtonie-Abdelu, tej nocy znowu zostałem obudzony…

Podałem panu Pozzo kluczyki.

– Bardzo mi przykro, to wszystko, co zostało.

– A ty jesteś cały?

Anioł.

* * *

I znowu towarzyszę panu Pozzo na sesji wyprzedaży automobili z wysokiej półki – trzeba coś kupić w miejsce rozbitego przeze mnie jaguara. Wybieramy szykownego, granatowego rolls-royce'a silver spirit – skórzana beżowa tapicerka, tablica rozdzielcza z drogiego drewna. Gdy uruchomi się silnik, jak za sprawą czarów pojawia się symbol marki: syrena ze skrzydłami. Po rozpoczęciu licytacji początkowo to ja podnoszę rękę. Wkrótce jednak licytator łapie w czym rzecz i obserwuje ruchy głowy pana Pozzo.

Załatwianie urzędowych formalności trwało dwa dni. Kolega podwiózł mnie do porte de la Chapelle, a na aleję Leopolda Drugiego wróciłem już sam za kierownicą tego cacka. Natychmiast zrobiliśmy objazd przez Pola Elizejskie i nabrzeżami Sekwany aż do porte de la Normandie, zachwyceni ciszą panującą w wozie, bez względu na to, z jaką jechało się szybkością.

– Cudowny jest, prawda, Abdelu?

– Cudowny, nie ma wspanialszego.

– Będziesz uważał, prawda?

– Oczywiście!

Wieczorem w dzielnicy Beaugrenelle kumple nie kryli swojego zdania na temat zdrowia psychicznego mojego pracodawcy.

– Chyba oszalał, pozwalając ci prowadzić ten wóz!

Zabrałem wszystkich po kolei na przejażdżkę. Zrobiliśmy rundki jak na świątecznym jarmarku. Ojciec zachwycał się karoserią, ale matka nie chciała wsiąść do samochodu.

– Te auta nie są dla takich jak my!

Odpowiedziałem jej, że nie rozumiem, co to znaczy „tacy jak my". Dodałem nawet, że nie pojmuję, dlaczego taki samochód nie miałby być dla mnie, Abdela Yamine'a Sellou.

– To prawda, Abdelu, ale ty nie jesteś taki jak my!

Miała rację. Myślałem tylko o sobie, pasożytowałem na innych, stwarzałem pozory, wykorzystywałem kobiety dla własnej przyjemności, napędzałem stracha burżujom, gardziłem moim bratem, ale kochałem moje życie z panem Pozzo. Igrałem z Philippe'em Pozzo di Borgo jak dziecko igra z rodzicami – testowałem jego cierpliwość, posuwałem się zawsze trochę za daleko, szukałem właściwych granic, nie znajdowałem ich, robiłem dalej to samo. Taki byłem pewny siebie, tak w sobie zadufany, że nawet nie zauważyłem, że on stopniowo zmieniał mnie.

33

Odeszła od nas Celine. Myślała o tym, żeby zostać matką, nie chciała do końca życia gotować dla dwóch dorosłych, którzy i tak niczego nie doceniali – dla sparaliżowanego na diecie i dla typa uzależnionego od greckich sandwiczy. Żegnaj, Celine. Przez kilka dni zajmowałem się kuchnią. Wszystko szło dobrze, ale trzy sprzątaczki po kolei zrezygnowały z pracy u nas, mając dosyć sprzątania po mnie rano, w południe i wieczorem… Zatrudniliśmy Jerry'ego, Filipińczyka przysłanego przez biuro pośrednictwa pracy. Trzeba było zakazać mu dotykania pralki. Uprał wszystkie garnitury szefa w temperaturze czterdziestu stopni. Rezultat nie okazał się miły dla oka. Pan Pozzo, zachowując stoicki spokój, ubrany w garnitur od Diora, ostatni, jaki mu pozostał, spoglądał na łachy, które ten młodzieniec z absolutną obojętnością wyjmował z szafy.

– Abdelu, w salonie obok biblioteczki stoi duży posąg dłuta Giacomettiego. Można by na niego włożyć tę marynarkę od Hugo Bossa. Myślę, że teraz będzie na niego w sam raz…

– *Monsieur* Pozzo, proszę się nie tym nie przejmować. Tam, gdzie się wybieramy, wystarczy panu ciepła wełniana czapka.

* * *

Wybieraliśmy się w podróż. Ciocia Éliane, drobna, przemiła kobietka, która często wpadała na pogawędkę po śmierci Beatrice, zamierzała powierzyć swojego Philippe'a zakonnicom z Quebecu.

Zmówiła się z kuzynem Antoine'em, który jest bliski dewocji. Oboje, przedstawiając nam ten projekt, dodali bardzo poważny argument, że chodzi o „terapię przez miłość".

– *Monsieur* Pozzo! Terapia przez miłość! Tego właśnie panu potrzeba, zawsze to powtarzałem!

– Abdelu, nie mówimy dokładnie o tym samym…

Mnie osobiście idea ta bardzo się spodobała. Jak zawsze słyszałem tylko to, co chciałem usłyszeć. Mojej uwagi umknęło, że mówiono o klasztorze, odosobnieniu, seminarium duchownym, siostrach kapucynkach. Dla mnie Quebec zawsze był przedłużeniem Ameryki, gdzie ludzie są na tyle przyzwoici, że mówią po francusku. A do tego wielka przestrzeń z Betty Boop, Marilyn i frytkami w torebkach rozmiarów XXL. No i jeszcze obiecano nam miłość… Laurence, wierna sekretarka Philippe'a Pozzo, też się wprosiła. Interesowały ją bardzo spirytyzm, medytacje i tym podobne bujdy. Chciała, jak sama mówiła, „odbyć pokutę". Pokutę? Ale za co? Zawsze myślałem, że ta dziewczyna jest trochę masochistką. Sympatyczną, ale masochistką…

Wylądowaliśmy w Montrealu, nie pojechaliśmy jednak od razu do zakonnic. Przecież szkoda byłoby nie zwiedzić tego miasta. Spodobały mi się tamtejsze restauracje! Wszędzie pełen obfitości szwedzki stół! Żeby nie wyjść na obżartucha, bo po kilka razy podchodziłem do bufetu, niosłem tace na nasz stół. Pan Pozzo, który jeszcze nie zrezygnował z wychowywania mnie, zwrócił mi uwagę:

– Abdelu, tak się nie robi… A poza tym przytyjesz nam tutaj.

– Mam tylko mięśnie! Nie o każdym tak można powiedzieć.

– Masz rację, Abdelu, masz rację…

– Ależ nie, *monsieur* Pozzo, mówiłem o Laurence!

Żeby móc się poruszać, wynajęliśmy wspaniałego, beżowego pontiaca. Był naprawdę świetny, ale tutaj wszyscy takie mieli. Nie szkodzi, i tak przeżywałem mój amerykański sen.

W drodze do klasztoru boss poprosił, bym się zatrzymał i kupił dla niego papierosy. Obawiał się, że w klasztorze ich nie będzie. Zdziwiłem się.

– Przecież jak ich zabraknie, mogę pójść i kupić! – powiedziałem.

– Abdelu, kiedy już tam dojedziemy, nie będziemy się nigdzie ruszać. Zaczniemy żyć w takim rytmie jak siostry kapucynki, będziemy realizować program zajęć seminaryjnych. Przez cały tydzień.

– Program? Jaki program? Jak to? Przez osiem dni nie będzie można wyjść z hotelu?

– Mówimy o klasztorze, nie o hotelu…

– To chyba coś podobnego, prawda? No dobra, to ile tych paczek?

Parkuję pontiaca przed drugstore'em, idę kupić papierosy, po czym wracam do samochodu. Otwieram drzwi od strony kierowcy, opadam na fotel, zwracam głowę na prawo, gdzie powinienem zobaczyć mojego bossa. Zmienił kolor skóry. I płeć. Przed sobą mam grubą, czarnoskórą kobietę.

– Co pani zrobiła z tym białym poczciwcem, który tu był jeszcze przed chwilą?

Patrzy na mnie, unosząc brwi aż do samej nasady włosów.

– Coś takiego! A w ogóle to kim pan jest?

Rzucam okiem w lusterko wsteczne. W pontiacu zaparkowanym z tyłu widzę rozbawionego pana Pozzo i Laurence, która najwyraźniej pęka ze śmiechu. Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Czuję się jak skończony idiota.

– Bardzo panią przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro. Nie chciałem pani przestraszyć.

– Wcale się ciebie nie boję, głupi smarkaczu!

Smarkacz! Nazwała mnie smarkaczem! Musiałem przebyć

Atlantyk, żeby potraktowano mnie jak smarkacza! Wracam do samochodu z podkulonym ogonem. Rzeczywiście, nie wyglądała na wystraszoną… I prawdą jest także, że ważyłem pięćdziesiąt kilogramów mniej od niej. A podobno przytyłem! Najwidoczniej mam jeszcze pewien margines!

* * *

Klasztor przypominał wiejski domek w Sabaudii – cały z drewna, bez krat w oknach. Jezioro, łodzie. Czy u siostry można wypożyczyć wędki? Philippe Pozzo był na prawach gościa specjalnego. Zazwyczaj zakonnice wpuszczają do siebie tylko kobiety. Jak w szkołach z dawnych czasów – dziewczęta z jednej strony, chłopcy z drugiej. Żadnego mieszania się! Ale tetraplegik to zupełnie inna sprawa… Od czasu wypadku szef był okropnie przeczulony na punkcie swojej męskości, uważam więc, że nie należało go tak traktować. Jeśli chodzi o mnie, zostałem przyjęty jako „pomoc – nik” – bardzo lubię to słowo. Zastanawiałem się już wcześniej nad sensem, jaki mu się nadaje. W gramatyce francuskiej mamy czasowniki pomocnicze, posiłkowe, które nie występują same. Trzeba do nich dodać inny czasownik, bo inaczej nic nie znaczą. Na przykład czas przeszły większości czasowników jest formą złożoną, w której występuje czasownik posiłkowy „mam”. „Mam zjedzone” znaczy „zjadłem”, „mam spane” znaczy „spałem”. W takim rozumieniu ja pełnię funkcję czasownika posiłkowego, a pan Pozzo

jest tym drugim czasownikiem. To on jedzie, je, śpi. Ale beze mnie sobie nie poradzi. Zakonnice nie wiedziały, że pomocnik Abdel ma szczególną autonomię w gramatyce życia. Wkrótce zdały sobie z tego sprawę.

Przydzielono mi pokój na parterze tuż obok pokoju mojego szefa – nie mogłem się zmusić do używania słowa „cela". Samochód stał na parkingu, byłem więc spokojny. Planowałem, że wieczorem, jak tylko położę pana Pozzo do łóżeczka, wyjdę przez okno i pojadę do najbliższego miasta. Na razie grałem swojąrolę. Jak zawsze, kiedy znalazłem się w miejscu, którego nie znałem, przyglądałem się wszystkiemu. Ustawiłem fotel szefa w kościelnej nawie, oparłem się o pobliski filar. Przysypiałem na jedno oko, drugim obserwowałem. Wszystkie seminarzystki wyglądały na niedołężne fizycznie lub psychicznie, albo jedno i drugie. Były nakierowane na swoje cierpienie, nie przestawały o nim myśleć ani na moment, choć próbowały uwolnić się od niego poprzez modlitwę. Mnie to nie dotyczyło. Niektóre z nich skazane były na fotel, jak pan Pozzo. Patrzyłem na nie i wiedziałem, że gdyby biuro pośrednictwa pracy przysłało mnie do którejś z nich, na pewno nie podjąłbym takiej pracy. Robiły wrażenie naprawdę nieszczęśliwych. Przepaliły się w nich wszystkie bezpieczniki, podczas gdy u pana Pozzo nadal działały. Wcale nie był do nich podobny. To wojownik filozof, Jedi z *Gwiezdnych wojen*… Emanuje z niego siła.

W restauracji – nie zamierzałem używać słowa „refektarz" – nie wolno było rozmawiać. Wszyscy przeżuwali i jednocześnie się modlili, taka jest tamtejsza reguła. Kiedy pomyślałem, że w odległości zaledwie dwudziestu minut jazdy jest szwedzki stół, gdzie można by się najeść do woli… Pan Pozzo i ja nie patrzyliśmy

na siebie. Staraliśmy się unikać swojego wzroku, bo natychmiast parsknęlibyśmy śmiechem. Czytałem w jego myślach, a on w moich. Nie zagłębialiśmy się w żadne medytacje, ani on, ani tym bardziej ja. Z kąta zerkała na mnie kobieta prowadząca ten kurs. Jeśli nie okazałaby się zbyt cnotliwa, zabrałbym ją do pontiaca i spędzilibyśmy szaloną noc w Quebecu!

Tyle tylko, że nie mogę opuścić pokoju przez okno. Nie jest zaryglowane, nie ma krat, ale od zewnątrz tarasujące metalowe schody awaryjne. Gdyby wybuchł pożar, byłaby tylko jedna ofiara. Modlono by się za moją duszę, nazywano by mnie świętym Abdelem… Jestem uziemiony. Kompletna cisza, najmniejszego szmeru, jesteśmy zagubieni gdzieś na kanadyjskiej wsi. Pohukuje sowa, jakaś kapucynka chrapie, schody awaryjne są solidnie przymocowane do ściany. Nic nie mogę zrobić. Kładę się do łóżka.

Nazajutrz puszczam oko do szefowej kursu, którą spotykamy na korytarzu.

– Cześć! Czy to prawda, że przyjechaliście z Francji? – pyta nas prosto z mostu.

Najwyraźniej znała zwyczaje tego rodzaju seminariów. Mówiła po imieniu do tutejszych zakonnic. Jeśli pozwalała sobie odzywać się tak głośno, to chyba nie były jej obce prawdziwe reguły tego klasztoru. Sądziłem, że w tym miejscu w ogóle nie wolno rozmawiać.

– Tak, jesteśmy z Paryża…

– Usiądźcie dziś wieczorem w kantynie obok mnie. Zawrzemy znajomość…

* * *

Z trzech osób – pan Pozzo, Laurence i ja – nasza grupa szepczących powiększyła się do czterech. Następnie do pięciu, siedmiu, gdy dołączyły do nas kolejne seminarzystki. Potem było już dziesięcioro, piętnaścioro, a w połowie tygodnia nasza grupa składała się z dwudziestu osób! Już nie szeptaliśmy, lecz głośno śmialiśmy się przy naszym stole. Z twarzy, na których widziałem tyle cierpienia na początku naszego pobytu, nagle zniknęło napięcie. Pod koniec tygodnia została tylko mała grupa trwających uparcie w depresji. Kapucynki nie starały się już nas uciszać, lecz śmiały się z nami do rozpuku.

– Czy siostry nie mogłyby zmienić nazwy tego kursu?

– Dlaczego, Abdelu, nie podoba ci się nazwa „terapia przez miłość”?

– Sądzę, że terapia przez śmiech jest o wiele bardziej skuteczna.

34

Pan Pozzo regularnie wygłaszał wyczerpujące go wykłady dla studentów znanych szkół handlowych, w których również mu towarzyszyłem. Mówił im o „brutalności kapitalistów”, o „ujarzmianiu pracowników albo ich wykluczeniu”, o „finansowych kryzysach, wobec których rządy państw są bezsilne i które doprowadzają pracowników do nędzy”. Zwracał się na „ty” do wszystkich studentów stanowiących jego audytorium, by przyciągnąć ich uwagę. Ustawiałem jego fotel na podwyższeniu, frontem do dwudziestoletnich smarkaczy w garniturach. Sam siadałem na krześle z boku, głowę opierałem o ścianę. Nużyło mnie słuchanie wykładu, przysypiałem. Jednak od czasu do czasu budziło mnie jakieś zaskakujące zdanie, powiedziane bardziej dobitnie niż inne.

– Sprawa etyki jest twoim osobistym problemem, od ciebie zależy, co zrobisz. Etyka tkwi głęboko w tobie, w twoim wnętrzu, w tajemnicy, w milczeniu. Twoja moralność jest taka jak twój stosunek do innego człowieka.

W tym momencie nie wiedziałem, o czym mówi. O jakim milczeniu, o jakim wnętrzu? O jakim innym człowieku. Czyja nim byłem? Przed swoim wypadkiem, gdy był w pełni sił fizycznych, gdy kąpał się w drogim szampanie le Pommery jak moja matka w oleju arachidowym, czy w ogóle spojrzałby na mnie? A gdybym został zaproszony na imprezę organizowaną przez jego nieznośną

córeczkę, z pewnością wyszedłbym stamtąd z laptopem pod pachą. Jednak dzisiaj, kiedy zaprasza podobne sobie smarkule, to ja zapewniam im bezpieczeństwo.

Ten wielki nieruchomy mędrzec, z umysłem górującym nad jego nieszczęsną cielesną powłoką, ten niezwykły człowiek pozbawiony ciała i ziemskich potrzeb dorzuca jeszcze jedno zdanie:

– Dopiero kiedy zobaczysz tego drugiego człowieka, będziesz umiał patrzeć i działać w społeczeństwie.

Czy on w to naprawdę wierzył? Chłopcy, których miał przed sobą, myśleli tylko o tym, żeby się nawzajem pożreć, jak to bywa wśród kolegów z tego samego rocznika, synów bogatych ludzi! Wszyscy wielcy szefowie musieliby się poharatać na paralotniach, żeby zacząć dostrzegać innych ludzi i szanować ich takimi, jakimi są…

Dobrze by również było, żeby faceci mojego pokroju przestali w ogóle kraść. Jak mówi pan Pozzo, trzeba do słów „solidarność”, „pogoda ducha”, „braterstwo” i „szacunek” dodać jeszcze słowo „pokora”. Świetnie to rozumiem, ale ja i tak jestem najlepszy. Zostało to sprawdzone, dowiedzione, uznane przez bossa. Natomiast pokora… Znowu zapadłem w drzemkę.

* * *

Popełniałem błędy, moje gesty bywały niezręczne, dawałem się ponieść złości, mówiłem niekiedy przykre rzeczy. Pan Pozzo przeprowadził się do nowego mieszkania na ostatnim piętrze świeżo postawionego budyn – ku – oczywiście o bardzo wysokim standardzie – w tej samej dzielnicy. Szerokie okna od podłogi do sufitu, od południowej strony, prawdziwa łaźnia. Nawet jemu było za gorąco. Winda okazała się dostatecznie szeroka, żeby zmieścił się

w niej jego elektryczny wózek i ja. Kiedy jednak na bardzo wąskim chodniku przed wejściem stawał jakiś samochód, nie można było wyjść.

Pewnego dnia, gdy rano udawaliśmy się do kawiarni, wyjazd zablokowała nam gablota, której właściciel stał obok i rozmawiał z jakimś typem na ulicy. Poprosiłem go, żeby przestawił wóz.

– To potrwa tylko minutę – mruknął.

Mija minuta.

– Niech pan przestawi swój samochód.

– Minuta, przecież powiedziałem!

Facet ma z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, waży ze sto kilo, a ja sięgam mu do ramienia. Walę pięścią w maskę. Robi się wgniecenie na poziomie chłodnicy. Facet zaczyna mi wymyślać. Wpadam w złość.

Kilka minut potem, w drodze do kawiarni, pan Pozzo udziela mi na swój sposób małej lekcji grzeczności.

– Abdelu, nie powinieneś był…

Miał rację. Wkrótce przyszło wezwanie do stawienia się przed sądem. Facet oskarżył mnie o pobicie, dostarczył nawet zaświadczenie lekarskie, że musiał wziąć zwolnienie z pracy na osiem dni. Bez większych problemów przekonałem sędziego, że taki mały facet jak ja, pomocnik człowieka sparaliżowanego, nie mógł zrobić krzywdy podobnemu kolosowi. Zostałem uniewinniony. I kto był najlepszy?

Może jednak nie byłem najlepszy. Zdarzyło się, że kiedy go niosłem, wysunął mi się z rąk. Okazał się w tym momencie za ciężki i nie udało mi się go ochronić. Uderzył się w czoło. Powinienem

raczej powiedzieć, że to ja uderzyłem go w czoło. Tylko ja byłem za to odpowiedzialny. Na czole od razu pojawił się guz, który szybko urósł do wielkości jajka. Zupełnie jak na głowie kota Sylwestra, kiedy mysz uderzyła go patelnią! Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Pobiegłem po lusterko, chciałem, żeby zobaczył guza, zanim zniknie. W niektóre dni śmiał się razem ze mną. Kiedy indziej nie śmiał się wcale. Mówił:

– Już nie mogę, nie mogę dłużej wytrzymać, że jestem taką ruiną…

Rzeczywiście, czasami pan Pozzo miał dość.

W czasie wykładów nigdy nie zapominał napomknąć o tym, że nie wolno poddawać się zniechęceniu, upadać na duchu. Mógł być ze mnie dumny – upadliśmy, ale tylko ten jeden raz.

35

Kiedy Mireille Dumas zaproponowała Philippe'owi Pozzo di Borgo zrobienie reportażu o nim, a tym samym o relacjach nas obu, zwróciła się z tym najpierw do niego. Zwróciła się do niego jak do Ojca Chrzestnego, z należytym szacunkiem. Działo się to w 2002 roku, Pozzo niedawno opublikował swoją pierwszą książkę. Był właścicielem swojej historii i co za tym idzie – historii dotyczącej nas obu. Producentka nie skonsultowała się bezpośrednio z młodym Abdelem, o którym autor wypowiadał się w swojej książce nie zawsze pochlebnie. Zresztą ja nie odpowiadałem na telefony, kiedy nie znałem pojawiającego się na wyświetlaczu numeru, nie odpowiadałem, gdy nie podobał mi się ton w poczcie głosowej, ignorowałem całkowicie e-maile, które przepełniały moją skrzynkę odbiorczą.

To pan Pozzo zapytał mnie osobiście, czy nie wziąłbym udziału w poświęconym mu filmie dokumentalnym. Dałem jedyną możliwą odpowiedź, jaką mogłem dać temu człowiekowi, kiedy prosił mnie o cokolwiek. Zgodziłem się.

Mireille Dumas i jej ekipa byli tak sympatyczni, że nie czułem się wcale spięty. Na planie reportażu pod tytułem *Życie prywatne, życie publiczne* pan Pozzo i ja zostaliśmy posadzeni obok siebie, a dziennikarka zadawała pytania, do każdego z nas odnosząc się tak samo. Nie czułem się zażenowany, ale szczególnie dumny też nie. Popatrywałem na dekoracje, starałem się odpowiadać poprawnie,

naturalnie, wyraźnie, bez przymusu. Usłyszałem, że wymawiam słowo „przyjaźń”. Mimo nalegań z jego strony, zawsze zwracałem się do mojego przyjaciela per „pan”. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nie byłem w stanie mówić do niego po imieniu. Zresztą dzisiaj jest tak samo. Jednak w tytule tej książki forma „ty” pojawiła się w naturalny sposób, niczym wołanie serca…

Następnego dnia po emisji audycji dowiedzieliśmy się, że nasza historia miała rekordową oglądalność. Nie bardzo w to wierzyłem i nadal nie czułem żadnej dumy. Tak jak słusznie powiedział pan Pozzo, jestem „nieznośny, zarozumiały, próżny, gwałtowny, niestały, ludzki”, ale nie szukam sławy, nie chciałbym, żeby mnie rozpoznawano na ulicy, i nie widzę się w roli człowieka rozdającego autografy. Nie jest to kwestia skromności – nie mam jej w sobie. Po prostu nie zrobiłem niczego takiego, żeby zasługiwać na podziw nieznanych mi ludzi. Popychałem fotel, starałem się ulżyć temu człowiekowi, którego cierpienia wydawały się nie do zniesienia, byłem przy nim przez kilka trudnych lat. Trudnych dla niego, nie dla mnie. Byłem, jak sam mówił, jego „diabłem stróżem”. Przyznam szczerze, że nie kosztowało to mnie wiele, nawet dużo się nauczyłem i jeszcze raz odwołam się do stwierdzenia, które wyjaśnia to, co wydaje się niezrozumiałe – przecież różnimy się czymś od zwierząt…

Później, kiedy różne ekipy realizatorskie kolejno zamierzały przedstawić naszą historię w kinie, pytano mnie oczywiście o zgodę, ale nie mogłem dać innej odpowiedzi niż Ojciec Chrzestny. Nie prosiłem, by pokazano mi scenariusz, ani nie pytałem, kto będzie grał moją rolę. Czułem sympatię do Jamela Debbouze, ale wiedziałem, że nie jest odpowiednim kandydatem. Już po

nakręceniu filmu odkryłem, że wiele mnie łączy z Omarem Sy – nie tylko dorastał w blokowisku w Trappes, ale także nie był wychowywany przez własnych rodziców. Podobnie jak ja został ofiarowany w prezencie. Po raz pierwszy spotkałem go w As-Sawira, gdzie Khadija – druga żona pana Pozzo – zorganizowała w tajemnicy imprezę urodzinową, gdy jej mąż skończył sześćdziesiąt lat. Omar usiadł koło mnie, był bezpośredni, otwarty, naturalny. Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy się znali od zawsze.

Film sprawił mi niespodziankę. Kiedy oglądałem na ekranie każdą scenę, przed oczami stawały mi wszystkie te chwile, które przeżyłem naprawdę. Zobaczyłem siebie, gdy miałem dwadzieścia pięć lat i wyjaśniałem policjantom, że mój szef ma atak nadciśnienia i trzeba go natychmiast zawieźć do szpitala, bo to kwestia życia i śmierci! W głębi duszy zastanawiałem się, czy naprawdę byłem aż do tego stopnia nieświadomy, dlaczego zatrzymał mnie przy sobie. Przypuszczam, że ani on, ani ja, ani nikt inny nie zdoła zrozumieć tej przedziwnej sprawy. Kiedy zadzwoniłem do jego drzwi, nie byłem bynajmniej szlachetnym facetem. Wygląda na to, że Olivier Nakache i Éric Tolédano stworzyli mojego sobowtóra. Drugiego Abdela, jednak w lepszym wydaniu. Zrobili z mojej postaci gwiazdę filmową, podobnie jak z postaci Philippe'a, którego grał Francois Cluzet. Był to oczywiście najlepszy sposób przekształcenia dramatu w komedię, zgodnie z wolą pana Pozzo, który chciał, żeby ludzie się śmiali, dzięki czemu mógł uniknąć taniej litości i współczucia. Nie przypominam sobie, żebym w ogóle podpisywał kontrakt z producentem filmu. W jakim celu zresztą miałbym go podpisywać? Co ja, Abdel Yamine Sellou, miałem do gadania? Najwyżej mogłem się wykłócać. A wykłócanie się należało do pana Pozzo.

W prawdziwym życiu nie byłem jego partnerem na równych prawach, odgrywałem drugorzędną rolę, byłem po prostu statystą. Nie jestem skromny – jestem najlepszy. Jednak to, co w rzeczywistości robiłem, było łatwe.

Po telewizji, kinie zwrócili się do mnie wydawcy. Tym razem bezpośrednio. „Ludzie znają Drissa, chcą poznać Abdela" – powiedzieli mi. Ostrzegłem ich – mały, tłuściutki Arab może się wydać mniej sympatyczny niż wielki Murzyn z olśniewająco białymi zębami. Roześmiali się i mi nie uwierzyli. Tym gorzej dla nich… Jestem graczem, zagrałem *va banque*. Postanowiłem opowiedzieć o moim życiu, po kolei, od początku. Najpierw Belkacem i Amina, dla których nie zawsze byłem dobrym synem. Dopiero teraz, po czterdziestu latach, zdaję sobie z tego sprawę. Brawo, Abdelu… Potem stałem się bezczelnym spryciarzem, siedziałem w więzieniu. W porządku, Abdelu, podnieś głowę. Powiedz im wszystkim – nie było przecież tak źle! Wreszcie przyszła pora na pana Pozzo. Bo to on jest najważniejszy, *Monsieur* Pozzo przez duże M i duże P, z jego niezwykłą inteligencją i godnością.

I w tym momencie nagle się coś zakleszcza.

Kim jestem, żeby o nim mówić? Uspokajam się, pocieszam, usprawiedliwiam samego siebie: tego, co zamierzam tu opowiedzieć, nie ukrywa sam pan Pozzo. To on zaraz po pierwszym spotkaniu chciał, żeby Francois Cluzet asystował przy zabiegach, którym jest codziennie poddawany. Odleżyny, kawałki martwej skóry, które odcina się nożyczkami, sonda… Nikt nie będzie miał Cluzetowi za złe jego nieobecności z powodu skrępowania wobec człowieka sparaliżowanego, który nie panuje nad swoim ciałem nienależącym już zresztą do niego, tylko do lekarzy, chirurgów, sanitariuszy,

pielęgniarek, do różnych pomocników życia codziennego, którzy się nim zajmują. Należącym do aktora, któremu powierzono tę rolę, do widzów, którzy mają zrozumieć morał wynikający z tej historii, że utrata samodzielności fizycznej nie oznacza utraty życia. Że osoby niepełnosprawne nie są jakimiś dziwacznymi istotami, którym można się przyglądać bez żenady, bo nie mają jak uciec przed naszym wzrokiem.

Kim jednak jestem, żeby opowiadać o cierpieniu, wstydzie, kalectwie? Po prostu miałem więcej szczęścia niż cała masa ślepców, którzy nie widzieli nic, dopóki nie zobaczyli filmu *Nietykalni*.

Podjąłem się pracy u Philippe'a Pozzo di Borgo, bo byłem młody i głupi, chciałem jeździć pięknymi autami, podróżować w pierwszej klasie, spać w zamkach, podszczypywać bogate panienki i bawić się, gdy udając oburzenie, z cicha popiskiwały. Niczego nie żałuję. Ani dawnej motywacji, ani tej, którą jeszcze dziś się kieruję. Jednak opowiadając w tej książce o moim życiu, zdałem sobie sprawę z jednej rzeczy. Z tego, że dorosłem dopiero przy panu Pozzo, przez duże P, będąc już całkiem dorosły. I że apetyt na życie pochodzi z serca. Teraz ja z kolei staję się liryczny jak sztuka abstrakcyjna…

Ofiarował mi swój fotel niczym laskę, na której mogę się opierać. Korzystam z niej do dziś.

V
NOWY POCZĄTEK

36

Po kilku latach spędzonych u jego boku powiedziałem panu Pozzo „stop”.

Miałem dość krzyżowania jego rąk na brzuchu, unoszenia torsu, przenoszenia go na wózek, układania nóg, wkładania na stopy butów do joggingu, których podeszwy pozostaną na zawsze jak nowe… Powiedziałem „stop”.

– Co to ma oznaczać? Abdelu, zamierzasz mnie porzucić?

– Nie, będę nadal to robić, nie mogę jednak traktować tego jako moją pracę. Dalej może pan na mnie liczyć, ale obaj zajmiemy się jeszcze czymś innym. Zawiążemy spółkę.

– Abdelu, to ja potrzebuję ciebie, a nie odwrotnie.

– Oczywiście, że pana potrzebuję! Chciałbym, żebyśmy razem prowadzili jakiś interes. Ja mam sprawne ręce, łatwo dogaduję się z ludźmi, brak mi jednak dobrych manier. Robota papierkowa, księgowość to rzeczy, o których nie mam pojęcia. Nie umiałbym również kłaniać się bankierom. Pan to potrafi.

– Co do kłaniania się, drogi Abdelu, to trochę przeceniasz moją elastyczność.

Wpadł na świetny pomysł, który tak mi się spodobał, że reklamując go, mówiłem, iż to ja jestem jego autorem – wynajem samochodów osobom prywatnym z dostarczeniem wozu tam, gdzie sobie tego życzą. Nie trzeba przyjeżdżać do agencji – klient dzwoni, podaje swój adres, a my dostarczamy mu samochód, dajemy

kluczyki i wracamy własnym środkiem transportu. Firma będzie się nazywała Teleloc, będzie należała do pana Pozzo, wyłącznie do niego, ja mam się tylko uczyć.

Boss postanowił, że na początku obejdziemy się bez bankierów.

– Jak to? Trzeba będzie kupić ze dwadzieścia wozów!

– Nie martw się, Abdelu, mam trochę oszczędności.

– Oszczędności? Chyba jest to coś, co zwykle określa pan jako eufe…

– Eufemizm.

Uwielbiam uczyć się nowych słów.

Pan Pozzo stawia jeden warunek: nigdy nie usiądę za kierownicą żadnego z wynajmowanych samochodów.

Ponieważ rolls-royce'a też skasowałem. I znowu nie było w tym wcale mojej winy. Ogrzewanie działało aż za dobrze w tym pałacu na czterech kółkach, a panu Pozzo jak zawsze było zimno. Jechaliśmy w nocy na południe Francji. W samochodzie temperatura dochodziła do dwudziestu ośmiu stopni. Jak miałem nie zasnąć? No i trach – maska wbiła się w zderzak starego golfa. Zaraz potem usłyszałem inny dziwny odgłos, coś w rodzaju „bum"! To głowa mojego leżącego z tyłu pasażera walnęła w oparcie przedniego fotela. Przyjechali strażacy i najpierw zainteresowali się mną.

– Czy nic się panu nie stało?

– Nic, zupełnie…

Potem zajrzeli do tyłu. Otworzyli drzwi, zobaczyli pana Pozzo i od razu przestali się nim interesować.

– Z tyłu jest trup!

Nie można nazwać tego delikatnością! Ulokowałem pana Pozzo z powrotem na tylnej kanapie, wymasowałem guza, który wyrósł mu

na skroni, lewarem podniosłem maskę i ruszyliśmy ponownie w drogę.

– W porządku, Abdelu? Zasnąłeś?

– Ależ skąd! To ta kobieta przed nami zajechała mi drogę!

Punkt pierwszy – Abdel ma zawsze rację.

Punkt drugi – kiedy Abdel się myli, wróć do punktu pierwszego.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem uczciwy.

* * *

Wynajęliśmy biuro w Boulogne, w którym zainstalowaliśmy firmę Téléloc. Trzy pokoje. Pierwszy służył za sypialnię dla personelu, który stanowili Youssef, Yacine, Alberto i Driss. Byli to koledzy z mojej dzielnicy, jedni z pizzerii, drudzy z Trocadéro. Wszyscy oni nie mieli dokumentów – ani prawa jazdy, to oczywiste. Przebywali w biurze dwadzieścia cztery godziny na dobę, pościel leżała na podłodze, resztki kawy pleśniały w filiżankach, bez ustanku parzyła się miętowa herbata. W drugim pokoju urzędowała Laurence, którą zatrudniliśmy, by wykonywała wszelkie prace wymagające oprócz rąk sprawnego mózgu. Trzecie pomieszczenie, w którym były krany, służyło za kuchnię, łazienkę… i budę dla dwóch pitbullów Youssefa, które obficie skrapiały wykładzinę. W takim otoczeniu biedna Laurence miała powody do niezadowolenia.

– Abdel, powiedz Youssefowi, żeby wyprowadzał psy na dwór, bo inaczej rezygnuję – buntowała się.

– Chciałaś odprawiać pokutę! Masz teraz okazję jak nigdy!

Laurence śmiała się, bo miała poczucie humoru.

Przygoda trwała parę miesięcy. W tym czasie odesłaliśmy kilka samochodów do naprawy. Dostawaliśmy od klientów reklamacje, że

auta przyjeżdżały brudne, że bak był pusty i że nasi ludzie żądali odstawienia wozu do Boulogne… albo gdzie indziej! Co za bezczelność! Wysłuchaliśmy także licznych skarg sąsiadów na pitbulle, które obsikiwały również windę. Zostałem też zatrzymany przez policję.

– Abdelu, nie wkłada się klientów do bagażnika – pouczał mnie pan Pozzo, gdy wróciłem z komisariatu.

Klient, o którym mowa, wynajął samochód i nie chciał go potem zwrócić. Pojechałem do niego osobiście w towarzystwie

Yacine'a. Chcieliśmy tylko dać małą nauczkę złodziejowi. Uznał zresztą swoją winę, bo nie wniósł przeciw nam skargi.

– Abdelu, tak dalej być nie może. Firma powinna nazywać się nie Téléloc, ale Télészok! Chyba rozumiesz, że musimy ją zlikwidować?

* * *

Ojciec Chrzestny był szlachetnym człowiekiem. Nigdy nie żądał pokazania ksiąg rachunkowych.

– *Monsieur* Pozzo, spróbujemy czegoś innego?

Był graczem, może jeszcze większym niż ja.

– Masz jakiś pomysł, Abdelu?

– Wyprzedaże, licytacje, na tym można nieźle zarobić, prawda?

– Znowu samochody?

– Nie, myślę raczej o aukcjach nieruchomości…

Eleganckie licytacje przy świecach.

Należało znaleźć mieszkania będące w złym stanie, odnowić je i szybko odsprzedać, inkasując przy okazji ładną sumkę. Niestety, Alberto, Driss, Yacine, Youssef i jego pitbulle nie znali się tak dobrze na hydraulice ani na malowaniu ścian jak na prowadzeniu auta. Pan

Pozzo szybko nakierował mnie w stronę innej działalności, w której moglibyśmy się wykazać naszymi zdolnościami. Wymyślił coś zupełnie nowego – zmianę klimatu.

– Abdelu, Paryż już mi nie odpowiada. Za zimno, za wilgotno… Czy mógłbyś mi zaproponować jakieś bardziej słoneczne miejsce?

– Nie brak takich. Może Antyle? Reunion? Brazylia?

O tak… Brazylia…

Wyobrażałem już sobie, jak popijam sok z guajawy na plaży marzeń w towarzystwie *garotas* w stringach.

– Brazylia to chyba trochę za daleko. Moje dzieci są już duże, ale wolałbym być od nich nie dalej niż dwie, trzy godziny lotu. A gdybyśmy tak sprawdzili, jak to wygląda w Maroku?

– W Maroku? Genialnie, uwielbiam Maroko!

To prawda. Zawsze uważałem, że najlepszy kuskus był u matki Brahima.

37

W Maroku znałem króla. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, oddaliśmy sobie wiele przysług, wiedziałem, że mogę liczyć na niego w zorganizowaniu naszego pobytu w tym kraju. Mam na myśli Abdela Moula Pierwszego, króla kurnika. Poznaliśmy się w Paryżu w trudnych okolicznościach, na ulicy. Doszedł do wniosku, że życie w ojczystych stronach będzie lepsze.

Pan Pozzo i ja wylądowaliśmy w Marrakeszu. Gdy wyszliśmy z samolotu, owionęło nas miłe, ciepłe powietrze, zobaczyliśmy palmy.

– Ale fajnie! Prawda, *monsieur* Pozzo?

Czekała na nas piękna limuzyna.

– Wspaniała! Prawda, *monsieur* Pozzo?

Udaliśmy się pod adres, który wskazał nam mój przyjaciel… Typowy marokański dom, *riad*. Zamknięty na wszystkie spusty, a ja nie miałem klucza.

– Idiotyczna sprawa! Nie uważasz, Abdelu?

Nie dałem za wygraną. Znałem inny *riad* w starej dzielnicy. Limuzyna zawiozła nas na plac Jemaa-el-Fna. Zaklinacze węży usuwali się na bok, widząc wózek elektryczny, który ciągnąłem, bo nie był w stanie jechać po wąskiej, niebrukowanej uliczce. Piesi szli blisko murów, prawą stroną, samochody jechały lewą, a my podążaliśmy środkiem, wymijając zygzakiem wyboje. Pan Pozzo żałował już, że wybrał się w tę podróż. Żałował jeszcze bardziej,

kiedy stwierdził, że jedyny pokój znajdujący się na parterze *riadu* otwarty jest na patio i nie ma w nim żadnego ogrzewania.

– Pójdę zdobyć grzejnik elektryczny. Niech się pan stąd nie rusza! – powtarzam swój stary dowcip.

– Nie ruszę się, Abdelu, nie ruszę…

Zdarza się, że coś mi się nie układa. Tym razem była to mała przepychanka z niezbyt usłużnym strażnikiem na parkingu. Kiedy jednak wróciłem, miałem czym zmienić tę klitkę w saunę.

I musiałem się spieszyć, bo pan Pozzo cały drżał z zimna.

– No proszę, sam pan widzi, że jeszcze się pan rusza!

Następnego dnia udaliśmy się w podróż po kraju. Moje umiejętności jako kierowcy zostały wystawione na ciężką próbę. Utykaliśmy w drodze wiele razy, ale nigdy nie była to moja wina. Kto by pomyślał, że może być tyle śniegu na górskich drogach Atlasu albo tyle piasku na pustyni! W końcu zatrzymaliśmy się w Saidii, zwanej „błękitną perłą Morza Śródziemnego", położonej na samej północy tego kraju, tuż przy mojej rodzinnej Algierii. Bajeczna plaża, dziesiątki gigantycznych hoteli i nic do roboty. Zamierzaliśmy założyć park rozrywki dla turystów. Należało znaleźć teren, uzyskać odpowiednie zezwolenia od prefekta, z którym trudno było się skontaktować. Dni mijały bez większych efektów.

W recepcji hotelu, gdzie zamieszkaliśmy, pracowała śliczna młoda dziewczyna. Gdy napotkałem jej wzrok, coś się stało. Coś zupełnie nowego. Zatkało mnie. Podobnie niewyraźnie się czułem, kiedy po raz pierwszy przyszedłem do domu pana Pozzo. Pomyślałem sobie, że mamy tu być krótko.

„Abdelu, pamiętasz, że na ulicy Leopolda Drugiego też miałeś być krótko?" – zadrwił we mnie Jiminy Cricket z bajki o Pinokiu.

Odpowiedziałem mu w duchu, żeby sobie poszedł do diabła. Musiałem myśleć na głos. Piękna recepcjonistka popatrzyła na mnie i się roześmiała. Pewnie uznała, że jestem kompletnie zbzikowany. Nie najlepszy początek.

Pan Pozzo i ja podeszliśmy do naszego projektu bardzo poważnie, ale bardzo szybko przekonaliśmy się, że będziemy potrzebowali miesięcy, by go skonkretyzować. Wróciliśmy do Paryża i wciągnęliśmy w sprawę Laurence, bo znowu niezbędny był sprawny mózg. Odbyliśmy wiele podróży tam i z powrotem. Zatrzymywaliśmy się oczywiście zawsze w tym samym hotelu. Za każdym razem piękna dziewczyna uśmiechała się do mnie, uprzedzająco grzeczna, zdystansowana, tajemnicza. Czułem się przy niej jak idiota.

– Abdelu Yaminie, podobasz mi się – powiedziała.

Potem:

– Abdelu Yaminie, bardzo mi się podobasz.

A w końcu:

– Abdelu Yaminie, jeśli mnie chcesz, musisz się ze mną ożenić.

Oto jaka sprawa… Miała liczne rodzeństwo. Ale żaden starszy brat nie mógł jej zmusić do milczenia, sama kierowała swoim życiem i dokonywała własnych wyborów.

– Czy to według pana dobry pomysł, żebym poślubiła Abdela Yamine'a? – zapytała pana Pozzo.

Dał jej swoje błogosławieństwo niczym ojciec. Jako czyj ojciec? Jej czy mój?

* * *

Piękna dziewczyna to Amal. Mamy troje dzieci – Abdel Malek urodził się w 2005 roku. Uważam, że to intelektualista w naszej rodzinie – zawsze grzeczny, dobrze się uczy, nie bije za często młodszego brata. Nasz drugi syn, Salaheddine, przyszedł na świat rok później. Od urodzenia ma problemy ze zdrowiem, przebył wiele poważnych operacji, bardzo przykra sprawa. W domu nazywamy go Didine, ale ma w sobie coś z Rocky'ego Balboa. Rozpoznaję w nim siebie i kiedy przepowiadam mu piękną karierę złodzieja, jego matka się wścieka. I wreszcie nasza córka, Keltoum, dołączyła do nas w 2007 roku, ma piękne kręcone włosy, jest sprytna niczym lis, urocza i figlarna. Mógłbym ją nazywać Cukiereczek. Amal postanowiła, że na razie na tym się zatrzymamy. To ona decyduje.

* * *

Podczas jednej z wizyt w Marrakeszu pan Pozzo poznał prawdziwą perłę o imieniu Khadija. Zamieszkali razem w As-Sawira, na wybrzeżu, gdzie nigdy nie jest ani za ciepło, ani za zimno. Wychowują dwie adoptowane małe dziewczynki. Mają się dobrze. Często ich odwiedzam podczas wakacji, sam albo z rodziną. Dzieci bawią się razem w basenie, dom rozbrzmiewa ich krzykami i śmiechem, panuje radość, tętni życie…

Nasz projekt parku rozrywki nigdy nie ujrzał światła dziennego, ale szczerze mówiąc, kto by się tym przejmował!

38

Powiedziałem panu Pozzo „stop”, kiedy miałem wypadek. W tym czasie nie byłem już formalnie jego pracownikiem. Nadal jednak zawoziłem go tam, gdzie było trzeba, wykonywałem wszystkie czynności, których nauczyłem się przez trzy lata.

W październiku 1997 roku, gdy dzieci dostały już wolne na Wszystkich Świętych, poprosił mnie, bym zawiózł jego syna Roberta-Jeana do babci w Normandii. Chłopiec usiadł z tyłu, jak zawsze cichy i miły. Yacine, który chciał się przewietrzyć, zajął miejsce obok mnie. Zasiadłem za kierownicą mojego safrane’a (sprzedałem starego renault 25 i zamieniłem na ten model). Dojechaliśmy zaledwie do porte Maillot, do wylotu z tunelu w kierunku La Defense, kiedy samochód nagle stanął. Silnik zgasł bez żadnego ostrzeżenia, na środkowym pasie. Włączyłem światła awaryjne. Inne samochody najpierw na nas trąbiły, zanim kierowcy zrozumieli, że nie stanąłem im na złość, a potem zaczęły nas omijać to z prawej, to z lewej strony. Bardzo szybko przyjechała służba bezpieczeństwa ruchu. Dwaj mężczyźni w odblaskowych kombinezonach rozstawili świetlne znaki wokół safrane’a, które miały ostrzegać z daleka wszystkich kierowców. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać.

Yacine i Robert-Jean zostali w samochodzie. Ja natomiast stanąłem oparty o drzwi od strony kierowcy i wypatrywałem pomocy drogowej. Nie niepokoiłem się, nie czułem się zagrożony.

Przez jakieś dziesięć minut obserwowałem samochody, które mniej więcej pięćdziesiąt metrów przede mną skręcały w lewo, zgodnie ze wskazującymi im drogę jaskrawymi pomarańczowymi światłami ostrzegawczymi. W pewnym momencie zobaczyłem ciężarówkę z naczepą. Kierowca trochę za późno zmienił kierunek. Znalazłem się między naczepą a swoim wozem. Zdążyłem tylko krzyknąć, upadłem na ziemię i straciłem przytomność.

Jak przez mgłę przypominam sobie, że zabrał mnie ambulans. Podniesiono mnie z ziemi, położono na noszach, a ja z bólu zemdlałem po raz drugi. Ocknąłem się w szpitalu w Neuilly, gdzie powiedziano mi, że następnego dnia będę operowany. Philippe Pozzo di Borgo szybko musiał znaleźć nowego pomocnika. Wyobrażam sobie, jak ten facet czuł się w nowej pracy! Szef kazał mu się wozić do szpitala, bo chciał odwiedzić jego poprzednika na tym stanowisku. Odsyłał gościa do kawiarni na czekoladę, żeby się go pozbyć.

– No i jak sprawuje się ten nowy?

– Jest… w porządku.

– Nie trzeba być asem w takiej robocie…

– A ty, Abdelu, nie jesteś asem, jeśli chodzi o eufemizmy!

– Faktycznie… Kto jednak jest najlepszy?

– Oczywiście ty, Abdelu, kiedy staniesz na nogi!

Warto było zobaczyć ten obrazek – sparaliżowany arystokrata i mały Arab z roztrzaskanym biodrem, obaj w fotelach na kółkach, flirtujący z pielęgniarkami…

– Jak długo tu będziesz, Abdelu?

– Przynajmniej kilka tygodni. Lekarze nie są pewni, czy operacja da pożądane efekty. Na razie uniknąłem protezy, ale jest problem

z więzadłami, nie wiem dokładnie…

– Ale wiesz o tym, że zawsze będziesz u mnie mile widziany, prawda?

– Jasne, przecież jestem najlepszy!

Nie zawsze jest łatwo powiedzieć dziękuję…

* * *

Po kilku miesiącach od wypadku wróciłem do pracy albo raczej do współpracy z panem Pozzo. W tym właśnie okresie założyliśmy firmę Teleloc, następnie firmę wykupu mieszkań z wyprzedaży, a w końcu wymyśliliśmy przeprowadzkę do Maroka. W ciągu tych wszystkich lat musiałem poddawać się kolejnym operacjom, nie licząc tygodni rehabilitacji. Nie miałem jeszcze trzydziestu lat, uważałem, że jestem za młody, by znaleźć się w grupie inwalidów drugiej kategorii, zaledwie stopień niżej od pana Pozzo. W dokumencie ubezpieczenia społecznego napisano, że nie wolno mi podejmować pracy, bo jest to zbyt niebezpieczne dla mojego zdrowia! Uznałem, że mocno przesadzają… Najlepszy dowód, jak bardzo się zmieniłem. Nigdy jednak nie przyznałbym się do tego głośno. Jak zawsze udawałem zucha, nie zastanawiając się nad tym, co mówiłem.

– Koniec z głupstwami, Abdelu, przekonasz się, czym naprawdę jest życie – powtarzał pan Pozzo.

– To prawda, chcę jeszcze więcej z niego korzystać! Teraz kiedy jestem połamany, będą mi płacili za nieróbstwo. Piękna perspektywa.

Pan Pozzo robił wszystko, co mógł, żeby wlać mi trochę oleju do głowy. Ja dokładałem starań, by uwierzył, że mu się nie udało.

Dostawać pieniądze za siedzenie w domu – to mnie już nie interesowało. Nie wytrzymałbym, siedząc w jednym miejscu!

Przemawiał do mnie jak ojciec, doradca, mędrzec, mówił o zasadach, o moralności, o wartościach, które były mi zawsze obce. Robił to w sposób łagodny i bardziej inteligentny niż nauczyciele, policja, sąd. Żebym się nie buntował. Mówił do mnie z sympatią, bezpośrednio. Chciał, bym przestrzegał prawa. Trochę dlatego, żeby nie ucierpiało przeze mnie społeczeństwo, ale przede wszystkim dlatego, żeby mnie przed nim chronić. Bał się, żebym nie zadarł znowu z wymiarem sprawiedliwości. Wyznałem mu w chwili słabości niby żartem, że siedziałem jakiś czas w więzieniu Fleury-Mérogis. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale o nic potem nie pytał. Od pierwszego spotkania wiedział, że nie odpowiadałem na pytania lub odpowiadałem byle co. Wiedział, że trzeba mi dać wolną rękę i że nie można mnie do niczego zmuszać. Wiedział, że nie może mnie kontrolować, ale umiał utrzymać mnie w ryzach. W jego nieruchomych rękach to ja byłem marionetką, zabawką, pluszowym zwierzątkiem, lalką. Abdel Yamine Sellou, pierwszy w dziejach zdalnie sterowany żołnierzyk G.I. Joe.

39

Mówię o sobie to, co chcę i kiedy chcę. Niekiedy w prawdzie kryje się oszustwo. Czasami zaś prawda wydaje się tak banalna, że uchodzi za oszustwo. Oszustwa się kumulują, są tak ogromne, że zaczynamy się zastanawiać, czy nie ukrywają jakiejś prawdy… Mówię prawdę, mówię nieprawdę, kto się w tym połapie? Zdarza się jednak, że staję się bardziej otwarty. Reporterzy, którzy przeprowadzali ze mną wywiad podczas programu realizowanego przez Mireille Dumas, otrzymali odpowiedzi na wszystkie pytania. Kamera poradziła sobie z moim uporem! Pokazywała moją twarz w zbliżeniu, kiedy milczałem. Uchwyciła moje spojrzenie rzucane w stronę pana Pozzo. Już same ujęcia mówiły tak wiele. O wiele więcej, niż skłonny byłbym wyrazić słowami.

Gdy zgodziłem się na napisanie tej książki, myślałem naiwnie, że będę mógł robić to w ten sam sposób jak wszystko do tej pory – bez kamer, bez mikrofonów i tym podobnych sztuczek. Mówię, co chcę, milczę, kiedy chcę! Zanim zabrałem się do tej pracy, nie zdawałem sobie sprawy, że byłem gotowy do mówienia. Do wyjaśnienia czytelnikom tego, czego sam sobie jeszcze nie wyjaśniłem. Używam słowa „wyjaśniać”, a nie „usprawiedliwiać”. Czytelnicy zrozumieją, że piszę dla własnej satysfakcji, a nie po to, by wywołać litość. Nie cierpię tej maniery Francuzów, którzy wszystko analizują, wszystko wybaczają, nawet to, co niewybaczalne, pod pretekstem innej kultury, braku wykształcenia, nieszczęśliwego dzieciństwa. Moje

dzieciństwo nie było nieszczęśliwe – przeciwnie: czułem się jak lew na sawannie. Byłem królem. Najsilniejszym, najinteligentniejszym, najbardziej uwodzicielskim. Jeśli dopuszczałem gazelę do wodopoju, to dlatego, że nie byłem głodny. Kiedy jednak byłem głodny, pożerałem ją. Gdy byłem dzieckiem, nie karcono mnie za gwałtowność bardziej niż małe lwiątko za jego instynkt myśliwego. Czy miałoby to być nieszczęśliwe dzieciństwo?

Było to rzeczywiście dzieciństwo, które nie przygotowywało do bycia dorosłym. Ani ja nie zdawałem sobie z tego sprawy, ani moi rodzice. Nie ma kogo za to potępiać.

Nigdy nie opowiadałem panu Pozzo o mojej przeszłości. Próbował delikatnie nakłonić mnie do zwierzeń. Obracałem wszystko w żart, rozumiał więc, że nie mam ochoty na oglądanie się wstecz, i nie nalegał. Jakby od niechcenia kierował mnie na właściwą drogę.

– Pojedź zobaczyć się z twoją rodziną.

– Nawiąż bliższy kontakt z tymi, którzy cię karmili.

– Odwiedź rodzinny kraj.

A ostatnio powiedział:

– Przyjmij tę propozycję napisania książki. To okazja, by zastanowić się nad samym sobą. Zobaczysz, że to bardzo interesujące!

Wiedział, o czym mówi. Przed swoim wypadkiem pędził dwieście kilometrów na godzinę, nie oglądając się nigdy za siebie. Z dnia na dzień unieruchomiony, poddany osiemnastomiesięcznej rehabilitacji w specjalistycznym centrum, otoczony tak samo nieszczęśliwymi jak on kobietami i mężczyznami, zrobił rachunek sumienia. Odkrył, kim jest naprawdę, nauczył się dostrzegać drugiego człowieka, na co do tej pory nie znajdował czasu.

W moim milczeniu i w moich wygłupach Philippe Pozzo dostrzegł niechęć do zwolnienia na drodze życia. Nie ustawał w dodawaniu mi odwagi.

Trzeba było wydarzeń, nad którymi nie miałem kontroli, żebym posłuchał jego rad.

I dlatego na początek pojechałem zobaczyć się z moją rodziną, odwiedzić moją ojczyznę.

40

– Jestem królem ulicy. Wejdź do kurnika! Znajdzie się w nim jeszcze sporo miejsca dla ciebie.

Abdel Moula przedstawił mi kuszącą propozycję: był gotów podzielić się ze mną swoim terytorium. Nie mogłem jednak jej przyjąć. Moim zdaniem wszystkie skrzydlate stworzenia są równe, więc nie widziałem siebie na pozycji numer dwa. Pierwszy albo nic. Do tej pory byłem absolutnie nikim, to powinno było ulec zmianie. Tym bardziej nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zająć miejsce przyjaciela, który potraktował mnie tak szlachetnie. Zresztą źle się czułem w Maroku. Byłem przekonany, że projekt parku rozrywki w Saidii nie udał się w dużej mierze z powodu mojego pochodzenia. Algierczycy i Marokańczycy raczej się nie lubią. Ci pierwsi mają za złe tym drugim, że uważają się za lepszych od nich, górując swoją kulturą i bogactwem. Marokańczycy z kolei zarzucają Algierczykom tchórzostwo, lenistwo, brak ogłady. Urzędnicy marokańscy robili wszystko, by nie dopuścić do mojego małżeństwa z Amal. Musiałem sprowadzić ją do Francji na podstawie wizy turystycznej, żeby wyrwać ją ze szponów jej kraju. Maroko chciało mieć Amal, ale nie mnie.

Szybko przekonałem się, że w Algierii może być łatwiej, bo w tym kraju nie będę uważany za zdrajcę. Abdel Moula zaproponował, że nauczy mnie wszystkiego, co dotyczy hodowli kur, od konstruowania odpowiednich pomieszczeń do wyboru ziarna. Pan

Pozzo odgrywał rolę bankiera. Specyficznego bankiera, który nigdy nie żądał rachunków. I wtedy pojechałem do mojego kraju, żeby znaleźć miejsce dla takiego przedsięwzięcia.

Mijało trzydzieści lat, odkąd wyjechałem z Algierii. Zapomniałem jej zapachy, odgłosy, kolory. Odkrycie ich na nowo wcale mnie nie wzruszyło. Miałem wrażenie, że w ogóle ich nigdy nie znałem. Było to raczej spotkanie, a nie odkrywanie, i robiłem to niechętnie.

Będąc człowiekiem pragmatycznym, pozostałem wierny mojemu kredo, że najważniejszy jest zysk. Mówiłem sobie, że we Francji wszystko już zostało zrobione, że formalności urzędowe są bardzo skomplikowane, że banki nie pożyczają pieniędzy młodym Arabom z kartoteką policyjną, że koszty są ogromne, zwłaszcza dla przedsiębiorstw dopiero się tworzących… „Korzystaj, Abdelu, korzystaj. Masz algierski paszport, kraj, którego nie znasz, otwiera przed tobą ramiona, zwalnia od podatków, od VAT-u i opłat celnych przez piętnaście lat…”.

Zysk… Moje kredo, które pan Pozzo nazywał „filozofią Abdela”. Sądzę, że filozofia to wielkie słowo…

* * *

Przez dobrych parę tygodni objeżdżałem kraj ze wschodu na zachód, z północy na południe. Zatrzymywałem się wszędzie, w każdym mieście szukałem informacji dotyczących działających tam przedsiębiorstw, poziomu bezrobocia. Oglądałem wsie, badałem stan dróg prowadzących na pola, zwiedzałem fabryki i fermy. Zasięgałem języka na temat konkurencji. Nie pojechałem do Algieru. Nie szukałem ulicy, której nazwa napisana była na odwrocie kopert leżących na kaloryferze przy wejściu w czasach mojego dzieciństwa.

Miałem dobry pretekst do omijania stolicy – w dużym mieście nie zakłada się hodowli kur! Kurnik musi być przestronny, żeby kury mogły w nim rozpostrzeć skrzydła, i mieć dużo powietrza, żeby nie gromadził się smród. W końcu znalazłem idealne miejsce: Al-Dżilfa, trzysta tysięcy mieszkańców, ostatnie duże miasto przed pustynią. Trzeba było jeszcze znaleźć lokalizację z dala od domostw i można będzie zatknąć flagę. W każdym razie miałem zamiar spróbować.

Żeby dostać kawałek ziemi w Algierii, trzeba najpierw dowieść, że jest się naprawdę dzieckiem tego kraju. Dostarczyć metrykę urodzenia – nie miałem dostępu do dokumentów rodzinnych mojego ojca; przedstawić adres zamieszkania – nie miałem stałego zameldowania. Trzeba też pokazać dowód osobisty, a żeby go dostać, trzeba mieć metrykę urodzenia… Wróciłem do Francji, jeszcze nie dopuszczałem do siebie myśli o możliwości porażki, ale byłem w złym nastroju. Gdy pan Pozzo dowiedział się o moim problemie, od razu pojął w czym rzecz.

– Nie jest żadnym wstydem, Abdelu, poprosić o to ludzi, za których sprawą znalazłeś się na tym świecie.

Miał rację. Nie było powodu, żeby się wstydzić ani krępować. Nie cieszyłem się, nie entuzjazmowałem, nie czułem zniecierpliwienia ani lęku. Nie czułem nic. Wobec perspektywy, że spotkam się twarzą w twarz z moim ojcem, którego nie widziałem ponad trzydzieści lat, nie czułem nic oprócz obojętności. Powiedziałem do synka, Abdela Maleka, który wspinał mi się na kolana, bo nie umiał jeszcze chodzić:

– Jadę odwiedzić dziadka. Co ty na to?

– Przecież dziadek, Belkacem, mieszka blisko nas. – poprawiła mnie łagodnie Amal.

* * *

Mimo tej obojętności nie czułem się pewnie…

W Algierze odnalazłem kolegę z dzielnicy Beaugrenelle będącego przejazdem u swojej rodziny, poprosiłem go, żeby przyprowadził mojego brata do kawiarni, nie mówiąc mu, że tu przyjechałem. Abdel Moumene, trzy lata młodszy ode mnie, był jeszcze bardzo małym dzieckiem, gdy go ostatnio widziałem. Kiedy stanął przede mną, od razu zorientował się, kim jestem. Mimo różnicy kilku centymetrów wzrostu i paru kilogramów wagi moglibyśmy uchodzić za bliźniaków.

– Abdel Yamine, to ty? Coś takiego! Jesteś tutaj? Co tu robisz? Często przyjeżdżasz? Chodź, zawiozę cię do rodziców, ucieszą się, kiedy cię zobaczą.

Powiedziałem, że jeszcze nie teraz. Mam tu coś do załatwienia. Może innym razem.

– Nie mów im, że mnie widziałeś.

Wróciłem do Algieru tydzień potem. Znowu umówiłem się w kawiarni z Abdelem Moumène'em. Wyglądał na bardzo sympatycznego.

– No, chodź do nas! Czego się boisz?

Boję? Niczego się nie boję! Ale jego chyba przestraszyłem.

* * *

Pamiętałem ten dom. Kiedy tam wszedłem, wszystko mi się przypomniało. Pamięć zadrwiła sobie ze mnie. Przywróciła obrazy, które odciskały się we mnie w okresie od moich narodzin do wyjazdu do Francji, kiedy miałem cztery lata. Ale gdzie podziewały

się te wszystkie wspomnienia podczas lat pobytu w Paryżu, w więzieniu Fleury-Mérogis, w pałacach pana Pozzo? Gdzie się ukryły? W jakim zakątku ptasiego móżdżku Abdela Yamine'a Sellou, ulicznika, psotnika, złodzieja… a potem pomocnika pana Pozzo?

Przypomniałem sobie obraz dużego ogrodu. Tymczasem było to małe, wybetonowane podwórko. Przypomniałem sobie majestatyczną sylwetkę drzewa nieszpułki. Teraz drzewo mocno się postarzało. W salonie, który wydawał mi się niegdyś ogromny, z trudem wszyscy się mieścimy.

Na stole stoi czarna jak smoła kawa nienadająca się do picia. Zasiedliśmy wokół stołu: ojciec, matka, starsza siostra, dwie młodsze siostry, Abdel Moumene i ja. Nieobecny było tylko Abdel Ghany (mieszkał w Paryżu z żoną i dziećmi, wiódł tam spokojne życie). Patrzyliśmy na siebie, niewiele mówiąc.

Zaledwie parę słów. Żadnych wymówek, żadnych stwierdzeń.

– Nie pisałeś do nas zbyt często.

Żeby nie powiedzieć, że nie pisałem wcale.

– Nieczęsto do nas telefonowałeś.

Co za eufemizm!

– Jak się ma twoja żona?

Uświadomiłem sobie, że wiedzieli o mnie wszystko od Belkacema i Aminy.

– Widzieliśmy cię w telewizji, w filmie o sparaliżowanym człowieku.

Sparaliżowany człowiek. Pan Pozzo. Był daleko stąd…

Opowiedziałem im, że szukam terenu na południu kraju, żeby założyć tam hodowlę kur. Że nie jest to jeszcze pewne, ale być może zamieszkam tutaj. Niedaleko od nich. Opowiedziałem trochę

o moich zamiarach, choć bez podawania szczegółów. Słuchali mnie, nie odzywając się, nie wypowiadali swoich opinii, o nic nie pytali. Gdy tak do nich mówiłem, w duchu zastanawiałem się, dlaczego nie zadają mi żadnych pytań: Dlaczego przyjechałem właśnie teraz? Dlaczego tak późno? Czego od nich chcę? Czego oczekuję?

Niczego.

Zapewne zastanawiali się nad tym i dlatego milczeli.

Patrzyłem na bardzo skromne umeblowanie, na orientalne kanapy z równo ułożonymi poduszkami w jaskrawych kolorach. Przyglądałem się Abdelowi Moumène'owi i siostrom mieszkającym z rodzicami, którym dnie mijały bez większych wrażeń. Patrzyłem na tego mężczyznę z surowymi, przejrzystymi, błękitnymi jak Morze Śródziemne oczami, których po nim nie odziedziczyłem. Patrzyłem na tę kobietę z czarnymi farbowanymi henną włosami, na jej bluzkę koszulową według mody europejskiej, na jej brzuch, z którego wyszedłem trzydzieści pięć lat temu. Robiłem przegląd członków rodziny. Jestem z nich wszystkich najniższy, najgrubszy, z najkrótszymi palcami. Jestem Gizmo z Gremlinów. Danny DeVito u boku Arnolda Schwarzeneggera. W dzielnicy Beaugrenelle sąsiedzi często mówili mi, że jestem podobny do ojca. Chcieli być mili, chcieli mi sprawić przyjemność. Nic nie wiedzieli.

Pomyślałem, że rodzice, zawożąc mnie do Paryża, dali mi szansę na przyszłość lepszą niż ta, która czekała mnie w Algierze, w tym skromnym domu, w cieniu rachitycznej nieszpułki, w otoczeniu gromadki braci i sióstr. W kraju, w którym nie pozwala się ptakom opuszczać gniazda, by nie latały wysoko. W kraju, w którym nigdy nie spotkałbym takiego człowieka jak Philippe Pozzo di Borgo.

* * *

Udało mi się kupić teren w Al-Dżilfie, zatrudniłem ośmiu ludzi, którym mniej lub więcej ufam. Wspólnie zainstalowaliśmy prąd, postawiliśmy budynki i puściliśmy interes w ruch. Co trzy, cztery tygodnie wracam do Paryża, żeby zobaczyć się z Amal i dziećmi, które chodzą do szkoły we Francji, mają tam przyjaciół i swoje życie. W Al-Dżilfie nocuję w moim biurze. A kiedy spędzam kilka dni w Algierze, śpię w pokoju Abdela Moumène'a.

Z pewnością znajdą się ludzie, którzy będą osądzać moje postępowanie i co za tym idzie – potępiać mnie. Dla nich na zawsze pozostanę małym Arabem, który wykorzystywał słabość ciężko chorego inwalidy. Pozostanę na zawsze hipokrytą, źle wychowanym, nikogo ani niczego nieszanującym próżnym typem, który nie zadowalając się występami w telewizji, publikuje swoje wspomnienia w wieku czterdziestu lat! Nie przejmuję się kompletnie tym, co myślą o mnie inni. Bez wstydu patrzę sobie w oczy w lustrze.

Pan Pozzo mówi, że stałem się bardziej zrównoważony, bo znalazłem swoje miejsce w społeczeństwie. A jeszcze kilka lat temu uważał, że byłbym zdolny zabić człowieka. Dodawał przy tym, że będzie mi przynosił do więzienia pomarańcze, jak zrobiłby każdy ojciec dla swojego uwięzionego syna. Nie widzę go w roli mojego ojca. Niech mi wybaczy, ale postać ojca w moim życiu pozostaje pojęciem dość mglistym… Nie jest ani mniej, ani więcej moim ojcem, jest po prostu panem Pozzo di Borgo i zawsze nim dla mnie pozostanie.

To on nauczył mnie czytać. Nie rozpoznawać litery, ale naprawdę czytać. To on uzupełnił moje braki w edukacji szkolnej. Zanim go poznałem, lubiłem mówić, że mam maturę bez sześciu klas. Teraz być może został mi tylko rok do egzaminu dojrzałości, nie wiem. To on nauczył mnie pokory, choć nie było to łatwe zadanie! To on otworzył mi oczy na małą i wielką burżuazję, na pozaziemski świat, w którym znajdą się w końcu wszyscy ludzie. To on nauczył mnie,

żeby się najpierw zastanowić, a dopiero potem odpowiadać, działać. To on zmusił mnie do zrzucenia maski. To on mówił mi „jesteś najlepszy, Abdelu”, i chociaż takich słów oczekiwałem, wcale nie byłem o tym przekonany. To on mnie wychował. Wzniósł na wyższy poziom. Żebym stał się lepszy. Żeby choć w minimalnym stopniu mnie zabezpieczyć, jak ojciec.

* * *

Ubiegłego lata zabrałem moje dzieci na przejażdżkę po Sekwanie statkiem spacerowym. Siedzieliśmy wśród turystów, którzy bardzo się zmienili od czasów, kiedy ich okradałem. Było sporo Chińczyków ze świetnym sprzętem, który sprzedałoby się za dużą forsę na pchlim targu w Montreuil. Nie brakowało też Rosjan, zwłaszcza ślicznych dziewczyn, ale sama skóra i kości, zupełnie nie w moim typie, oraz facetów zdecydowanie bardziej barczystych niż ja. Nie chciałbym mieć z nimi do czynienia. Abdel Malek jak zawsze zadawał mi inteligentne pytania:

– Tatusiu, co to za budynek? Czy to dworzec?

Sam byłem zaskoczony, kiedy recytowałem jak z nut:

– Masz rację, to był kiedyś dworzec. Teraz jest w nim muzeum, które nazywa się Orsay. Są w nim obrazy. Dużo obrazów.

Sam sobie wydałem się zbyt poważny. Nie było to do mnie podobne. Musiałem coś dodać.

– Wiesz, Abdelu Malek, kiedyś nie było aparatów fotograficznych i dlatego ludzie malowali…

Trochę dalej synek znowu zapytał:

– A ten most? Dlaczego jest przecięty na dwa?

– To Pont-Neuf! Jest dwuczęściowy, ponieważ łączy île de la Cité z dwoma brzegami Sekwany.

– Jest cite na île de la Cité[12]? Takie cite jak Beaugrenelle?

– No nie… Znajduje się tam Pałac Sprawiedliwości. W tym budynku sądzi się ludzi i jeśli popełnili oni jakieś głupstwo, posyła się ich do więzienia.

– Tak jak ciebie, tatusiu?

Tym razem wtrącił się Salaheddine. Mój klon w miniaturze. Bardzo dumny ze swego ojca.

Statek zawiózł nas dalej. Dzieci opowiadały mi o morzu, po którym pływały. Wyjaśniłem różnice między morzem, małą rzeką i wielką rzeką wpadającą do morza. Mówiąc o tym, że rzeki wypływają ze źródeł w górach, nie byłem już taki pewny siebie. Przepływaliśmy obok Piętnastej dzielnicy, pokazałem im, gdzie mieszkałem, kiedy byłem taki mały jak oni. W ogóle ich to nie obchodziło.

– A ta statua? Jest taka sama jak Statua Wolności. Co ona tu robi? Dlaczego trzyma rękę do góry?

– Ponieważ szuka sieci swoim smartfonem…

Śmiali się, nie wierząc mi. Powiedziałem im, że tatuś nie wie wielu rzeczy, bo nie słuchał tego, co mówiła w szkole nauczycielka.

– Ale Philippe na pewno wie? Możesz do niego zadzwonić.

– Tak, pan Pozzo wie na pewno…

Mam dwóch ojców, dwie matki, czarnego dublera w kinie, żonę, dwóch synów, jedną córkę. Zawsze miałem kolegów, kumpli, wspólników. Pan Pozzo jest po prostu przyjacielem. Pierwszym. Jedynym.

[1] *Rue de la Grande-Truanderie* (fr.) – ulica Wielkiego Oszustwa.

[2] *Invalides* (fr.) – inwalidzi, stacja metra w pobliżu zabytkowego zespołu architektonicznego w Paryżu, powstałego w II poł. XVII w. jako szpital i przytułek dla inwalidów wojennych.

[3] Autor nawiązuje do wydarzeń z 17.10.1961 r. i zamieszek podczas krwawo stłumionej przez policję paryskiej demonstracji zwolenników algierskiego ugrupowania Front Wyzwolenia Narodowego.

[4] Autor nawiązuje tu do filmu *Le Magnifique* (Wspaniały), w którym Jean-Paul Belmondo grał główną rolę.

[5] Paryż podzielony jest na dwadzieścia dzielnic oznaczonych numerami, Piętnasta dzielnica położona jest na lewym brzegu Sekwany.

[6] *Poste* (fr.) – poczta, także posterunek.

[7] *Fontaine* (fr.) – fontanna, wodotrysk, zdrój; *Manon u źródeł* – powieść M. Pagnola (1895-1974), także film zrealizowany na jej podstawie.

[8] Henri IV – prestiżowe liceum paryskie.

[9] Uniwersytet Panthéon-Assas Paris II uchodzi za najlepszą uczelnię prawniczą we Francji.

[10] Gra słów: G. Mahler – kompozytor austriacki, *mahleur* (fr.) – nieszczęście.

[11] „Mój Boże! Tak młodo umierać…” (akt III, scena VI).

[12] Île de la Cité – jedna z dwóch wysp na Sekwanie w Paryżu; oprócz Pałacu Sprawiedliwości znajduje się tam m.in. także katedra Notre Dame. *Cité* (fr.) – miasto, dzielnica, państwo.